

Sodoma i Gomora, część druga, tom drugi





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

MARCEL PROUST

W POSZUKIWANIU STRACONEGO CZASU

Sodoma i Gomora

TŁUM. TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

CZEŚĆ DRUGA, TOM DRUGI

ROZDZIAŁ II (CIAĞ DALSZY)

Jeszcze nie tego wieczora zresztą zaczęła się utrwać moja okrutna nieufność. Nie; powiedzmy odrazu (mimo iż fakt zdarzył się aż w kilka tygodni później), urodziła się ona z pewnej uwagi doktora Cottard. Albertyna i jej przyjaciółki chciały mnie owego dnia wyciągnąć do kasyna w Incarville. Nie byłbym się tam z nimi spotkał, ponieważ chciałem się wreszcie wybrać do pani Verdurin, która mnie zapraszała kilka razy; ale zatrzymało mnie — właśnie w Incarville — popsucie się kolejki, wymagające pewnego czasu na reparację. Spacerując na stacji w oczekiwaniu aż skończą, znalazłem się nagle nos w nos z doktorem Cottard, przybyłym do Incarville na konsylium. Wahałem się, czy mam się przywitać, wobec tego że nie odpowiedział mi na żaden list. Ale uprzejmość nie objawia się u wszystkich ludzi jednako. Nie przeszedłszy za młodu tresury światowej, Cottard był pełen dobrych intencji, których się nie znało, o których się wątpiło, aż do dnia gdy je miał sposobność objawić. Przeprosił mnie, otrzymał moje listy, oznajmił moją bytność w Balbec Verdurinom, którzy — powiadał — mają wielką ochotę mnie widzieć i do których radził mi się wybrać. Chciał mnie nawet zabrać do nich tego wieczora, bo wybierał się tam kolejką na obiad. Ponieważ nie byłem całkiem zdecydowany, a mieliśmy trochę czasu do pociągu (naprawa miała potrwać dłużej), zaciągnąłem doktora do kasyna. Było to jedno z kasyn, które mi się zdawały tak smutne wieczorem, w dniu pierwszego przybycia, a obecnie pełne było zgiełku dziewcząt, tańczących w braku tancerzy z sobą. Anna podbiegła do mnie w glisadach. Myślałem, że odjadę za chwilę z Cottardem, kiedy nagle odrzuciłem stanowczo jego propozycję, zdjęty zbyt gwałtowną chęcią zostania z Albertyną; a to dlatego, że usłyszałem jej śmiech. I ten śmiech wywołał we mnie wrażenie różowych karnacji i pachnących tkanek, o które zdawał się ocierać; ten śmiech, ostry, zmysłowy, wyzywający, niby zapach geranji, niósł z sobą jakieś cząsteczki niemal dające się zważyć, drażniące i tajemne.

Jedna z dziewcząt — nie znałem jej — siadła do fortepianu, Anna zaprosiła Albertynę do walca. Myśląc z rozkoszą że zostanę w kasynie z dziewczętami, zwróciłem uwagę doktora, jak one dobrze tańczą. Ale on, z owym specjalnie lekarskim spojrzeniem i ze złem wychowaniem ignorującym okoliczność że to są moje znajome (mimo iż widział jak się ze mną witały), odpowiedział:

— Tak, ale rodzice są dosyć lekkomyślni, że pozwalają córkom nabierać takich przyzwyczajęń. To pewna, że swoim córkom nie pozwoliłbym bywać tutaj. Czy są bodaj ładne? Nie dobrze rozróżniam rysy. O, popatrz pan — dodał wskazując Albertynę i Annę, które wtulone w siebie, walcowały zwolna — zapomniałem binokli i nie widzę dobrze, ale one są z pewnością w pełni orgazmu. Ludzie nie wiedzą, że kobiety osiągają to zwłaszcza przez piersi. A popatrz pan, ich piersi stykają się kompletnie.

W istocie, kontakt piersi Albertyny i Anny nie przerywał się ani na chwilę. Nie wiem, czy usłyszały lub odgadły uwagę Cottarda, ale odsunęły się od siebie, wciąż walcując. Anna szepnęła coś Albertynie; ta zaśmiała się tym samym przenikliwym i głębokim śmiechem, jaki słyszałem przed chwilą. Ale wzruszenie, o jakie mnie przyprawił teraz ów śmiech, było mi już tylko okrutne; miałem wrażenie, że Albertyna komunikuje nim Annie jakiś rozkoszny i tajemniczy dreszcz. Dźwięczał ten śmiech jak pierwsze lub ostatnie akordy nieznanej zabawy. Odszedłem z Cottardem, rozmawiając z roztargnieniem, myśląc jedynie chwilami o scenie, którą przed chwilą oglądałem. Nie znaczyło to, aby konwersacja doktora była interesująca. Stała się nawet w tej chwili cierpka, bo właśnie spostrzegliśmy doktora du Boulbon, który nas nie widział. Przyjechał spędzić jakiś czas po przeciwnej stronie zatoki Balbec, gdzie zasięgano często jego porady. Otóż, mimo że Cottard zwykł był oświadczać, że nie uprawia medycyny na wakacjach, spodziewał się wyrobić sobie na tem wybrzeżu pierwszorzędną praktykę, w czem, jak mniemał, przeszkodził mu doktor du Boulbon.

Rzecz prosta, że miejscowy lekarz z Balbec nie mógł być groźny dla Cottarda. Był to poprostu praktyk bardzo sumienny, który umiał wszystko i któremu nie możnaby wspo-

mnieć o najłżejszym śwędzeniu, aby nie zalecił natychmiast, w skomplikowanej recepcie, odpowiedniej maści, zmywania lub kataplazmu. Jak mówiła w swoim ładnym języku Marja Gineste, on umiał „zamawiać” skaleczenia i rany. Ale nie był firmą. Ten lekarz sprawił Cottardowi mały kłopot. Profesor, od czasu jak chciał zamienić swoją katedrę na katedrę terapii, wyspecjalizował się w intoksykacjach. Intoksykacje, niebezpieczna nowość w medycynie, służąca do odnowienia etykietek aptekarzy, których wszelki produkt (z wyjątkiem leków „sympatycznych”) uznaje się za zgoła nie toksyczny a nawet dezintoksykujący. To jest modna dziś reklama; zaledwie natomiast przetrwało gdzieś u dołu, nieczytelnymi literami, jak wąty ślad poprzedniej mody, zapewnienie, że dany produkt został starannie zdezinfekowany. Intoksykacje służą też do uspokojenia chorego, który dowiaduje się z radością, że jego paraliż jest tylko niedomaganiem toksycznym. Otóż, pewien Wielki książę, przybyły na kilka dni do Balbec, mając oko straszliwie obrzmiałe, wezwał Cottarda, który, w zamian za kilka stufrankówek (profesor nie trudził się taniej), ujrzał w zapaleniu oka stan toksyczny i przepisał djetę dezintoksykującą. Kiedy oko nie kłęśło, Wielki książę zwrócił się do miejscowego lekarza w Balbec, który w pięć minut wydobyl jakiś pyłek. Nazajutrz nie było śladu.

Ale niebezpieczniejszym rywalem był luminarz chorób nerwowych. Był to człowiek rumiany, jowialny, zarówno dlatego że obcowanie ze zwyrodnieniami nerwowymi nie przeszkadzało mu miewać się bardzo dobrze, jak również poto aby pokrzepiać chorych szerokim śmiechem i uściskiem dłoni, choćby miał swoim atletycznym ramieniem pomóc ich później ubrać w kaftan bezpieczeństwa. Bądź co bądź, kiedy się z nim rozmawiało w towarzystwie, choćby o polityce lub o literaturze, słuchał człowieka z życzliwą uwagą, jakby zadając sobie pytanie: „Z jakim wypadkiem mamy do czynienia?” nie wypowiadając się od razu, tak jakby chodziło o konsultację. Ale ostatecznie ten lekarz, przy całym swoim talencie, był specjalistą. Toteż cała wściekłość Cottarda wyładowała się na doktorze du Boulbon. Pożegnałem zresztą niebawem zaprzyjaźnionego z Verdurinami profesora, przyrzekając że ich odwiedzę niebawem.

Ból, jaki mi sprawiły jego słowa tyżące Albertyny i Anny, był głęboki, ale najgorszych jego ukłuc nie odczułem natychmiast, podobnie jak się zdarza w zatruciach działających dopiero po pewnym czasie.

Owego wieczora kiedy lift-boy poszedł po Albertynę, mimo jego zapewnień nie przyszła. To pewna, że wdzięki danej osoby mniej często są przyczyną miłości, niż jakieś słowa w tym rodzaju: „Nie, dziś wieczór nie będę wolna”. Nie bardzo zwracamy uwagę na to zdanie, kiedy jesteśmy z przyjaciółmi; jesteśmy weseli cały wieczór, nie nawiedza nas pewien obraz; przez ten czas, obraz ów kąpie się w odpowiednim płynie; za powrotem znajdujemy kliszę już wywołaną i zupełnie wyraźną. Spostrzegamy, że życie nie jest tem życiem które bylibyśmy porzucili dla lada drobnostki wczoraj, o ile bowiem nadal nie lękamy się śmierci, nie śmiemy już myśleć o rozłącze.

Zresztą, począwszy nie od pierwszej w nocy (godziny, którą windziarz zapowiedział), ale od trzeciej, nie doznawałem już jak dawniej bólu wynikłego ze zmniejszających się szans aby się Albertyna zjawiła. Pewność, że już nie przyjdzie, przyniosła mi zupełny spokój, świeżość; ta noc była poprostu jedną z wielu nocy spędzonych bez Albertyny; przyjąłem to za punkt wyjścia. I z tą chwilą, myśl że ją ujrzę nazajutrz albo w inne dni, odcinając się na tej przyjętej przezemnie nicości, stawała się słodka. Czasami, w ciągu tych wieczorów oczekiwania, ucisk serca wynika z leku, który się zażyło; cierpiący interpretuje fałszywie swój niepokój: myśli, że cierpi z powodu osoby która nie przychodzi. Miłość rodzi się w tym wypadku, jak pewne choroby nerwowe, z niedokładnego wytłumaczenia sobie przykrego uczucia. Wytłumaczenie, którego lepiej nie prostować, przynajmniej w zakresie miłości, które to uczucie (cobądź jest jego przyczyną) jest zawsze omyłką.

Nazajutrz, kiedy Albertyna napisała do mnie, że dopiero wróciła do Epreville, że tem samem nie dostała mojego listu na czas, i że zajdzie, jeśli pozwolę, do mnie wieczorem, miałem wrażenie, iż poza słowami jej listu — jak poza temi, które mi mówiła raz przez telefon — czuję obecność uciech i osób, które przełożyła nademnie. Jeszcze raz wstrząsnęła mną całym bolesna ciekawość dowiedzenia się co ona mogła robić, utajona miłość, którą się zawsze nosi w sobie; przez chwilę mogłem myśleć, że ta miłość przywiąże mnie do Albertyny: ale dygotała tylko w miejscu; ostatnie jej pomruki ścichły, a nie ruszyła z miejsca.

Źle zrozumiałem za pierwszym swoim pobytem w Balbec charakter Albertyny; Anna może również. Sądziłem, że to była dziecinność; ale nie wiedziałem, czy wszystkie nasze błagania nie zdołałyby jej zatrzymać i skłonić do poniechania jakiejś *garden-party*, wycieczki na osłach lub pikniku. W czasie drugiego pobytu w Balbec, zacząłem podejrzewać, że ta dziecinność była jedynie pozorem, *garden-party* tylko parawanem, jeśli nie wykrętem. Działa się pod rozmaitemi formami rzecz następująca (to znaczy rzecz widziana przezemnie, od mojej strony szkła, które nie było zgoła przezroczyste, przyczem nie mogłem wiedzieć, co było prawdą z drugiej strony). Albertyna obsypywała mnie najgorętszymi zaklęciami czułości. Patrzała na zegarek, bo miała być z wizytą u pewnej damy, która jakoby przyjmowała codziennie o piątej w Infreville. Dręczony podejrzaniem, czując się zresztą cierpiący, prosiłem Albertynę, błagałem ją, aby została ze mną. Było to niemożliwe (miała już tylko pięć minut czasu), bo toby bardzo pognewało tę damę, nie zbyt gościnną i podejrzliwą, i — jak mówiła Albertyna — przenudną. „Ależ można przecież opuścić wizytę. — Nie, ciotka mnie uczyła, że trzeba być przede wszystkim grzeczną. — Ależ widziałem, że tak często byłaś niegrzeczna. — To nie jest to samo, ta pani obraziłaby się i narobiłaby mi historii z ciotką. I tak nie jestem już z nią zbyt dobrze. Ciotce zależy na tem, abym tam raz była. — Ale skoro ona przyjmuje codzien?” Na to, Albertyna, czując że wpadła, zmieniała argumenty. „Rozumie się, że przyjmuje codzien. Ale dziś umówiłam się u niej z przyjaciółkami. W ten sposób będzie mniej nudno. — W takim razie, Albertyno, wolisz tę osobę i swoje przyjaciółki ode mnie, skoro, aby nie ryzykować wizyty trochę nudnej, wolisz mnie zostawić samego, chorego, z moim smutkiem? — O to nie chodzi, że byłoby nudno. Ale robię to przez poświęcenie dla nich. Mam je odwiedzić kabrioletem. Inaczej nie miałyby żadnej możliwości powrotu”.

Zwróciłem uwagę Albertyny, że są z Infreville pociągi do 10 wieczór. „To prawda, ale wiesz, możliwe jest, że nas zatrzymają na obiad. Ta pani jest bardzo gościnną. — No więc odmówisz. — Pognewałabym ciotkę. — Zresztą, możecie zostać na obiedzie i wrócić o dziesiątej. — To trochę mało czasu. W takim razie ja nigdy nie mógłbym być gdzieś na obiedzie i wrócić pociągiem. Ale wiesz, Albertyno, zrobimy rzecz bardzo prostą; czuję, że mi powietrze dobrze zrobi; skoro nie możesz puścić kantem tej damy, odwiozę cię do Infreville. Nie bój się, nie pójdę aż do *wieży Elżbiety* (willa owej damy), nie zobaczę ani tej damy ani twoich przyjaciółek”.

Albertyna robiła wrażenie, że otrzymała straszny cios. Słowa się jej rwały. Powiedziała, że kąpiele morskie jej nie służą. „Może ci to przykrość sprawia, żebym jechał z tobą? — Ależ skądże, jak możesz tak mówić, wiesz, że największa przyjemność dla mnie, to być z tobą”.

Nastąpił nagły zwrot:

— Skoro mamy jechać na spacer, czemu nie pojechalibyśmy w drugą stronę Balbec, zjedlibyśmy obiad razem. Tobo było tak miło. W gruncie rzeczy, ta strona jest o wiele ładniejsza. Zaczynam mieć dość Infreville i całej reszty, wszystkich tych dziur zielonych jak szpinak. — Ale przyjaciółka ciotki się obrazi? — No to co, to się potem odobrazi. — Nie, nie trzeba być dla nikogo niegrzeczną. — Ale ona nawet tego nie zauważy, ona przyjmuje codzien, czy będę u niej jutro, pojutrze, za tydzień, za dwa, i tak będzie na czas. — A twoje przyjaciółki? — Och, dość często mnie puszczały kantem, kolej na rewanz. — Ale od strony, którą mi proponujesz, niema pociągów po dziewiątej. — No więc, cóż to szkodzi, dziewiąta wyborna godzina. A potem nie trzeba się nigdy kłopotać o kwestję powrotu. Zawsze się znajdzie jakiś wózek, rower, w braku czego lepszego ma się nogi. — Zawsze się znajdzie, Albertyno, co ty pleciesz! Od strony Infreville, gdzie stacyjki są usiane gęsto, owszem. Ale od tamtej strony... to już nie to samo. — Nawet od tamtej strony. Przyrzekam ci, że cię odstawię zdrowym i całym.

Czułem, że Albertyna wyrzeka się dla mnie czegoś ułożonego, czego nie chciała mi powiedzieć, i że jest ktoś, kto będzie nieszczęśliwy jak ja wprzód. Widząc, że to czego chciała nie jest możliwe (skoro zamierzyłem jej towarzyszyć), zdecydowała się poprostu zrezygnować. Wiedziała, że to się da naprawić. Bo, jak wszystkie kobiety mające kilka miłostek naraz, posiadała niezawodny atut: podejrzanie i zazdrość. Z pewnością nie starała się ich podsycać, przeciwnie. Ale zakochani są tak podejrzliwi, że natychmiast zwęszają kłamstwo. Tak, iż Albertyna nie była lepsza od innych; wiedziała z doświadczenia (nie zgadując ani trochę, że zawdzięcza to zazdrości), że zawsze odnajdzie tego, którego

pewnego wieczora wystrychnęła na dudka. Nieznana osoba, której zrobiła dziś zawód dla mnie, będzie cierpiała, będzie ją za to kochała tem więcej (Albertyna nie wiedziała, że to dlatego), i aby nie cierpieć dłużej, wróci sama z siebie do niej, tak jak jabym to uczynił. Ale nie chciałem ani jej robić przykrości, ani męczyć się, ani wchodzić na straszliwą drogę śledztwa, wielopostaciowego, niezliczonego nadzoru.

— Nie, Albertyno, nie chcę ci psuć przyjemności, jedź do Infreville do swojej damy, czy też do osoby której ona jest pseudonimem, to mi wszystko jedno. Prawdziwą przyczyną tego że nie jadę z tobą, jest fakt, że ty tego nie pragniesz, że spacer ze mną nie byłby tem na co się cieszyłaś, czego dowodem jest, że zaprzeczyłaś sama sobie więcej niż pięć razy, nawet nie zauważywszy tego.

Biedna Albertyna bała się, że jej sypki, z których nie zdawała sobie sprawy, mogły być poważniejsze. Nie wiedząc dokładnie co skłamała, rzekła:

— To bardzo możebne, żem coś naplotła. Morskie powietrze odbiera mi wszelką zdolność myślenia. Mówię co chwila jedno nazwisko za drugie.

Słyszając potwierdzenie tego, co jedynie lekko podejrzewałem, uczułem ból jakby dotkliwej rany, co mi dowiodło, że Albertyna nie potrzebowałaby w tej chwili wielu tkliwych zapewnień na to abym jej uwierzył.

— Więc dobrze, niech będzie, jadę — rzekła tragicznym głosem, zerkając równocześnie na zegarek aby sprawdzić, czy się nie spóźni do owej innej osoby, teraz kiedy jej dałem pretekst nie spędzenia wieczoru ze mną. — Jesteś niegodziwy. Zmieniam wszystkie plany, aby z tobą spędzić miły wieczór, a ty nie chcesz i zarzucasz mi kłamstwo. Nigdy nie byłeś jeszcze tak okrutny. Morze będzie moim grobem. Nie ujrzę cię już nigdy. (Serce zabiło mi przy tych słowach, mimo iż byłem pewny, że wróci jutro, co też się stało). Utopię się, rzucę się w wodę. — Jak Safo. — Jeszcze jedna zniewaga więcej; podejrzewasz nie tylko moje słowa, ale i uczynki. — Ależ, kochanie, ja nie miałem najmniejszego zamiaru, przysięgam ci: wiesz, że Safo rzuciła się w morze. — Nie, nie, ty nie masz do mnie żadnego zaufania.

Ujrzała, że ma już ledwo parę minut czasu, bała się przepuścić okazję, i wybierając pożegnanie najkrótsze (za co przeprosiła mnie zresztą przyszedłszy nazajutrz: zapewne tego dnia tamta osoba nie była wolna), uciekła pędem ze zrozpaczoną miną, krzycząc: „Zegnaj na zawsze”. I może była w rozpacz. Bo, wiedząc lepiej odemnie co robi w tej chwili, surowsza i pobłażliwsza zarazem dla siebie niż ja byłem dla niej, może bała się, mimo wszystko, że, po sposobie w jaki się ze mną rozstała, nie zechcę jej widzieć na oczy. Otóż, zdaje mi się, że jej zależało na mnie, tak że ta druga osoba bardziej była zazdrosna i więcej cierpiała odemnie.

W kilka dni potem, w Balbec, kiedyśmy byli na sali balowej w kasynie, weszły siostra i kuzynka Blocha. Obie bardzo wyładniały, ale nie kłaniałem się im już z powodu moich towarzyszek, ile że młodsza, kuzynka Blocha, żyła niemal publicznie z aktorką, z którą się zapoznała za mego pierwszego pobytu. W związku z aluzją jaką ktoś zrobił półgłosem w tym względzie, Anna rzekła do mnie: „Och, na tym punkcie jestem jak Albertyna; niema rzeczy, któraby nas przejmowała większym wstrętem”. Co się tyczy Albertyny, siedzącej koło mnie na kanapie, odwróciła się plecami do obu podejrzanych dziewcząt i zaczęła rozmawiać ze mną. Mimo to, zauważyłem, że w chwili gdy się zjawiły panna Bloch i jej kuzynka, gest ów poprzedziło w oczach Albertyny nagłe i głębokie skupienie, które twarzy figlarnego dziewczęcia dawało czasami wyraz poważny, niemal tragiczny, i potem zostawiało cień smutku. Ale tuż potem Albertyna zwróciła do mnie oczy, które mimo to pozostały osobliwie nieruchome i marzące.

Panna Bloch i jej kuzynka odeszły w końcu, śmiejąc się hałaśliwie i wydając niezbyt przyzwoite okrzyki. Spytałem Albertyny, czy jedna z nich, blondynka (ta co była przyjaciółką aktorki), to nie ta sama, która wczoraj dostała nagrodę na corso kwiatowem.

— Och, nie wiem — rzekła Albertyna — czy która z nich jest blondynka? Powiem ci, że mnie one nie zbyt interesują, nigdy im się nie przyglądałam. Czy która z nich jest blondynka? — zwróciła się pytająco i swobodnie do przyjaciółek.

W stosunku do osób, które Albertyna spotykała codzien na didze, nieświadomość ta wydała mi się zbyt jaskrawa aby nie miała być udana. „I one również nie robią wrażenia, aby się nam zbyt przyglądały, rzekłem do Albertyny, pragnąc — może nieświadomie — w razie gdyby Albertyna miała pociąg do kobiet — odjąć jej wszelki żal, dowodząc że

nie ściągnęła na siebie uwagi tych dziewcząt, oraz że — biorąc rzecz ogólniej — nie jest przyjęte, nawet u najbardziej zepsutych, interesować się osobami, których się nie zna.

— Nie patrzyły na nas, właśnie! — odparła niebacznie Albertyna. — Cały czas nic innego nie robiły.

Skąd możesz wiedzieć — rzekłem; — obrócona byłaś plecami.

— No a to? — odparła, wskazując nawprost nas wielkie lustro, którego nie zauważyłem. Zrozumiałem teraz, że Albertyna, wciąż rozmawiając ze mną, nie przestała się uważnie wpatrywać w to lustro swemi pięknymi i skupionymi oczami.

Począwszy od dnia gdy Cottard wszedł ze mną do kasyna w Incarville, mimo iż nie podzielałem opinii doktora, Albertyna wydała mi się nie ta sama co wprzód; widok jej drażnił mnie. Ja sam zmieniłem się, w tym samym stopniu w jakim ona zdawała mi się inna. Straciłem dawną życzliwość; w jej obecności, jak i poza oczy, wówczas gdy jej to ktoś mógł powtórzyć, mówiłem o niej w sposób nader przykry. Ale nie zawsze. Pewnego dnia dowiedziałem się, że Albertyna i Anna wybierają się we dwie do Elstira. Nie wątpiłem, że czynią to w tej intencji, aby mogły w powrotnej drodze bawić się jak pensjonarki udawaniem młodych dziewcząt o podejrzanym gustach, znajdując w tem sekretną rozkosz, która mi ścisnęła serce. Zjawiłem się tedy niespodzianie u Elstira, bez zapowiadania się, aby im pokrzyżować plany i pozbawić Albertynę spodziewanej przyjemności. Ale zastałem tylko Annę. Albertyna wybrała inny dzień, w którym miała być tam z ciotką. Wówczas powiedziałem sobie, że Cottard musiał się omylić; korzystne wrażenie, jakie na mnie zrobiła obecność Anny samej, przez jakiś czas podtrzymywało we mnie przychylniejszy nastrój dla Albertyny. Ale nie trwał on dłużej, niż kruche zdrowie owych delikatnych osób, którym, mimo chwilowego polepszenia, lada co wystarczy aby je znów wpędzić w chorobę.

Albertyna wciągała Annę w owe igraszki, które, nie posuwając się zbyt daleko, nie były może zupełnie niewinne; cierpiąc od tego podejrzenia, odsunąłem je wreszcie. Za ledwie się z niego wyleczyłem, odradzało się w innej formie. Ujrzałem Annę, jak jednym z owych wdzięcznych ruchów, które jej były właściwe, skłoniła pieszczotliwie głowę na ramię Albertyny, ucałowała ją w szyję, nawpół przymykając oczy; to znów wymieniły spojrzenia; albo słówko jakieś wymknęło się komuś, kto je widział same, idące się kąpać; drobnostki nasycające atmosferę, którą większość ludzi oddycha przez cały dzień bez uszczerbku dla zdrowia lub humoru, ale trujące i płodne w nowe cierpienia dla istoty predysponowanej. Czasami, nawet nie widząc Albertyny ani słysząc o niej, odnajdywałem w pamięci jakąś pozę Albertyny w towarzystwie Gizeli; pozę która zrazu wydawała mi się niewinna, teraz zaś wystarczała, aby zniweczyć odzyskany z trudem spokój. Nie potrzebowałem już nawet z zewnątrz wdechać niebezpiecznych zarazków; ulegałem, jakby powiedział Cottard, autointoksykacji. Przypominało mi się wówczas wszystko czegom się dowiedział o miłości Swanna do Odety, o tem jak go Odeta całe życie oszukiwała. W gruncie rzeczy, jeżeli się nad tem zastanowię, hipotezę, która mi kazała pomału zbudować cały charakter Albertyny i interpretować boleśnie każdy moment życia, którego nie mogłem kontrolować w całości, było wspomnienie i świadomość charakteru pani Swann, takiej jaką znałem z opowiadań. Opowiadania te sprawiły, że później wyobraźnia moja snuła domysły, wedle których Albertyna, zamiast być dobrą dziewczyną, mogłaby być równie zepsuta, równie zdolna do oszukiwania jak ex-kokota; i myślałem o wszystkich cierpieniach, jakieby mnie czekały, w razie gdybym ją miał kiedy pokochać.

Pewnego dnia, gdyśmy stali razem przed Grand Hotelem na didze, mówiłem Albertynie przykre i upokarzające rzeczy; na co Rozamonda rzekła: „Och, jakżeś ty się dla niej zmienił; dawniej była tylko ona, ona grała pierwsze skrzypce, a teraz traktujesz ją gorzej psa”.

Aby jeszcze bardziej podkreślić swój stosunek do Albertyny, obsypywałem czułościami Annę, którą — w razie gdyby była dotknięta tą samą przywarą — łatwiej mógłbym usprawiedliwić z powodu jej chorowitej i neuropatycznej kompleksji. Naraz ujrzeliśmy wyjeżdżające truchtem z ulicy prostopadłej do digi dwukonne lando pani de Cambremer. Prezydent, który właśnie zbliżał się do nas, poznawszy powóz, cofnął się gwałtownie, nie chcąc aby go widziano w naszym towarzystwie; poczem, kiedy osądził, że oczy margrabin mogą się spotkać z jego oczami, złożył jej głęboki ukłon. Ale powóz zamiast jechać

dalej (jak można było przypuszczać) ulicą Morską, wjechał w bramę hotelu. Nie upłynęło ani dziesięć minut, kiedy lift-boy przybiegł zdyszany, aby mnie uprzedzić:

— Pani margrabina de Camembert przyjechała do jaśnie pana. Szukałem w pokoju, szukałem w czytelni, nie mogłem znaleźć jaśnie pana. Na szczęście, wpadło mi na myśl wyjrzeć na plażę.

Jeszcze nie skończył swoich wywodów, kiedy margrabina posunęła ku mnie w towarzystwie swojej synowej, oraz jakiegoś bardzo ceremonjalnego pana. Prawdopodobnie wracała z wizyty lub herbatki w sąsiedztwie, uginając się pod ciężarem nietyle starości, ile mnóstwa kosztownych przedmiotów, jakimi uważała za uprzejmiejsze i godniejsze swego stanowiska obwiesić się, aby się wydać możliwie paradna osobom którym składała wizytę. Było to w sumie owe „wylądowanie” Cambremerów, którego tak bardzo obawiała się babka, kiedy chciała zataić przed panem Legrandin, że się może wybierzemy do Balbec. Wówczas mama śmiała się z obaw przed czymś, co uważała za niemożliwe. I oto wreszcie fakt ziścił się, ale innemi drogami, i bez udziału Legrandina.

— Czy mogę zostać, jeżeli to panu nie przeszkadza — spytała Albertyna (w której oczach zostało kilka łez, spowodowanych mojem przykrem obejściem przed chwilą; zauważyłem te łzy, udając że ich nie widzę, ale nie bez satysfakcji); — miałabym coś panu do powiedzenia.

Kapelusz z piórami, w którym tkwiła szpilka z szafirem, zasadzony był ladajak na peruce pani de Cambremer, niby godło którego wywieszenie jest konieczne ale wystarczające, miejsce obojętne, elegancja umowna a nieruchomość zbyteczna. Mimo upału, zacna dama włożyła dżetową mantylkę podobną do dalmatyki, na to zaś gronostajową etolę, której obecność zdawała się mieć związek nie z temperaturą i porą roku, lecz z charakterem ceremonji. A na piersi pani de Cambremer, baranowska korona wisiała na łańcuszku naksztalt biskupiego krzyża. Pan, który jej towarzyszył, to był słynny adwokat paryski, z dobrej rodziny, który przyjechał na trzy dni do państwa de Cambremer. Był to jeden z tych ludzi, którym ich znakomite kwalifikacje zawodowe każą potrosze gardzić własnym zawodem i którzy mówią naprzykład: „Wiem, że jestem dobrym mówcą, toteż już mnie to nie bawi!” albo — „Nie bawi mnie już operować, wiem że dobrze operuję”. Owym ludziom, inteligentnym, *artystom*, dojrzałość ich, hojnie uposażona sukcesem, przynosi blask owej „inteligencji”, owej „artystycznej natury”, którą koledzy w nich uznają i która daje im coś zbliżonego do smaku i sądu. Zapalają się do malarstwa — nie do malarstwa wielkiego artysty, ale artyści bądź co bądź bardzo wybitnego, obracając swoje wielkie dochody czerpane z wykonywanego zawodu na zakupy jego dzieł. Malarz Le Sidaner był wybranym artystą tego przyjaciela Cambremerów, zresztą miłego człowieka. Adwokat mówił inteligentnie o książkach, ale nie o książkach prawdziwych mistrzów, tych co osiągnęli pełnię. Jedyną przykrą wadą tego dyletanta było to, że używał, i to stale, pewnych gotowych zwrotów, naprzykład: „poniekąd”, co dawało rzeczy, o której mówił, coś ważnego i nieupełnego zarazem.

Pani de Cambremer skorzystała — jak mi oznajmiła — z podwieczorku u znajomych w pobliżu, aby mnie odwiedzić, jak to przyrzekła Robertowi de Saint-Loup. „Pan wie, że on ma niedługo zjechać na kilka dni w nasze strony. Wuj jego Charlus jest na wilegaturze u swojej szwagierki, księżnej de Luxembourg; Saint-Loup skorzysta tedy ze sposobności, aby wpaść do ciotki i odwiedzić swój dawny pułk, gdzie go bardzo kochają, bardzo cenią. Często widzimy u siebie oficerów, którzy mówią o nim z ogromnemi pochwałami. Jakby to było ładnie, gdybyście panowie zrobili nam tę przyjemność i przybyli we dwójkę do Féterne”.

Przedstawiłem pani de Cambremer Albertynę i jej przyjaciółki. Pani de Cambremer wymieniła nasze nazwiska swojej synowej. Ta, lodowata ze szlachetkami, z którymi sąsiedztwo Féterne zmuszało ją do stosunków, zazwyczaj tak sztywna z obawy aby się nie spospolitować, podała mi przeciwnie rękę z promiennym uśmiechem, bezpieczna i rozanielona wobec przyjaciela pana de Saint-Loup. Przytem Robert (mający więcej światowej dyplomacji niż się do tego przyznawał) doniósł jej, że jestem bardzo dobrze z Guermantami. Bo pani de Cambremer-młodsza, odmiennie od teściowej, miała dwie grzeczności, niezmiernie różne od siebie. W razie gdybym ją poznał przez jej brata, pana Legrandin, byłaby mi użyczyła conajwyżej pierwszej grzeczności, suchej i nieznośnej. Ale dla przyjaciela Guermantów stawała się cała uśmiechem.

Najwygodniejszym lokalem dla przyjęcia gości była czytelnia, miejsce niegdyś tak groźne, gdzie teraz wchodziłem po dziesięć razy dziennie, wychodząc swobodnie, władczo, jak owi łagodni warjaci, od tak dawna mieszkający w zakładzie, że im lekarz powierza klucz. Toteż zaproponowałem pani de Cambremer, że ją tam zaprowadzę. Że zaś salon ów nie budził już we mnie nieśmiałości i nie przedstawiał dla mnie uroku — fizjognomja rzeczy zmienia się dla nas jak fizjognomja osób — zaproponowałem jej to bez wzruszenia. Ale odmówiła, wołała zostać na dworze; siedliśmy tedy na tarasie. Znalazłem tam tomik pani de Sévigné, którego mama nie zdążyła zabrać w pospiesznej ucieczce, kiedy się dowiedziała, że ktoś przyjechał do mnie. W tej samej mierze co babka obawiała się tych inwazyj obcych ludzi i z obawy że skoro się pozwoli osaczyć, nie zdoła się już wymknąć, uciekała z chyżością, z której zawsze z ojcem żartowaliśmy sobie.

Pani de Cambremer starsza trzymała w ręku, wraz z pastorałem parasolki, kilka haftowanych woreczków, torebkę, złotą sakiewkę, z której zwisały sznury granatów i koronkowa chusteczka. Zdawało mi się, że wygodniej byłoby jej złożyć wszystko na krześle; ale czułem, że byłoby niewłaściwe i daremne prosić, aby odłożyła insygnia swego pasterskiego objazdu i światowego kapłaństwa. Patrzyliśmy na spokojne morze, na którym tu i ówdzie mewy pływały niby białe kwiaty. Z powodu poziomu zwykłej „średniej”, do jakiego nas zniża rozmowa towarzyska jak również chęć podobania się nie zapomocą przymiotów nieznanym nam samym, ale zapomocą tego co (uważamy) powinno być w smak naszym partnerom, instynktownie zacząłem mówić do pani de Cambremer z domu Legrandin w ten sposób, w jakiby to uczynił jej brat. „Mają — rzekłem wskazując mewy — nieruchomości i białość lilij wodnych”. I w istocie, robiły wrażenie martwych przedmiotów kołysanych przez fale, a znowuż przez kontrast fale zdawały się ożywione świadomością, nabierały życia.

Stara margrabina niestrudzenie sławiła wspaniały widok na morze, jaki mieliśmy w Balbec, i zazdrościła mi go, ile że z la Raspelière (gdzie zresztą nie mieszkała w tym roku) widzi fale jedynie z daleka. Miała dwa osobliwe nawyki, wynikające równocześnie z jej żarliwej miłości sztuki (zwłaszcza muzyki) i z niedomagań uzębienia. Za każdym razem kiedy mówiła o Pięknie, jej gruczoły ślinowe — jak u niektórych zwierząt w momencie rui — ulegały hipersekrecji takiej, że w kąciku warg, ocienionych małym wąsikiem, bezzębne usta starej damy przepuszczały parę kropel, nie będących tam na swoim miejscu. Natychmiast połykała je z głębokim westchnieniem, jak ktoś, kto chwyta oddech. Wreszcie, jeżeli chodziło o szczyty muzycznego piękna, w entuzjazmie swoim podnosiła ręce do góry i wygłaszała jakieś ogólnikowe sądy, energicznie przeżute i w potrzebie wychodzące nosem.

Co do mnie, nigdy nie przyszło mi na myśl, aby pospolita plaża w Balbec mogła w istocie przedstawiać „widok morza” i proste słowa pani de Cambremer zmieniały moje pojęcia w tej mierze. Oświadczyłem w zamian, że zawsze słyszałem cuda o nieporównanym widoku w la Raspelière, posiadłości położonej na wzgórzu, gdzie, w wielkim salonie o dwóch kominkach, cały rząd okien pozwala, poprzez ogród i wśród liści, oglądać morze aż poza Balbec, podczas gdy przez drugi rząd okien widzi się dolinę. „Jaki pan jest miły, i jak to dobrze powiedziane: *morze wśród liści*. To czarujące; rzekłoby się... wachlarz”. I po głębokim wdechu, mającym schwycić ślinę i osuszyć wąsy, uczułem, że komplement jest szczery. Ale margrabina z domu Legrandin pozostała chłodna, aby tem okazać wzgardę nie dla moich słów, ale dla słów teściowej. Zresztą nietylko gardziła inteligencją teściowej, ale ubolewała nad jej uprzejmością, bojąc się zawsze, że ludzie mogą mieć nie dosyć wysokie pojęcie o Cambremerach. „I jaka ta nazwa ładna — dodałem. Chciałoby się znać pochodzenie wszystkich tych nazw. — Co do tej, mogę ją panu objaśnić — odparła stara dama uprzejmie. To siedziba rodzinna, po mojej babce Arrachepel; to nie jest ród znakomity, ale dobra i bardzo stara rodzina prowincjonalna. — Jakto, nie znakomity? — przerwała sucho synowa. Cały witraż w katedrze w Bayeux pełen jest ich herbów, a główny kościół w Avranches zawiera ich nagrobki. Jeżeli te stare nazwy pana bawią, przybywa pan o rok za późno. Postaraliśmy się o probostwo w Criquetot mimo wszystkich trudności związanych ze zmianą diecezji — dla dziekana z okolicy, w której ja mam swój osobisty majątek ziemski, bardzo daleko stąd, w Combray, gdzie dobry ksiądz bał się popaść w neurastenję. Na nieszczęście, w jego wieku, powietrze morskie nie posłużyło mu, neurastenja się wzmogła, i proboszcz wrócił do Combray. Ale przez czas

gdy był naszym sąsiadem, przetrząsnął tu wszystkie stare papiery i napisał dość ciekawą broszurkę o okolicznych nazwach. To go zresztą rozpało do tego przedmiotu, bo zdaje się, że ostatnie lata poświęcił pisaniu dzieła o Combray i okolicach. Prześle panu jego broszurę o okolicach Féterne. To praca iście benedyktyńska. Znajdzie pan tam rzeczy bardzo interesujące o naszej starej Raspelière, o której moja teściowa mówi o wiele za skromnie.

— W każdym razie, w tym roku — odparła starsza pani de Cambremer — la Raspelière nie jest już nasza i nie należy do mnie. Ale czuć, że pan ma duszę malarza; powinienby pan rysować: takbym panu chętnie pokazała Féterne, o wiele piękniejsze niż la Raspelière.

Bo, od czasu jak Cambremerowie wynajęli tę posiadłość państwu Verdurin, wspaniałe położenie la Raspelière przestało się im nagle wydawać tem, czem było dla nich przez tyle lat, to znaczy jedyną w okolicy siedzibą mającą widok zarazem na morze i na dolinę; zauważyli w zamian nagle — po czasie — tę niedogodność, że trzeba było wjeżdżać pod górę i zjeżdżać poto aby się tam dostać i wrócić. Krótko mówiąc, możnaby myśleć, że jeżeli pani de Cambremer wynajęła swoją posiadłość, to nie tyle poto aby zwiększyć dochody, ile aby dać odpocząć koniom. I mówiła jaka jest szczęśliwa, że może wreszcie mieć wciąż morze tak blisko w Féterne, ona, która przez tak długi czas (zapominała o dwóch miesiącach spędzonych w Féterne), widziała morze zawsze z góry i jakby w panoramie. „Odkrywam je na starość — mówiła — i tak się tem cieszę! To prawdziwa rozkosz. Wynajęłabym la Raspelière darmo, aby musieć mieszkać w Féterne”.

— Aby wrócić do tematów bardziej interesujących — podjęła siostra Legrandina, która mówiła do starej margrabinie „mamo”, ale z biegiem lat zrobiła się dla niej bardzo niegrzeczna — mówił pan o liljach wodnych; przypuszczam, że pan zna te, które malował Claude Monet. Co za geniusz! Interesuje mnie to tem bardziej, że w pobliżu Combray, w okolicy gdzie, jak panu mówiłam, mam majątek...

Ale wołała nie mówić za wiele o Combray.

— A, to z pewnością cykl, o którym mówił nam Elstir, największy malarz współczesny — wykrzyknęła Albertyna, która dotąd się nie odezwała.

— A, widzę, że pani kocha sztukę — wykrzyknęła pani de Cambremer, która z głębokim westchnieniem wciągnęła strumyk śliny.

— Pozwoli mi pani woleć Le Sidanera — rzekł adwokat, uśmiechając się z miną znawcy. Że zaś cenił, lub wiedział iż ceniono niegdyś pewne „zuchwalstwa” Elstira, dodał: — Elstir był utalentowany, należał niemal do awangardy, ale nie wiem czemu przestał trzymać krok, zmarnował życie.

Pani de Cambremer przyznała słuszność adwokatowi co do Elstira, ale, ku wielkiemu zmartwieniu gościa, zrównała Moneta z Le Sidanerem. Nie można powiedzieć, żeby była głupia; kipiła inteligencją, która — czułem to — była mi całkowicie bezużyteczna. Właśnie słońce zniżało się, mewy były teraz żółte, jak lilje na innem płótnie z tej samej serji Moneta. Rzekłem, iż znam ten cykl i dodałem (wciąż naśladowując język jej brata, którego nazwiska nie śmiałem jeszcze wspomnieć), iż bardzo żałuję, że nie przyszło jej na myśl przyjechać raczej wczoraj, bo o tej samej godzinie byłaby mogła podziwiać istne oświetlenie Poussina. Gdyby jakiś normandzki szlachciura, nieznający Guermantów, powiedział jej że powinna była przyjechać wczoraj, pani de Cambremer-Legrandin wyprostowałaby się z pewnością z obrażoną miną. Ale co się mnie tyczy, mógłbym z nią być o wiele jeszcze poufalszy, i tak znalazłbym w niej jedynie miękka i kwitnącą słodycz; mogłem, w upale tego pięknego popołudnia, kosztować dowoli tego wielkiego kołacza z miodem, jakim pani de Cambremer stawiała się tak rzadko. Kołacz ten zastąpił ptifury, które mi nie przyszło na myśl poczęstować gości. Ale nazwisko *Poussin*, nie uszczuplając grzeczności kobiety światowej, obudziło protest estetyki. Słyszac je, pani de Cambremer powtórzyła na sześć zawodów, prawie tuż po sobie owo lekkie klaśnięcie językiem, jakim wyraża się dziecku, które właśnie zrobiło jakieś głupstwo, zarazem naganę za to co już zrobiło i zakaz na przyszłość:

— Na Boga, po malarzu takim jak Monet, który jest poprostu geniusz, niechże pan nie wymienia starego majstra bez talentu jak Poussin. Powiem wręcz, że on mi się wydaje najtępszą piłą, jaka istniała pod słońcem. Cóż pan chce, ja nie mogę przecież tego nazwać malarstwem. Monet, Degas, Manet, tak, to są malarze! To bardzo ciekawe —

do dała wlepiając badawcze i zachwycone spojrzenie w mglisty punkt przestrzeni, gdzie spozstrzegła własną myśl — to bardzo ciekawe, dawniej wołałam Maneta. Teraz rozumiem się, podziwiam zawsze Maneta, ale sądzę, że może wolę jeszcze od niego Moneta. Och, katedry!

Wkładała tyleż skrupułu co gorliwości w zaznajomienie mnie z ewolucją własnego smaku. I czuć było, że fazy, przez jakie przeszedł ten smak, były wedle niej nie mniej ważne niż różne etapy samego Moneta. Nie miałem zresztą powodu być dumny z tego że mi zwierzyła swoje entuzjazmy, bo nawet wobec najbardziej ograniczonej prowincjonalnej gąski nie wytrwała pięciu minut bez odczucia tej potrzeby. Kiedy jakaś szlachcianka z Avranche, nie zdolna odróżnić Mozarta od Wagnera, mówiła przy pani de Cambremer: „Nie trafiliśmy w Paryżu na żadną interesującą nowość; byliśmy raz w Opéra-Comique, dawano *Pelleasa i Melisandę*, to kropne”, pani de Cambremer nietylko wrzała w duszy, ale musiała wykrzyknąć: „Ależ jakże, to arcydzieło”, i podejmowała dysputę. Był to może nawyk z Combray, przejęty od sióstr mojej babki, które nazywały to: „walczyć za dobrą sprawę” i lubiły obiady, gdzie co tygodnia musiały bronić swoich bogów, przeciw filistynom. Podobnie pani de Cambremer lubiła sobie „popędzać krew” „użerając się” o sztukę, jak inni o politykę. Broniła Debussy’ego, tak jakby broniła przyjaciółki pomawianej o złe prowadzenie się. Musiała przecież rozumieć, że powiadając: „ale jakże, to arcydzieło”, nie może zaimprovizować u osoby, którą przyprowadzała w ten sposób do porządku, całej ewolucji kultury artystycznej, u której szczytu zgodziłyby się z sobą, nie potrzebując dysputować.

— Muszę zapytać Le Sidanera, co on myśli o Poussinie — rzekł adwokat. — To odludek, mruk, ale ja go umiem pociągnąć za język.

— Zresztą — ciągnęła pani de Cambremer — nienawidzę zachodów słońca, to romantyzm, to opera! Dlatego nie cierpię domu teściowej, z jego południowemi roślinami. Zobacz pan, to wygląda jak park w Monte-Carlo. Wolę raczej pańskie wybrzeże. To smutniejsze, szersze; jest tu mała dróżka, skąd się nie widzi morza. W dżdżyste dni, niema tam nic prócz błota — to cały świat! Podobnie w Wenecji nienawidzę *Canale Grande*, a nie znam nic bardziej wzruszającego jak małe uliczki. Zresztą, to kwestia atmosfery.

— Ale — rzekłem, czując iż jedynym sposobem zrehabilitowania Poussina w oczach pani de Cambremer jest powiadomić ją, że Poussin stał się znów modny — pan Degas upewnia, że nie zna nic równie pięknego jak Poussiny w Chantilly.

— A? Nie znam Poussinów w Chantilly — rzekła pani de Cambremer, która nie chciała być innego zdania niż Degas — ale mogę mówić o tych co są w Luwrze, istne ohydy.

— On je także niezmiernie podziwia.

— Muszę je obejrzeć jeszcze raz. Wszystko to już zatarło mi się trochę w głowie — odparła po chwili milczenia, tak jakby przychylny sąd, jaki miała z pewnością niebawem wydać o Poussinie, miał zależeć nie od biuletynu, który jej właśnie zakomunikowałem, ale od dodatkowego i tym razem ostatecznego zbadania, jakiemu zamierzała poddać Poussina w Luwrze, aby mieć możliwość skorygowania swego sądu. Zadowolając się tem co było początkiem kasacji (bo, o ile jeszcze nie podziwiała Poussina, odroczyła swój wyrok do drugiej sesji) i nie chcąc dłużej trzymać pani de Cambremer na mękach, zwróciłem się do jej teściowej, powiadając że tylko słyszał o cudownych kwiatach w Fêterne. Skromnie zaczęła mówić o ogródku wiejskim, jaki ma koło domu, dokąd co rano biegnie w szlafroku prosto ze swego pokoju nakarmić pawie, wybierać świeżo zniesione jajka, zrywać cynje lub róże, które okalając na stole jajka na śmietanie lub fryturę z ryb, przypominają jej ulubione aleje w ogrodzie.

— Tak, to prawda, że mamy dużo róż — rzekła — nasze rozarium jest prawie za blisko domu, bywają dni, że głowa mnie boli od zapachu. Przyjemniejszy jest taras w la Raspelière, gdzie wiatr przynosi woń róż, ale już mniej odurzającą.

Zwróciłem się do synowej:

— To cały *Pelleas* — rzekłem, aby zadowolić jej zmysł modernizmu — ten zapach róż, wznoszący się aż na taras. W partyturze jest ten zapach tak silny, że ja, który cierpię na *hay-fever* i na *rose-fever*, kichałem za każdym razem, kiedy słyszałem tę scenę.

— Co za arcydzieło *Pelleas* — wykrzyknęła pani de Cambremer — zwarjowana jestem na tym punkcie; poczem, zbliżając się do mnie z gestami dzikiej kobiety odprawiającej zaloty, wspomagając się palcami aby brać urojone nuty, zaczęła nucić coś, co, jak sądzę, było dla niej pożegnaniem Pelleasa, i ciągnęła z gwałtowną natarczywością, tak jakby rzeczą szczególnej wagi było to, aby mi pani de Cambremer przypomniała w tej chwili tę scenę, lub raczej aby mi dowiodła, że ją sobie przypomina. — Sądzę, że to jest jeszcze piękniejsze niż *Parsival* — dodała; bo w *Parsivalu* największym pięknociom towarzyszy jakaś otęcza fraz melodyjnych, tem samem skoro melodyjnych — mniej wartościowych.

— Wiem, że pani jest wielką artystką — rzekłem do starszej pani de Cambremer. Bardzo bym pragnął usłyszeć panią.

Pani de Cambremer-Legrandin zaczęła patrzeć na morze, aby nie brać udziału w rozmowie. Znajdując że to co lubi jej teściowa nie jest muzyką, uważała talent, urojony wedle niej, a w rzeczywistości bardzo wybitny, jaki przyznawano margrabinie, za wirtuozerję bez głębszej wartości. Prawda, że jedyna żyjąca jeszcze uczenica Chopina twierdziła słusznie, że sposób grania, „czucie” mistrza, przeszły za jej pośrednictwem jedynie w panią de Cambremer, ale grać tak jak Chopin było wątpliwą rekomendacją dla siostry Legrandina, która stawiała polskiego muzyka na najniższym szczeblu artyzmu.

— Och! odlatują — wykrzyknęła Albertyna, pokazując mewy, które, wyzbywając się na chwilę swego kwiatowego incognito, wzbily się wszystkie naraz ku słońcu.

— *Przeszkadzają im chodzić ich skrzydła olbrzymie* — zacytowała pani de Cambremer, myląc mewy z albatrosami.

— Bardzo je lubię, widywałam je w Amsterdamie — rzekła Albertyna. Czują morze, przychodzą oddychać niem nawet poprzez kamienie ulic.

— A, była pani w Holandji, zna pani Ver Meery — spytała apodyktycznie pani de Cambremer, takim tonem, jakby powiedziała: „Zna pani Guermantów”, bo snobizm, zmieniając przedmiot, nie zmienia akcentu. Albertyna odpowiedziała że nie; myślała, że to są jakieś żywe osoby. Ale nie zdradziła się z tem.

— Bardzobym się cieszyła, gdybym mogła zagrać panu — rzekła pani de Cambremer. — Ale pan wie, ja gram tylko rzeczy, które nie interesują już pańskiej generacji. Byłam wychowana w kulcie Chopina — dodała cicho, bo bała się synowej, dla której Chopin nie był muzyką, tem samem grać go dobrze lub źle było określeniem pozbawionem sensu. Uznawała, że teściowa miała technikę, perliste pasaże. „Nikt we mnie nie wmówi, że to jest artystka” — konkludowała pani de Cambremer-Legrandin. Ponieważ uważała się za „awangardzistkę” i głosiła (jedynie w sztuce) że „nigdy dość na lewo”, wyobrażała sobie nietylko że muzyka postępuje ale że postępuję po jednej linii i że Debussy jest rodzajem nad-Wagnera, jeszcze trochę bardziej zaawansowanym niż Wagner. Nie zdawała sobie sprawy, że jeżeli Debussy nie był równie niezawisły od Wagnera jak ona sama miała myśleć za kilka lat (bo zawsze, bądź jak bądź, posługujemy się zdobytą bronią, aby się do reszty wyzwolić od tego kogośmy chwilowo przezwyciężyli), starał się jednak po przesycie, jaki zaczynały rodzić utwory zbyt kompletne, gdzie wszystko jest wyrażone — czynić zadość przeciwnej potrzebie. Teorje, rozumie się, popierały chwilowo tę reakcję; teorje podobne tym, które w polityce usprawiedliwiają ustawy przeciw zakonom, wojny wschodnie (zacołane nauczanie, żółte niebezpieczeństwo etc., etc.). Powiadano, że epoka pośpiechu wymaga sztuki pospiesznej, zupełnie tak, jakby mówiono, że przyszła wojna nie może trwać dłużej niż dwa tygodnie, lub że, wskutek kolei żelaznych, ulegną zaniedbaniu ukochane dylizansom zakątki, których modę wszelako auto miało przywrócić. Zalecano nie męczyć uwagi słuchacza, jakgdybyśmy nie rozporządzali rozmaitemi uwagami, tak iż właśnie od artysty zależy obudzić najwyższe ich sfery. Bo ci, co ziewają ze znużenia po dziesięciu wierszach płaskiego artykułu, odbywali co rok podróz do Bayreuth aby usłyszeć *Tetralogję*. Zresztą miał przyjść dzień, kiedy, na jakiś czas, Debussy'ego miano ogłosić równie płytkim jak Massenet, a podrygi Melizandy zepchnąć do rangi podrygów *Manon*. Bo teorje i szkoły, niby mikroby i ciała krwi, pożerają się wzajem i swoją walką stwarzają ciągłość życia. Ale ów czas jeszcze nie przyszedł.

Jak ze zwyczajki na giełdzie korzysta cała partja walorów, tak pewna ilość autorów korzystała z reakcji, bądź że nie zasługiwali na poprzednie lekceważenie, bądź poprostu że byli wprzód jego przedmiotem, co pozwalało powiedzieć coś nowego, biorąc ich w obronę. I zaczęto nawet poszukiwać w przeszłości paru śmiałych talentów, na których reputację

— zdawałoby się — obecny prąd nie powinienby mieć wpływu, ale których nazwisko jeden z nowych mistrzów wspomniał, podobno życzliwie. Często było to dlatego, że wszelki mistrz, choćby jego szkoła miała być najbardziej ekskluzywna, sądzi wedle swego indywidualnego poczucia, oddaje sprawiedliwość talentowi wszędzie gdzie go spotka, a nawet mniej niż talentowi, jakimś szczęśliwemu natchnieniu, które go ujęło niegdyś, które się wiąże z jakimś lubym momentem jego młodości. Innym razem dlatego, że pewni artyści z innej epoki osiągnęli w prostym utworze coś z tego, co do czego mistrz pomału zdał sobie sprawę że on sam chciał tego dokonać. Wówczas widzi w tym starym artyście jakby prekursora; ceni w nim, w zupełnie innej formie, wysiłek chwilowo i częściowo pokrewny. Są fragmenty Turnera w malarstwie Poussina; rytm Flauberta u Monteskiusza. Czasami zresztą te wieści o kulcie mistrza były wynikiem omyłki, zrodzonej niewiedząco jak i obnoszonej wśród jego wiernych. Wówczas cytowane nazwisko korzysta z firmy, pod której protekcją zjawilo się w dobrej chwili; o ile bowiem wybór mistrza płynie ze swobody i z prawdziwego smaku, o tyle szkoły kierują się już tylko doktryną. W ten sposób, duch, idąc swoim zwykłym biegiem, który posuwa się naprzód zygżakiem, zbaczając to w jednym to w drugim kierunku, skierował światło z góry na pewną ilość dzieł, do których potrzeba bądź sprawiedliwości, bądź odnowy, albo gust Debussy'ego, albo jego kaprys, albo jakieś jego słowa, może nigdy nie powiedziane, dołączyły utwory Chopina. Sławione przez znawców cieszących się powszechnym mirem, korzystając z podziwu, jaki budził *Peleas*, odnalazły one nowy blask, i nawet ci, co ich nie słyszeli na nowo, tak pragnęły je polubić, że czynili to mimo woli, chociaż ze złudzeniem swobody. Ale pani de Cambremer-Legrandin spędzała część roku na prowincji. Nawet w Paryżu, będąc przeważnie chora, dużo przebywała u siebie. Brak ten odbijał się naprawdę zwłaszcza w doborze wyrażań, które się pani de Cambremer wydawały modne, a które byłyby odpowiedniejsze w języku pisanym; odcień, którego nie czuła, bo raczej czerpała te wyrażenia z lektury niż z rozmowy. Rozmowa jest potrzebna nie tyle dla ścisłego poznania poglądów, co dla znajomości nowego słownictwa. Bądź co bądź, to odmłodzenie „nokturnów” nie było jeszcze obwieszczane przez krytykę. Nowina o niem rozeszła się jedynie przez rozmowy „młodych”. Pani de Cambremer-Legrandin nie wiedziała tego. Zrobiłem sobie tę przyjemność, aby ją uświadomić, ale zwracając się z tem do teściowej (jak kiedy na bilardzie, aby dosięgnąć kulę, gra się na bandę), że Chopin nie tylko nie jest niemodny, ale jest ulubionym muzykiem Debussy'ego. „O, to zabawne”, rzekła z porozumiewawczym uśmiechem synowa, tak jakby to był jedynie paradoks rzucony przez autora *Peleasa*. Niemniej było teraz pewne, że będzie już słuchała Chopina z szacunkiem, a nawet z przyjemnością. Toteż moje słowa, wybijając godzinę wyzwolenia dla starej margrabiny, sprowadziły na jej twarz wyraz wdzięczności a zwłaszcza radości. Oczy jej zabłyśły jak oczy Latude'a w sztuce pod tytułem *Latude albo trzydzieści pięć lat więzienia*, a pierś jej odetchnęła wiatrem od morza z ową głębią, jaką Beethoven tak dobrze oddał w *Fideliu*, kiedy jeńcy oddychają wreszcie „ożywczem powietrzem”. Co do niej samej, sądziłem, że złoży na moim policzku swoje wąsate wargi. „Jakto, pan lubi Chopina? On lubi Chopina, on lubi Chopina”, wykrzyknęła namiętnie i przez nos, tak jakby powiedział: „Jakto, pan zna także panią de Franquetot?” z tą różnicą, że moje stosunki z panią de Franquetot byłyby jej głęboko obojętne, podczas gdy moja znajomość Chopina wtrąciła ją w rodzaj artystycznej ekstazy. Hipersekrekcja gruczołów ślinowych nie wystarczała już. Nie próbując nawet zrozumieć roli Debussy'ego w odrodzeniu Chopina, uczuła tylko, że mój sąd jest przychylny. Ogarnął ją entuzjazm muzyczny. „Elodjo! Elodjo! on lubi Chopina?” — piersi jej wzduły się, zatrzepotała rękami. „Och, ja to zaraz uczułam, że pan jest muzyk w duszy — wykrzyknęła. Ja rozumiem, pan, taki hhartysta, że pan to kocha. To takie piękne!” I głos jej stał się tak żwirowaty, jak gdyby, dla wyrażenia zapału dla Chopina, napelniła, wzorem Demostenesa, usta wszystkimi kamykami całej plaży. Wreszcie nastąpił odpływ, sięgając aż do woalki, której margrabina nie miała czasu zabezpieczyć i która zwilgła, poczem margrabina haftowaną chusteczką otarła ślinę, którą zrosiło jej wąsy wspomnienie Chopina.

— Mój Boże — rzekła pani de Cambremer-Legrandin — zdaje mi się, że mama zasiaduje się trochę zbyt długo; zapomina mama, że będziemy dziś mieli na obiedzie wuja de Ch'nouvelle. A przytem Cancan nie lubi czekać.

Cancan pozostał dla mnie niezrozumiały, myślałem, że chodzi może o psa. Ale co się tyczy kuzynów de Ch'nouville, było tak. Z wiekiem osłabła u młodej margrabinie przyjemność, jaką znajdowała w tem aby ich nazwisko wymawiać w ten sposób. A jednak jeżeli niegdyś zdecydowała się na swoje małżeństwo, to dlatego, aby kosztować tej przyjemności. W innych grupach światowych, kiedy mówiono o Chenouville'ach, był zwyczaj poświęcać „*e muet*” z partykuły, przynajmniej za każdym razem kiedy partykułę *de* poprzedzało słowo kończące się samogłoską, w przeciwnym razie bowiem musiało się położyć nacisk na *de*, ile że język sprzeciwia się wymowie *Madam' d' Ch'nonceaux*. Mówiło się: pan d'Chenouville. U Cambremerów tradycja była odmienna, lecz równie despotyczna. W każdym wypadku łykało się nieme *e* nazwiska Chenouville. Czy nazwisko było poprzedzone słowem *mon cousin* czy *ma cousine*, zawsze brzmiało de „Ch'nouville”, a nigdy de Chenouville. (O ojcu tych Chenouville mówiono *notre oncle*, bo mieszkańcy Féterne nie byli na tyle „szykowni”, aby wymawiać „onk”, tak jakby to zrobili Guermantowie, których rozmyślny żargon, znoszący spółgłoski i sfrancuziający obce nazwiska, był równie trudny do zrozumienia jak język starofrancuski lub jakaś nowoczesna gwara). Wszelka osoba wchodząca do rodziny otrzymywała natychmiast w przedmiocie Ch'nouville ostrzeżenie, którego pani Legrandin-Cambremer nie potrzebowała. Jednego dnia, słysząc młodą pannę mówiącą „*ma tante d'Uzai*”, „*mon onk de Rouan*” nie od razu poznała dostojne nazwiska, które przywykła wymawiać *Uzès* i *Rohan*; odczuła zdumienie, zakłopotanie i wstyd człowieka, mającego przed sobą przy stole świeżo wynaleziony przyrząd, którego użytku nie zna i którym nie śmie zacząć jeść. Ale następnego wieczora i nazajutrz powtarzała z zachwytem: „*ma tante d'Uzai*” z owem skasowaniem końcowego *s*, które ją zdumiało wczoraj, ale którego nieznaną wydawała się jej obecnie czemś tak gminnym, że kiedy jedna z przyjaciółek wspomniała coś o portrecie księżnej d'Uzès, panna Legrandin odparła jej cierpko i wyniośle: „Mogłabyś choć wymawiać jak się należy: „*Marne d'Uzai*”. Odtąd rozumiała, że na mocy przemiany materij stałych w elementy coraz to subtelniejsze, znaczny i tak chlubnie nabyty majątek ojca, staranne wychowanie, pilnie słuchane wykłady profesorów Caro i Brunetière, koncerty Lamoureux, wszystko to miało się zmienić w parę, aby znaleźć swoją ostateczną sublimację w rozkoszy mówienia kiedyś: „Ciotka d'Uzai”. Nie przeszkadzało to jej planować zachowania stosunków — przynajmniej w pierwszych czasach małżeństwa — nie z pewnymi przyjaciółkami, które lubiła i które zdecydowała się poświęcić, ale z niektórymi innymi, których nie lubiła a którym chciała móc powiedzieć (skoro poto wyszła za mąż:): „Przedstawię cię ciotce d'Uzai”, kiedy zaś przekonała się że ta zażyłość jest nazbyt trudna: „Przedstawię cię ciotce de Ch'nouville”, albo „zaproszę cię na obiad z memi kuzynami Uzai”. Małżeństwo z panem de Cambremer dostarczyło pannie Legrandin sposobności wymawiania pierwszego z tych zdań, ale nie drugiego, gdyż świat, w którym żyli jej teściowie, nie był tym, który sobie wyobrażała i o którym nie przestała marzyć. Toteż, kiedy powiedziawszy mi o Robercie de Saint-Loup (posługując się przytem wyrażeniem Roberta, o ile bowiem ja, rozmawiając z panią de Cambremer, używałem zwrotów Legrandina, ona, mocą odwrotnej sugestji, odpowiadała mi w dialekcie Roberta, nie wiedząc że ten dialekt przejęty jest od Racheli), zbliżając wielki palec do wskazującego i mrużąc oczy tak jakby oglądała coś nieskończenie delikatnego, co zdołała pochwycić, rzekła: „Ma ładny gatunek inteligencji”, wyśpiewała jego panegiryk z takim zapalem, że można było przypuszczać, iż jest w nim zakochana (utrzymywano zresztą, że niegdyś, w czasach Doncières, Robert był jej kochankiem); w rzeczywistości zaś jedynie poto, abym mu to powtórzył i aby skończyć słowami:

— Pan jest bardzo blisko z księżną Orianą. Ja jestem cierpiąca, prawie nie bywam, a wiem że ona żyje w ścisłym kółku dobranych przyjaciół, co bardzo aprobuję, toteż znam ją raczej mało, ale wiem, że to jest kobieta zupełnie niepospolita.

Wiedząc, że pani de Cambremer ledwo zna księżnę, chcąc się uczynić równie maleńki jak ona, prześlizgnąłem się nad tym tematem i odrzekłem margrabinie, że znałem zwłaszcza jej brata, pana Legrandin. Na to nazwisko przybrała ten sam wymijający ton jakim ja mówiłem o pani de Guermantes, ale z odcieniem niezadowolenia, bo przypuszczała, że ja to mówię poto żeby poniżyć nie siebie lecz ją. Czy ją żarła rozpacz, że jest z domu Legrandin? Tak przynajmniej twierdziły siostry i szwagierki jej męża, szlachcianki z prowincji, nie znające nikogo i nie wiedzące nic, zazdroszczące pani de Cambremer inteligencji,

wykształcenia, majątku i wdzięków, które miała zanim zaczęła chorować. „Ona nie myśli o niczym innym, to ją zabija”, powtarzały na prawo i lewo te żmijki, mówiąc o pani de Cambremer, zwłaszcza zaś mówiąc o niej z „plebejuszem”, bądź aby, o ile był głupi i nadęty, podkreślić całą hańbę braku urodzenia oraz swoją uprzejmość, bądź też, jeżeli był inteligentny i nieśmiały i brał to do siebie, aby mieć przyjemność, mimo iż przyjmując go dobrze, zrobienia mu pośrednio impertynencji. Ale co się tyczy bratowej, te damy myliły się. Pani de Cambremer nie cierpiała wcale nad tem że jest z domu Legrandin, bo prosto zapomniała o tem. Uraziło ją, że jej to przypomniałem, i zamilkła tak jakby mnie nie rozumiała, nie uważając za potrzebne sprawdzać ani potwierdzać moich wspomnień.

— Kuzynostwo nie są główną przyczyną naszego pośpiechu — rzekła starsza pani de Cambremer, która była prawdopodobnie mniej od synowej czuła na przyjemność wymawiania „Ch’nouvelle”. — Ale, aby pana nie męczyć zbyt licznym towarzystwem, nasz gość — rzekła wskazując na adwokata — nie śmiał przyprowadzić tutaj żony i syna. Przechadzają się po plaży czekając na nas i zaczynają się zapewne nudzić.

Kazałem ich sobie dokładnie opisać i pobiegłem ich szukać. Żona miała twarz okrągłą jak niektóre kwiaty z rodziny jaskrowatych i dość duże znamię pod okiem. A że pokolenia ludzi zachowują swoje cechy jak gatunek roślin, ten sam znak, który mógłby pomóc do sklasyfikowania odmiany, wzdymał się pod okiem syna. Moja uprzejmość dla jego rodziny wzruszyła adwokata. Zainteresował się moim pobylem w Balbec. „Musi się pan czuć trochę nieswojo, bo tu są po największej części cudzoziemcy”. Mówiąc tak, przyglądał mi się bystro, bo nie lubiąc cudzoziemców, mimo że miał wśród nich wielu klientów, chciał się upewnić, czy ja nie jestem wrogi jego ksenofobji, w którym-to wypadku wycofałby się, mówiąc: „Oczywiście, pani X może być uroczą kobietą... To kwestja poglądów”. Nie mając w owej epoce żadnej opinji o cudzoziemcach, nie zaprzeczyłem; adwokat uczuł się tedy na bezpiecznym gruncie. Posunął się tak daleko, że mnie zaprosił, abym kiedy przyszedł w Paryżu obejrzeć jego kolekcję Le Sidanera i abym z sobą ściągnął państwa de Cambremer (widocznie uważał mnie za ich bliskiego znajomego). „Zaproszę pana razem z Le Sidanerem — rzekł, przekonany, że ja będę żył odtąd nadzieją tego szczęsnego dnia. Zobacz pan, co to za uroczy człowiek. I jego obrazy zachwycą pana. Rozumie się, że ja nie mogę rywalizować z wielkimi kolekcjonerami, ale sądzę że mam większość jego najlepszych płócien. To pana zainteresuje, zwłaszcza bezpośrednio po Balbec, bo to są motywy morskie, przynajmniej w znacznej części”.

Żona i syn adwokata, obdarzeni roślinną biernością, słuchali z nabożeństwem. Czuć było, że w Paryżu ich dom jest świątynią Le Sidanera. Tego rodzaju świątynie mają swoją użyteczność. Kiedy bożyszczce ma wątpliwości co do samego siebie, łatwo zatyka szczeliny własnej opinji o sobie nie zaprzeczonemi świadectwami istot, które poświęciły życie jego dziełu.

Na znak synowej, pani de Cambremer wstała, mówiąc do mnie:

— Skoro pan nie chce zamieszkać w Féterne, czy pan nie zechciałby choć wpaść kóregoś dnia na śniadanie, jutro na przykład?

I w swojej rozlewności, aby mnie skłonić, dodała: „*Odnajdzie* pan hrabiego de Crise-noy”, którego wcale nie zgubiłem, z tej prostej przyczyny że go nie znałem. Stara margrabina zaczynała błyskać przed moimi oczami innymi jeszcze pokusami, ale urwała nagle. Prezydent sądu, który wracając, dowiedział się, że pani de Cambremer jest w hotelu, szukał jej potajemnie wszędzie; później zaczął się i udając że ją spotyka przypadkiem, podszedł aby się przywitać. Zrozumiałem, że pani de Cambremer nie ma zamiaru obejmować prezydenta zaproszeniem. Znał ją wszakże o wiele dłużej niż ja, będąc od wielu lat stałym gościem podwieczorków w Féterne, których mu tak zazdrościłem za pierwszego pobytu. Ale dawność nie jest wszystkim dla ludzi światowych. Chętniej chowają swoje śniadania dla nowych znajomych, podniecających jeszcze ich ciekawość, zwłaszcza kiedy ich poprzedza przemożna i ciepła rekomendacja, jak w tym wypadku Roberta de Saint-Loup. Pani de Cambremer przyjęła ze pewnością, że prezydent nie słyszał jej słów zwróconych do mnie; ale, aby uśmierzyć swoje wyrzuty, była dlań nadzwyczaj uprzejma.

W blasku, który topił na horyzoncie poźłociste, zazwyczaj niewidoczne wybrzeże Rivelle, rozpoznaliśmy, ledwie oderwane od promiennego lazuru, wstające z wód różowe, srebrne, nieuchwytnie dzwonki, dzwoniące na Anioł Pański w pobliżu Féterne. — To jest także dosyć „Peleas” — rzekłem do pani de Cambremer-Legrandin. Wie pani

scenę, o której myślę. — Rozumie się, że wiem — odparła; — ale „wcale nie wiem” mówiły jej głos i jej twarz, nie dostrojone do żadnego wspomnienia, jak i uśmiech zawisły w powietrzu. Starsza dama nie mogła się uspokoić, że dzwonki słychać aż tutaj, i wstała przypomniawszy sobie że jest już późno.

— W istocie — rzekłem — zazwyczaj z Balbec nie widzi się tego wybrzeża i nie słyszy się go również. Musiała się pogoda odmienić i w dwójnasób poszerzyć horyzont. Chyba że te dzwonki przychodzą tu po panie, bo widzę że skłaniają panie do odjazdu, są dla pań dzwonkiem obiadowym.

Prezydent, mało wrażliwy na dzwony, patrzył ukradkiem na digę, zrozpaczony że tego wieczora jest tak wyludniona.

— Jest pan prawdziwy poeta — rzekła do mnie pani de Cambremer. — Czuć w panu coś tak wibrującego, tak artystycznego; niech pan przyjedzie, zagram panu Chopina — dodała, podnosząc ręce w ekstazie i mówiąc chrapliwym głosem, jakby ktoś przesypanywał żwir. Potem nastąpiło połknięcie śliny i stara dama instynktownie otarła chustką lekką szczołeczkę swoich amerykańskich wąsików. Prezydent oddał mi niechcący wielką przysługę, biorąc margrabinę pod ramię, aby ją zaprowadzić do powozu, z pewną dozą rubasności, śmiałości i ostentacji, dyktującą mu wzięcie, na które nie odważyliby się inni, a które w wielkim świecie bywa dość mile widziane. Był zresztą, od tylu lat, o wiele bardziej obyty odemnie. Błogosławiąc go, nie śmiałem go naśladować i siedłem obok pani de Cambremer-Legrandin; zapagnęła obejrzeć książkę, którą trzymałem. Widząc nazwisko pani de Sévigné, skrzywiła się; zaczęła, posługując się słowem wyczytanem w pewnych dziennikach, ale które, użyte w tej kombinacji, w zastosowaniu do pisarza z XVII wieku, robiło dziwne wrażenie, spytała: — Czy pan naprawdę uważa, że to jest ktoś? — Margrabina dała lokajowi adres cukierni, dokąd miała wstąpić, zanim ruszyli drogą różową od wieczornego kurzu, w którym błękitniały niby zady końskie wybrzuszania skał. Spytała starego stangreta, czy jeden koń, skłonny do przebiegów jest ciepło okryty, czy podkova drugiego nie uwiera. „Napiszę do pana w sprawie o którejśmymy mówili — rzekła półgłosem. Widziałam, że pan rozmawiał o literaturze z synową, ona jest urocza” — dodała, mimo że nie myślała tego, ale przywykła i zachowała przez dobroć to przyzwyczajenie — mówić to, aby nie wyglądało, że jej syn ożenił się dla pieniędzy. „A przytem — dodała margrabina entuzjastycznie żując te ostatnie słowa — ona jest taka hhhartystka!” Poczem wsiadła do powozu, kiwając głową, podnosząc pastorał parasolki, i ruszyła przez ulice Balbec, przeciążona ornamentami swego kapłaństwa, niby stary biskup na objeździe pasterskim.

— Zaprosiła pana na śniadanie — rzekł do mnie surowo prezydent, kiedy powóz się oddalił a ja wracałem w dziewczętami. Jesteśmy z sobą trochę chłodno. Ona uważa, że ja ją zaniedbuję. Ba, ja jestem człowiek łatwy w pożyciu. Kiedy mnie ktoś potrzebuje, zawsze jestem gotów stanąć do apelu. Ale oni chcieli wziąć mnie za łeb. Och, wówczas — dodał z wiele mówiącą miną, podnosząc palec jak ktoś kto waży każde słowo — hola, to nie ze mną. Tęby był zamach na swobodę moich wywczasów. Musiałem powiedzieć: „Stop!” Pan jest, zdaje się, z nią bardzo dobrze. Kiedy pan będziesz w moim wieku, zobaczysz pan, że świat, to bardzo niewiele, i będziesz żałował, żeś przywiązywał tyle wagi do tych głupstw. No, idę się trochę przejść przed obiadem. Bywajcie, dzieci — krzyknął, tak jakby już był o pięćdziesiąt kroków.

Kiedym się pożegnał z Rozamondą i z Gizelą, ujrzały ze zdziwieniem, że Albertyna zatrzymała się i nie idzie z niemi. — Albertyno, co ty tam robisz, wiesz która jest godzina? — Wracajcie — odrzekła z powagą. — Ja mam do pomówienia z nim — dodała, wskazując na mnie z pokorną miną. Rozamonda i Gizela popatrzały na mnie, jakby zdjęte nowym szacunkiem. Cieszyłem się świadomością, że bodaj na chwilę jestem, w obecności Rozamondy i Gizeli, czemś ważniejszym dla Albertyny, niż godzina powrotu, niż przyjaciółki, i że mogę nawet mieć z nią ważne sekrety, w które niepodobna byłoby ich wtajemniczyć. — Czy nie ujrzymy cię dziś wieczór? — Nie wiem, to będzie zależało od niego. W każdym razie, do jutra.

— Chodźmy do mojego pokoju — rzekłem, kiedy się przyjaciółki oddaliły. Wsiadliśmy do windy, Albertyna zachowała przy lift-boyu milczenie. Konieczność uciekania się do osobistej obserwacji i do dedukcji, aby poznać drobne sprawy „państwa”, owych szczególnych ludzi, którzy rozmawiają między sobą a nie mówią do nich, rozwija u „pra-

owników” (jak *lift* nazywał służbę) większą zdolność odgadywania myśli niż u „pryncypałów”. Narządy zanikają albo stają się silniejsze lub subtelniejsze wedle tego czy ich potrzeba rośnie lub maleje. Od czasu jak istnieją koleje żelazne, obawa spóźnienia się na pociąg nauczyła nas liczyć się z minutami, gdy u dawnych Rzymian, u których nietylko astronomia była mniej dokładna ale życie mniej pospieszne, pojęcie już nie minut, ale nawet stałych godzin zaledwie że istniało. Toteż *lift* zrozumiał (i myślał opowiedzieć to swoim kolegom), żeśmy byli oboje z Albertyną mocno zaabsorbowani. Ale mówił do nas bez przerwy, bo zbywało mu taktu. Równocześnie widziałem na jego twarzy, w miejsce zwykłych oznak sympatii i radości że mnie wiezie windą, wyraz niezwyklego przygnębienia i niepokoju. Ponieważ nie znałem przyczyny, tedy, chcąc go wyrwać z tego nastroju (mimo że bardziej zajęty byłem Albertyną), pouczyłem go, że dama, która właśnie odjechała, nazywa się margrabina de Cambremer a nie Camembert. Na piętrze które mijaliśmy w tej chwili, spostrzegłem niosącą wałek do łóżka szpetną pokojówkę, która mi się ukloniła z szacunkiem, w nadziei napiwku przy odjeździe. Byłbym rad wiedzieć, czy to jest ta, której tak pragnąłem w ów pierwszy wieczór w Balbec; ale nigdy nie mogłem się dowiedzieć na pewno. *Lift* przysiągł mi, że zwykłą szczerością fałszywych świadków, ale nie porzucając stroskanej miny, że jednak margrabina podała nazwisko Camembert. I prawdę mówiąc, dość naturalne było, że on usłyszał nazwisko już mu znane. Ponieważ zarazem miał o szlacheństwie i o charakterze nazw z których się tworzą tytuły, pojęcia bardzo mętne, wspólne wielu osobom nawet będącym czemś więcej niż chłopiec od windy, nazwisko Camembert wydało mu się tem prawdopodobniejsze; ten ser jest powszechnie znany, nie było tedy nic dziwnego, że związane margrabstwo z tak zaszczytną sławą — o ile nie margrabstwo użyczyło sławy serowi. Mimo to, ponieważ widział że ja nie chcę wyglądać na człowieka który się omylił i ponieważ wiedział że panowie lubią aby słuchano ich najbliższych kaprysów i przyjmowano ich najoczywistsze kłamstwa, przyrzekł mi, jako dobry sługa, mówić na przyszłość *Cambremer*. Prawda, że żaden kupiec w mieście, ani żaden wieśniak w okolicy, gdzie nazwisko i osoba Cambremerów były doskonale znane, nie mogliby podzielić omyłki tego *lift*-boya. Ale personel *Grand-Hotel de Balbec* nie składał się bynajmniej z tubylców. Przybywał w prostej linii, wraz z całym materiałem, z Biarritz, z Nizy i z Monte-Carlo, przyczem jedną część kierowano do Deauville, drugą do Dinard, a trzecią zachowywano dla Balbec.

Ale bolesny niepokój *lift*-boya rósł. Na to aby zapomniał objawiać mi swoje oddanie zwykłymi uśmiechami, musiało mu się wydarzyć jakieś nieszczęście. Może go oddalono? W takim wypadku przyrzekłem sobie postarać się aby go zatrzymano, bo dyrektor obiecał mi ratyfikować wszystko co postanowię w sprawie personelu. „Może pan robić co pan zechce, rektyfikuję to zgóry”. Naraz, kiedy miał wsiąść, zrozumiałem rozpacz, przybitą minę chłopca. Wskutek obecności Albertyny, nie dałem mu pięciu franków, które wręczałem mu zwykle, wsiadając do windy. I ten głuptas, zamiast zrozumieć że ja nie chcę przy trzeciej osobie popisywać się napiwkami, zaczął drżeć, przypuszczając, że to już skończone raz na zawsze, że już mu nie dam nigdy nic. Wyobrażał sobie, że popadłem w „mizerję” (jakby powiedział książę Błażej), i to przypuszczenie nie budziło w nim żadnego współczucia dla mnie, ale straszliwy samolubny zawód. Pomyślałem, że byłem mniej niedorzeczny niż uważała matka, kiedy pewnego dnia nie śmiałem cofnąć przesadnie wygórowanej ale gorączkowo oczekiwanej sumy, jaką mu dałem dnia poprzedniego. Zarazem sens, przypisywany dotąd przezemnie (i bez żadnej wątpliwości) stale rozradowanej minie, w której nie wahałem się dojrzeć oznak przywiązania, wydał mi się mniej pewny. Widząc windziarza, gotowego w swojej rozpaczyci rzucić się z piątego piętra, zastanawiałem się, gdyby układ naszych warunków społecznych się zmienił (naprzykład w razie rewolucji), czy zamiast grzecznie dla mnie manewrować windą, *lift*, stawszy się burżujem, nie zrzuciłby mnie z niej, i czy w pewnych klasach nie ma więcej fałszu niż w wielkim świecie, gdzie niewątpliwie chowa się na chwilę naszej nieobecności ujemne sądy o nas, ale gdzie, w razie gdybyśmy popadli w nieszczęście, stosunek do nas nie byłby obelżywy.

Nie można wszelako powiedzieć, aby w całym hotelu w Balbec ten windziarz był najbardziej interesowny. Z tego punktu widzenia personel dzielił się na dwie kategorie; z jednej strony ci, co czynili różnicę między gośćmi, czulsi na umiarkowany napiwek starego szlachcica (zdolnego zresztą zwolnić ich od ćwiczeń wojskowych, dzięki poleceniu

do generała de Beautreillis) niż na przesadną hojność jakiegoś niebieskiego ptaka, zdradzającego tą hojnością brak obycia, który jedynie w jego obecności zwał się „dobrocią”; z drugiej strony ci, dla których szlachectwo, inteligencja, sława, sytuacja, wzięcie, nie istniało — znali jedynie cyfrę. Dla tych istniała tylko jedna hierarchia; pieniądze, które ktoś ma, lub raczej które daje. Może i sam Aimé, mimo iż pretendując — dla wielkiej ilości hotelów w których służywał — do wielkoświatowego obycia, należał do tej kategorii. Co najwyżej zabarwiał on ten typ oceny orientacją socjalną i genealogiczną; gdy naprzykład o księżnej de Luxembourg mówił: „Czy tam jest dużo pieniędzy?” pytajnik ten miał na celu osiągnięcie lub definitywne sprawdzenie informacji, zanim sprokurował klientowi kuchmistrza do Paryża, lub zanim mu zapewnił w Balbec stolik na lewo, przy wejściu, z widokiem na morze. Bądź co bądź, Aimé, nie pozbawiony interesowności, nie byłby jej zdradził głupią rozpaczą jak ów lift-boy.

Zresztą, naiwność chłopca upraszczała może sytuację. To jest wygoda wielkiego hotelu lub zakładu takiego jak ten w którym niegdyś praktykowała Rachel, że bez przejść, na lodowatej dotąd twarzy służącego lub kobiety, widok stufrankówki — tem bardziej tysiącfrankówki — nawet ewentualnie danej komuś innemu, wywołuje uśmiech i gotowość do usług. Naodwrot w polityce, w stosunkach między kochankami, istnieje zbyt wiele rzeczy między pieniądzem a usługą. Tyle, że nawet ci, u których pieniądz budzi w końcu uśmiech, często nie zdolni śledzić wewnętrznego procesu który te rzeczy łączy, uważają się za drażliwszych, stają się drażliwsi. I z tych ceremonij destylują się w końcu formuły: „Wiem, co mi pozostaje uczynić, jutro znajdę mego trupa”. Toteż w eleganckim towarzystwie mało spotyka się powieściopisarzy, poetów, wszystkich tych wspaniałych istot, mówiących właśnie o tem o czem nie należy mówić.

Skorośmy zostali sami i weszli w korytarz, Albertyna rzekła: „Co ty masz przeciwko mnie?” Czy moja brutalność wobec niej była przykra mnie samemu? Może była z mojej strony jedynie nieświadomym podstępem, mającym doprowadzić Albertynę do tej wylękłej i błagalnej postawy, któraby mi pozwoliła poddać ją śledztwu, a może dowiedzieć się, która z moich dwóch oddawna stworzonych hipotez jest prawdziwa. Bądź co bądź, kiedy usłyszałem jej pytanie, uczulem nagły przyływ szczęścia, jak ktoś, kto osiąga oddawna upragnionego celu. Zanim jej odpowiedziałem, doprowadziłem ją aż do drzwi. Otwierając, spowodowałem odpływ różowego światła które wypełniało pokój i biały muslin firanek rozpiętych na wieczorze zmieniało w połyskującą materję koloru jutrzeńki. Podszedłem do okna, mewy znów siedziały na falach, ale teraz były różowe. Pokazałem je Albertynie. „Nie odwracaj rozmowy — rzekła — bądź szczery jak ja”. Skłamałem. Oświadczyłem, że wprzód musi wysłuchać wyznania, wyznania wielkiej miłości jaką żywię od dłuższego czasu do Anny; i dokonałem tego wyznania z prostotą i szczerością godną wielkiego aktora, taką jaką się ma w życiu wyłącznie niemal dla wyrażenia miłości której się nie czuje. Powtarzając kłamstwo, do jakiego się uciekłem z Gilbertą przed pierwszym Balbec, ale odmieniając je nieco, aby tem pewniej przekonać Albertynę o tem że jej nie kocham, posunąłem się do zwierzenia, że niegdyś omal się w niej nie zakochałem, ale że za wiele czasu minęło, że teraz jest już dla mnie tylko dobrym kolegą, i że choćbym chciał, nie umiałbym już wskrzesić w sobie gorętszych dla niej uczuć. Zresztą, upewniając z naciskiem Albertynę o swoim chłodzie, podkreślałem jedynie wyraźniej — z powodu specjalnej okoliczności i dla specjalnego celu — i zaznaczałem silniej ów dwosty rytm, jaki przybiera miłość u wszystkich tych, którzy zbyt mało ufają sobie na to by wierzyć że kobieta mogłaby ich kiedy pokochać, a także aby oni sami mogli pokochać prawdziwie. Znają siebie samych na tyle, aby wiedzieć, że przy najróżniejszych kobietach doznawali tych samych nadziei, tych samych lęków, wymyślali te same romanse, wymawiali te same słowa; zarazem zdają sobie sprawę, że ich uczucia i postęпки nie są w ścisłym i koniecznym związku z ukochaną kobietą, ale przechodzą obok niej, obryzgują ją, opływają ją tak jak fala oblewa skały, a uczucie własnej niestałości zwiększa w nich jeszcze niewiarę w miłość tej kobiety, której miłości takby pragnęli. Skoro ona jest tylko prostym przypadkiem który się znalazł w sferze naszych pragnień, czemu przypadek miałby sprawić abyśmy wzajem byli celem jej pragnień? Toteż, odczuwając potrzebę wyłania na nią wszystkich uczuć, tak różnych od uczuć poprostu ludzkich jakie budzi w nas bliźni, tych uczuć tak swoistych jakimi są uczucia miłosne, uczyniwszy krok naprzód, wyznając tej którą kochamy naszą tkliwość, nasze nadzieje, tuż potem, lękając się ją zra-

zić, zawstydzeni też poczuciem że język jakim do niej mówimy nie zrodził się umyślnie dla niej, że już nam służył i będzie służył dla innych, że o ile ona nas nie kocha, nie może nas zrozumieć i w takim razie mówiliśmy z brakiem smaku i bezwstydem pedanta produkującego wobec nieuków niedostępne im subtelności, ta obawa, ten wstyd, sprowadzają ów kontr-rytm, odpływ, potrzebę podjęcia znów ofensywy — choćby cofając się wstecz, odbierając gwałtownie uprzednio wyznaną sympatię — potrzebę odzyskania szacunku, władzy; podwójny rytm przejawia się w rozmaitych okresach tej samej miłości, we wszystkich analogicznych okresach miłości pokrewnych sobie, u wszystkich istot, które się bardziej analizują niż cenią. Ale jeżeli ów rytm był nieco silniej zaakcentowany niż bywa zazwyczaj w rozmowie takiej jak obecna moja z Albertyną, to poprostu dlatego, aby mi pozwolić szybciej i energiczniej przejść do przeciwnego rytmu, któryby skandowała moja czułość.

Jakgdyby Albertynie było trudno uwierzyć w to com mówił o mojej niemożności pokochania jej na nowo z powodu zbyt długiej przerwy, popierałem to, com nazywał dziwactwem swego charakteru, przykładami zaczerpniętymi z osób, z którymi, z ich czy ze swojej winy, przepuściłem godzinę zakochania się, nie mogąc, mimo najszczerzej chęci, odnaleźć jej później. Robiło to wrażenie równocześnie że się tłumaczę — niby z niegrzeczności — z tej niezdolności pokochania Albertyny na nowo, i że się jej staram uprzytomnić psychologiczne racje tego, jakby swoiste dla mnie. Ale tłumacząc się w ten sposób, omawiając obszernie stosunek z Gilbertą, z którą było w istocie ścisłą prawdą to, co było tak mało podobne do prawdy w stosunku do Albertyny, czyniłem jedynie swoje zapewnienia w równym stopniu prawdopodobnymi, w jakim udawałem iż powątpiewam o ich prawdopodobieństwie. Czując iż Albertyna ocenia to, co uważała za moją „otwartość” i uznaje oczywistość moich wywodów, przeproszałem ją za ową otwartość, mówiąc że wiem iż człowiek zawsze jest niemily kiedy mówi prawdę i że ta prawda musi się jej zresztą wydawać niezrozumiała. Podziękowała mi przeciwnie za szczerość i dodała, że doskonale rozumie tak częsty i naturalny stan ducha.

Uczyniwszy to wyznanie urojonych uczuć dla Anny, obojętności zaś dla Albertyny, aby się wydać całkiem szczerym i naturalnym, upewniłem ją nawiasem, jakby przez grzeczność, że nie należy tej obojętności brać zbyt dosłownie; poczem mogłem wreszcie, bez obawy zdradzenia Albertynie mojej miłości, mówić do niej ze słodyczą, której wzbraniałem sobie od tak dawna. To było rozkoszne. Niemal pieściłem swoją powiernicę; kiedyś jej mówił o tej którą rzekomo kochałem, lży nabiegały mi do oczu. Ale przechodząc do faktu, powiedziałem wreszcie Albertynie, że wie co to jest miłość, jej podejrzliwości, cierpienia, i że, jako mojej dawnej przyjaciółce, zależałoby jej może na tem, aby położyć koniec zgrzyzotom jakie mi sprawia, nie wprost, skoro nie ją kocham (o ile mi to wolno powtórzyć bez urażenia jej), ale pośrednio, godząc w moją miłość do Anny. Przerwałem, aby podziwiać i pokazać Albertynie wielkiego samotnego i spieszącego się ptaka, który w oddali, smagając powietrze regularnem biciem skrzydeł, leciał z całą chyżością ponad plażą upstrzoną blaskami podobnymi do podartych kawałeczków czerwonego papieru, i przebywał ją nie zwalniając lotu, nie odwracając uwagi, nie zbaczając z drogi, niby wysłannik niosący bardzo daleko pilne i ważne zlecenie. „On przynajmniej idzie prosto do celu!” rzekła Albertyna z akcentem wyrzutu.

— Mówisz tak, bo nie wiesz, cobym ci chciał powiedzieć. Ale to jest takie trudne, że wolę raczej poniechać tego; jestem pewien, żebyś się pogniewała; wówczas zyskam tylko tyle że się w niczem nie zbliżę do szczęścia z tą którą kocham, a stracę dobrą przyjaciółkę.

— Ale skoro ci przysięgam, że się nie pogniewam.

Miała minę tak słodką, tak smutno uległą i oczekującą odemnie szczęścia, że ledwo mogłem się wstrzymać aby nie ucałować — z tym samym prawie rodzajem przyjemności, jaki miałbym całując matkę — tej nowej twarzy, nie wabiącej już ożywioną i zarumienioną minką krnąbrnej i przewrotnej kotki o różowym i zadartym nosku, ale uderzającej pełnią przygnębienia i smutku, rozplywającą się szerokimi falami dobroci. Patrząc na Albertynę w oderwaniu od swojej miłości, jako od chronicznego szaleństwa nie mającego z nią związku, stawiając się na jej miejscu, z rozczuleniem patrzałem na tę pocziwą dziewczynę, nawykłą do tego aby z nią postępowano przyjaźnie i lojalnie, a którą ja, ów dobry kolega jakiego miała prawo się we mnie spodziewać, dręczyłem od całych tygodni, dochodząc w tem wreszcie szczytu. I przez to że brałem rzeczy z czysto ludzkiego

punktu, będącego poza nami dwojgiem i w którym moja zazdrosna miłość znikła, czułem głęboką litość, która byłaby mniej głęboka, gdybym nie kochał Albertyny. Zresztą, w rytmicznej oscylacji, wiodącej od wyznań do kłótni (najpewniejszy, najskuteczniej niebezpieczny sposób, aby, zapomocą sprzecznych i kolejnych poruszeń, stworzyć węzeł nie do rozwiązania, wiążący nas trwale z jakąś osobą), we wstępnym ruchu stanowiącym jeden z dwóch elementów rytmu, poco rozróżnić jeszcze odpływy ludzkiego współczucia, które, przeciwstawione miłości, mimo że mające może nieświadomie tę samą przyczynę, wydaje w każdym razie te same skutki? Przypominając sobie później wszystko cośmy zrobili dla kobiety, zdajemy sobie często sprawę, że postęпки natchnione chęcią okazania że się kocha, zyskania miłości, zdobycia jej dowodów, zajmują bodaj że nie więcej miejsca niż postęпки wynikłe z ludzkiej potrzeby naprawienia win względem ukochanej istoty, przez prosty moralny obowiązek, tak jakby się jej nie kochało.

„Ale, ostatecznie, co ja takiego zrobiłam?” pytała Albertyna. Zapukał ktoś, to był chłopiec od windy; ciotka Albertyny, przejeżdżając koło hotelu, zatrzymała się na wszelki wypadek, aby zobaczyć czy jej niema i zabrać ją. Albertyna kazała powiedzieć, że nie może zejść, żeby siadano do stołu nie czekając na nią; nie wie, o której wróci. „Ale ciotka się pogniewa? — Cóż znowu! Zrozumie wybornie”. Tak więc — w tej chwili przynajmniej, chwili która się może nie powtórzy — rozmowa ze mną stawała się dla Albertyny czemś tak oczywiście ważnym, że przesłaniała wszystko inne. Co więcej, Albertyna — z pewnością instynktownie streszczając kanony familijnego kodeksu, przypominając sobie okoliczności, w których, kiedy karjera pana Bontemps była w grze, nie żalowano na jakąś podróż — nie wątpiła, że to pogwałcenie godziny obiadu wyda się ciotce całkiem naturalne. Tę odległą godzinę, którą spędzała bezemnie, wśród swoich, Albertyna zbliżyła do mnie, oddawała mi ją: mogłem nią rozporządzać.

Odważyłem się wreszcie zwierzyć Albertynie, co mi mówiono o jej sposobie życia. Mimo głębokiego wstrętu (rzekłem), jaki we mnie budzą kobiety dotknięte tą przywarą, nie troszczyłem się o to, aż do chwili gdy mi wymieniono jej współniczkę; wobec mojej miłości do Anny, może pojąć, jaki mi to ból sprawiło! Byłoby może zręcznie powiedzieć, że mi cytowano również inne kobiety, które mi były obojętne. Ale nagle i straszliwa rewelacja, zawarta w słowach profesora Cottard, wniknęła we mnie aby mnie rozedrzeć, całkowicie, ale nic poza nią. I tak jak przedtem, gdyby Cottard nie zwrócił mi uwagi na ich sposób tańczenia walca, nigdy samo z siebie nie przyszłoby mi na myśl, że Albertyna mogłaby kochać Annę, lub bodaj mogłaby się z nią oddawać pieszczotom, tak samo nie umiałem przejść od tej myśli do innej — dla mnie tak różnej — że Albertyna mogłaby mieć, poza Anną, z innymi kobietami stosunki, nawet nie usprawiedliwione miłością. Albertyna — zanim mi jeszcze przysięgła że to nieprawda — objawiła — jak każda osoba która się dowie że coś takiego o niej mówiono — gniew, zmartwienie, w stosunku zaś do nieznanego oszczercy zajadłą ciekawość dowiedzenia się kto to taki, oraz chęć konfrontacji z nim, aby go móc pognać. Ale upewniła mnie, że — do mnie przynajmniej — nie ma żalu: „Gdyby to była prawda, przyznałabym się. Ale obie z Anną mamy jednaki wstręt do takich rzeczy. Oczywiście, że w naszym wieku zdarzało się nam spotkać kobiety z krótkimi włosami, z męskim wzięciem i skłonnościami takimi jak mówisz; otóż nic nas tak nie brzydzi”. Albertyna dawała mi tylko swoje słowo, słowo stanowcze, choć nie poparte dowodami. Ale to właśnie mogło mnie najlepiej uspokoić; zazdrość bowiem jest z rodziny owych chorobliwych wątpliwości, które o wiele skuteczniej leczy energia zapewnienia, niż ich prawdopodobieństwo. Cechą zresztą miłości jest, że czyni nas równocześnie nieufniejszymi i łatwowierniejszymi; każe nam podejrzewać — łatwiej niż każdą inną — kobietę którą kochamy, i także łatwiej uwierzyć jej przeczeniom. Trzeba kochać, aby się dręczyć tem że istnieją nietylko uczciwe kobiety, to znaczy aby to spostrzec; i trzeba kochać, aby pragnąć ich istnienia, czyli uwierzyć w ich istnienie. Ludzką rzeczą jest szukać bólu i natychmiast się z niego wyzwalać. Słowa zdolne to osiągnąć łatwo wydają się nam prawdą; nie mędrkuje się nad kojącym środkiem który działa. A potem, choćby istota, którą kochamy, była najbardziej złożona, może bądź co bądź ujawnić nam dwie zasadnicze osobowości, zależnie od tego, czy się nam objawi jako nasza, czy jako zwracająca swoje pragnienia w inną stronę. Pierwsza z tych osobowości posiada swoistą władzę, nie pozwalającą nam wierzyć w realność drugiej, specyficzny sekret kojenia cierpień, jakie ta druga sprawiła. Ukochana istota jest kolejno chorobą i lekiem, który usuwa

i pogarsza chorobę. Bez wątpienia, oddawna, siłą wpływu jaki przykład Swanna wywierał na moją wyobraźnię i zdolność czucia, byłem przygotowany do wierzenia w to czegom się lękał, raczej niż w to czegobym pragnął. Toteż fakt że sobie przypomniał historię Odety omal nie udaremnił słodczy słów Albertyny. Ale powiedziałem sobie, że o ile słuszne jest wziąć w rachubę to co najgorsze — nie tylko wtedy, kiedy, aby zrozumieć cierpienia Swanna, próbowałem się postawić na jego miejscu, ale teraz kiedy chodziło o mnie samego, i dociekając prawdy tak jakby chodziło o kogo innego — nie należy jednak, przez okrucieństwo dla samego siebie — niby żołnierz, któryby obrał posterunek nie najużyteczniejszy ale najniebezpieczniejszy — popełniać tego błędu, aby uważać jakąś hipotezę za prawdziwszą od innych, jedynie dlatego że jest najboleśniejsza. Czyż nie istniała przepaść między Albertyną, młodą dziewczyną z niezłej mieszczańskiej rodziny, a Odetą, kokotą sprzedaną dzieckiem przez własną matkę? Niepodobna słowa jednej porównywać ze słowem drugiej. Zresztą Albertyna nie miała tego interesu okłamywania mnie, jaki miała Odeta w stosunku do Swanna. A wreszcie Odeta wyznała Swannowi to, czemu Albertyna właśnie zaprzeczyła! Nie biorąc tedy w rachubę owych różnic faktycznych i odtwarzając istotne życie Albertyny jedynie wedle tego com wiedział o życiu Odety, zrobiłbym błąd logiczny, równie poważny — mimo że odwrotny — jak ów, któryby mnie skłonił do jakiejś hipotezy, dlatego że byłaby mi mniej bolesna. Miałem przed sobą nową Albertynę, widzianą już coprawda kilka razy pod koniec pierwszego pobytu w Balbec, szczerą, dobrą, Albertynę, która przez przywiązanie do mnie przebacza mi podejrzenia i stara się je rozprószyć. Posadziła mnie obok siebie na łóżku. Podziękowałem jej za to co mi powiedziała; upewniłem, że już między nami zgoda i że nigdy nie będę dla niej niedobry. Powiedziałem, że jednak powinna wracać na obiad. Spytała, czy mi nie dobrze tak. Przyciągając moją głowę, w pieszczocie, której mi używała poraz pierwszy i którą zawdzięczałem może naszej minionej zwadzie, przeciągnęła lekko język po moich wargach, starając się je rozchylić. Na początek nie rozwarłem ust. „Jakiś ty złośnik! — rzekła.

Należało mi wyjechać tego wieczora i już jej nigdy nie ujrzeć. Przeczuwałem wówczas, że w miłości niewzajemnej — czyli poprostu w miłości, bo są istoty, dla których miłość wzajemna nie istnieje — można kosztować ze szczęścia jedynie tę złudę, która mi była dana, w jednej z owych chwil, gdy dobroć kobiety, lub jej kaprys, lub przypadek, użyczą naszym pragnieniom — w doskonałej z nimi harmonji — tych samych słów, uczynków, co gdyby nas naprawdę kochała. Najrozsądniej byłoby oglądać z ciekawością, posiadać z rozkoszą ową cząsteczkę szczęścia, bez której umarłbym nie podejrzewając czem ono może być dla serc mniej trudnych lub bardziej uprzywilejowanych; przypuścić, że ta cząsteczka stanowi część rozległego i trwałego szczęścia, które mi się objawiło jedynie w tym punkcie, i aby jutrzejszy dzień nie zniweczył tego złudzenia, nie żądać żadnej łaski, po tej którą zawdzięczałem jedynie kaprynowi wyjątkowej chwili. Powiniennem był opuścić Balbec, zamknąć się w samotności, trwać w niej w harmonji z ostatnimi wibracjami głosu, w który zdołałem na chwilę tchnąć miłość i od którego żądałbym już tylko tego aby się nie zwracał więcej do mnie; z obawy aby nowem słowem, któreby musiało być już odmienne, głos ten nie zmącił dysonansem wymownej ciszy, w której, jakgdyby za pomocą jakiegoś pedału, mogłaby we mnie długo przetrwać tonacja szczęścia.

Uspokojony porozumieniem z Albertyną, zacząłem znów więcej przebywać z matką. Lubiła mi opowiadać serdecznie o czasach gdy babka była młodsza. Bojąc się, abym sobie nie wyrzucił smutków jakimi mogłem zachmurzyć schyłek tego życia, wracała chętnie do lat, gdy moje pierwsze prace sprawiały babce radość, dotychczas mi ukrywaną. Mówiliśmy o Combray. Matka powiedziała, że tam bodaj czytałem, i że w Balbec, o ile nie pracuję, powinienem robić to samo. Odpowiedziałem, że aby się otoczyć właśnie wspomnieniami z Combray i ładnymi malowanymi talerzami, chętniebym odczytał *Tysiąc i jedną noc*. Jak niegdyś w Combray, kiedy mi dawała książki na imieniny, matka sprowadziła w sekrecie — aby mi zrobić niespodziankę — równocześnie *Tysiąc i jedną noc* Gallanda i *Tysiąc nocy i jedną noc* Mardrusa. Rzuciwszy okiem na oba przekłady, matka wolałaby abym się trzymał Gallanda, mimo iż bała się wpływać na mnie przez szacunek dla swobody intelektualnej, z obawy niezręcznego wkroczenia w życie mojej myśli i w poczuciu że, będąc kobietą, z jednej strony nie posiada (jak sądziła) potrzebnej kompetencji literackiej, z drugiej nie powinna sądzić lektury młodego człowieka miarą tego

co razi ją samą. W niektórych opowieściach, na które natrafiła, zgorszyła ją niemoralność przedmiotu i brutalność wyrażen. Ale zwłaszcza, przechowując ze czcią jak relikwie nie tylko broszkę, parasolkę, mantylkę, tomik pani de Sévigné, ale także nawyki, myśli i słowa swojej matki, zastanawiając się w każdej okoliczności co powiedziała by ona, matka nie wątpiła, że sąd babki wypadłby ujemnie dla książki Mardrusa. Przypominała sobie, że w Combray, kiedy, zanim się puściłem w stronę Méséglise, czytałem Augustyna Thierry, babka, zadowolona z moich lektur i spacerów, oburzała się jednak, widząc że ten, którego nazwisko zrosło się z hemistychem „*Puis règne Mérovée*” zowie się tu Merowig; również wzbraniała się zwać Karolingami Karlowingów, którym pozostała wierna.

Opowiedziałem matce, co babka myślała o imionach greckich, jakie Bloch, w duchu Leconte de Lisle’a, dawał bogom Homera, nakładając sobie, nawet w najprostszych rzeczach, święty obowiązek (sądził iż na tem polega talent literacki) zachowania greckiej ortografii. Mając naprzykład napisać w liście, że wino, które się u niego pija, to istny nektar, pisał po francusku nektar przez *k*, co go uprawniało do drwienia sobie z Lamartine’a. Otóż, jeżeli *Odyseja*, z której wygnano imiona Ulissesa i Minerwy, nie była już dla babki *Odyseją*, coby rzekła, widząc już na okładce zniekształcony tytuł swoich *Tysiąca i jednej nocy*, nie odnajdując już w wiernem brzmieniu, takim w jakim nawykła od niepamiętnych czasów wymawiać, nieśmiertelnie bliskich imion Szeherazady, Dinarzady. Ba, nawet uroczy Kalif i potężni Geniusze, w tej wersji, *odechrzczeni* — jeżeli można użyć tego słowa dla muzułmańskich opowieści — ledwie byli do poznania, jeden nazwany *Kalifat*, a drudzy *Genni*. Jednakże matka wręczyła mi oba dzieła; oświadczyłem, że będę czytał w dniu gdy będę nadto zmęczony aby robić spacer.

Te dni nie były zresztą liczne. Chodziliśmy na podwieczorki jak niegdyś „całą bandą”: Albertyna, jej przyjaciółki i ja, na skały nad morzem albo do fermi *Marie-Antoinette*. Ale zdarzało się, że Albertyna sprawiała mi wielką przyjemność, mówiąc: „Dzisiaj chcę być trochę sama z tobą, milej będzie wymknąć się we dwójkę”. Wówczas powiadała, że jest zajęta, że zresztą nie potrzebuje się nikomu tłumaczyć; aby zaś inne dziewczęta — o ile się i tak wybrały bez nas na spacer i na podwieczorek — nie mogły nas spotkać, szliśmy jak para kochanków sami do Bagateli lub do *Croix d’Heulan*, podczas gdy *banda*, której nigdy nie przyszłoby na myśl tam nas szukać i która nigdy tam nie chodziła, tkwiła w *Marie-Antoinette*, w nadziei że my tam przyjdziemy. Przypominam sobie upalne dni, kiedy z czoła parobków pracujących w słońcu spadała kropla potu prostopadła, regularna, przerywana, niby kropla wody z kranu i przeplatała się ze spadaniem dojrzałych owoców, które się obrywały z drzewa w sąsiedniej zagrodzie; dziś jeszcze upalne dni pozostały dla mnie — wraz z tajemnicą ukrywanej kobiety — najistotniejszą częścią wszelkiej miłości. Kiedy mi ktoś wspomni o jakiejś kobiecie — o której sam nie pomyślałbym ani przez chwilę — zmieniam plan całego tygodnia poto aby ją poznać, o ile mam ją spotkać w ustronnej fermie. Mimo iż wiem że ta aura i te warunki schadzki nie z niej płyną, zawsze się daję brać na tę dobrze mi znaną przynętę, wystarczającą aby mnie zwać. Wiem, że mógłbym pragnąć tej samej kobiety w chłód i w mieście, ale byłoby to bez akompaniamentu romantyczności, bez zakochania się; niemniej miłość, skoro, dzięki okolicznościom, raz mnie skula, jest nie mniej mocna — bardziej tylko melancholijna, tak jak w życiu stają się melancholijne nasze uczucia do osób w miarę jak się bardziej przekonywujemy o coraz to mniejszym udziale osób w tych uczuciach, obok świadomości, że nowa miłość, którą pragnęlibyśmy widzieć tak trwałą, skrócona wraz z samem naszym życiem, będzie ostatnią.

Było jeszcze w Balbec mało ludzi, mało młodych dziewcząt. Czasami widziałem którąś, przystającą na plaży — pozbawioną uroku, mimo iż wiele znaków wskazywałoby, że to jest ta sama, do której, ku swojej rozpacz, nie śmiałem się zbliżyć niegdyś, w chwili gdy wychodziła z przyjaciółkami z maneżu lub z sali gimnastycznej. Jeżeli to była ta sama (a strzegłem się wspomnieć o tem Albertynie), młoda dziewczyna, którą uważałem niegdyś za upajającą, już nie istniała. Ale nie mogłem uzyskać pewności w tej mierze, bo twarz tych dziewcząt nie przedstawiała na plaży stałej wielkości ani formy, skurczona, poszerzona, przeobrażona mojem oczekiwaniem, niepokojem mego pragnienia lub błogostanem który wystarcza sam sobie, rozmaitością wreszcie ich toalet, szybkością chodu lub przeciwnie bezruchem.

Jednakże z całkiem bliska, jakieś dwie lub trzy były urocze. Ilekroć ujrzałem któregoś z nich, miałem ochotę uprowadzić ją w aleję Tamaryszków, albo w diuny, a bardziej jeszcze na skały. Ale mimo iż pragnienie zawiera — w przeciwieństwie do obojętności — coś z owego zuchwałstwa, które jest jednostronnym początkiem ziszczenia, była jeszcze bądź co bądź między moim pragnieniem a czynem (jakim byłaby prośba o całusa) cała nieokreślona strefa wahania, nieśmiałości. Wówczas wchodziłem do cukierni i piłem duszkiem siedem czy osiem kieliszków porto. Natychmiast, w miejsce niepodobnej do wypełnienia przestrzeni między moim pragnieniem a uczynkiem, działanie alkoholu wykreślało linię łączącą je z sobą. Nie było już miejsca dla wahań ani obawy. Zdawało mi się, że młoda dziewczyna pofrunie ku mnie. Szedłem ku niej, same z siebie wychodziły z moich warg słowa: „Chętniebym się przeszedł z panią. Nie zechciałaby pani pójść ze mną nad morze; nikt by nam nie przeszkadzał w zacisznym domku za laskiem, obecnie całkiem pustym?” Wszystkie trudności życia znikły, nie było już żadnych przeszkód dla splecenia się naszych ciał. Żadnych przeszkód — przynajmniej dla mnie. Bo przeszkody nie ulotniły się dla niej, która nie piła porto. Gdyby to uczyniła, i gdyby wszechświat stracił nieco realności w jej oczach, owem długo pieszczonem a nagle udostępnionem w jej myślach marzeniem nie byłaby może wcale chęć znalezienia się w moich ramionach.

Nietylko młode dziewczęta były nieliczne, ale w tym czasie, który nie był jeszcze „sezonem”, bawiły krótko. Przypominam sobie jedną, o rudej cerze, zielonych oczach, rudych policzkach — których dubeltowy i lekki zarys podobny był do skrzydlatych nasion pewnych drzew. Nie wiem, jaki wiatr przywiał ją do Balbec i jaki znów inny uniósł ją z powrotem. Stało się to tak nagle, iż, kiedy zrozumiałem że wyjechała na zawsze, czułem przez kilka dni zgryzotę, którą odważyłem się wyznać Albertynie.

Trzeba powiedzieć, że wielu z tych dziewcząt nie znałem wcale, lub nie widziałem ich od lat. Często, pisywałem do nich, zanim je spotkałem. Cóż za szczęście, kiedy odpowiedź pozwalała wierzyć w możliwość miłości! W początkach przyjaźni dla kobiety, nawet jeżeli się przyjaźń nie ma później zrealizować, niesposób rozstać się z temi pierwszymi listami. Chce się je mieć cały czas przy sobie, jak otrzymane piękne kwiaty, jeszcze całkiem świeże, na które przestajemy patrzeć jedynie poto, aby je wdechać bardziej z bliska. Miło jest odczytywać zdanie, które się umie na pamięć; w innych zaś, mniej dosłownie znanych, chce się sprawdzić stopień czułości jakiegoś zwrotu. Czy napisała: „Kochany list pana?” I ot, mały zawód w narkotyku słodczy, wynikły bądź stąd że się czytało zbyt szybko, bądź z nieczytelnego pisma naszej korespondentki; nie napisała „kochany list pana”, ale „otrzymany list pana”. Ale reszta jest tak czuła! Och, niechże podobne kwiaty przybędą jutro! Potem, to nie wystarcza; chcielibyśmy z pismem skonfrontować spojrzenia, głos. Umawiamy się na schadzkę, i — mimo że Ona może się nie zmienić — znajdujemy Kota w butach, tam gdzieśmy się spodziewali, na zasadzie opisu lub własnego wspomnienia, spotkać wróżkę Wiwianę. Naznaczamy jej i tak schadzki na jutro, bo jednak to jest *ona*, a jej właśnieśmy pragnęli. Otóż, to pragnienie kobiety o której się marzyło, nie jest bynajmniej uwarunkowane określoną pięknnością. Te pragnienia są jedynie pragnieniem danej istoty; lekkie jak zapachy, jak storaks był pragnieniem Prothyrai, jak szafran pragnieniem eterycznym, korzenie pragnieniem Hery, mirra zapachem magów, manna pragnieniem Nike, kadzidło zapachem morza. Ale te zapachy, opiewane przez Hymny orfickie, są o wiele mniej liczne niż drogie im bóstwa. Mirra jest zapachem magów, ale także zapachem Protogonosa, Neptuna, Nereusza, Leto; kadzidło jest zapachem morza, ale także pięknej Dike, Temidy, Circe, dziewięciu Muz, Eos, Mnemozyny, Dnia, Dikaiozyny. Co do storaksu, manny i wonnych korzeni, możnaby długo wyliczać bóstwa, które je natchnęły, tak są liczne. Amfietes posiada wszystkie zapachy wyjąwszy kadzidła, a Gaja gardzi jedynie bobem i korzeniami. Podobnie było z moimi pragnieniami owych dziewcząt. Mniej liczne od nich, zmieniały się w zawody i smutki, dość podobne do siebie wzajem. Nigdy nie chciałem mirry. Zachowałem ją dla Jupiena i dla księżnej Marji¹ de Guermantes, bo mirra jest pragnieniem Protogonosa „o dwóch płciach, ryczącego nakształt byka niestrudzonego w orgiach, pamiętnego, niewysłowionego, zstępującego radośnie ku ofiarom Orgiofantów”.

¹Nigdy nie chciałem mirry. Zachowałem ją dla Jupiena i dla księżnej Marji de Guermantes — aluzja niezrozumiała i zdająca się świadczyć że obu tym osobom Proust przeznaczał w opowiadaniu swoim inną jeszcze rolę, niż ta którą w niem posiadają. [przypis redakcyjny]

Ale niebawem sezon doszedł swojej pełni; codzień przyjeżdżał ktoś nowy. Moje coraz częstsze spacerunki, odrywające mnie od uroczej lektury *Tysiąca i jednej nocy*, miały obecnie przykrą i zatruwającą mi je przyczynę. Plaża roila się teraz od dziewcząt, a myśl, jaką mi wsączył Cottard, jakkolwiek nie dostarczyła mi nowych podejrzeń, uczyniła mnie w tej mierze szczególnie wrażliwym i baczny na to aby się nie dać łęgnąć podobnym myślom. Ilekroć jakaś młoda kobieta przybyła do Balbec, czułem się niespokojny, proponowałem Albertynie najdalsze spacerunki, aby nie mogła poznać, a nawet, o ile się da, aby nie mogła ujrzeć nowoprzybyłej. Bałem się oczywiście szczególnie tych, które miały podejrzaną wzięcie lub złą reputację; starałem się przekonać Albertynę, że ta reputacja nie jest oparta na niczym, że jest potwarzą; czyniłem to może — nie przyznając się do tego przed sobą — z nieświadomej jeszcze obawy, że Albertyna będzie się starała zbliżyć do tej zepsutej kobiety, lub będzie żałowała, że nie może tego uczynić z mojego powodu; lub że, z mnogości przykładów, nauczy się brać lekko tak rozpowszechniony występki. Przeczając tej możliwości u każdej występnej, siliłem się wręcz wmówić Albertynie, że miłość lesbijska nie istnieje.

Albertyna gotowa była dzielić moje niedowiarstwo co do nałogów tej lub owej kobiety. „Nie, ja myślę, że ona tylko pozuje na to, poprostu snobizm”. Ale wówczas żałowałem niemal, że broniałem tej sprawy, bo byłem zły, że Albertyna, niegdyś tak surowa, może myśleć, że ta przywara jest czemś na tyle pochlebnym, na tyle interesującym, aby kobieta wolna od tych skłonności starała się przybierać ich pozory. Byłbym chciał, aby już żadna kobieta nie pojawiła się w Balbec; drżałem na myśl, że ponieważ to jest mniej więcej epoka kiedy pani Putbus miała zjechać do Verdurinów, jej panna służąca (której gustów Saint-Loup mi nie tail) mogłaby się wybrać na plażę i próbować uwieść Albertynę o ile byłby to dzień, w który mnieby przy niej nie było. Ponieważ Cottard nie krył, że Verdurinom bardzo na mnie zależy i że, nie chcąc aby się wydawało (jak on mówił) że się za mną upędzają, dużo dążył za to abym u nich bywał, zacząłem się w końcu zastanawiać, czybym nie mógł, w zamian za obietnicę, że w Paryżu sprowadzę pani Verdurin wszystkich możliwych Guermantów, wyprosić u niej aby pod jakimś pozorem powiedziała pani Putbus, że nie może jej gościć u siebie i wyprawiła ją jak najrychlej. Ponieważ jednak niepokoiła mnie zwłaszcza obecność Anny, ukojenie, jakie mi przyniosły słowa Albertyny, trwało jeszcze jakiś czas; wiedziałem zresztą, że niebawem będę go potrzebował mniej, bo Anna miała wyjechać z Rozamondą i z Gizelą, niemal w chwili największego zjazdu, tak że miała już spędzić z Albertyną jedynie kilka tygodni. Przez ten czas zresztą, wszystko co robiła i mówiła Albertyna, miało wyraźnie ten cel aby zniweczyć moje podejrzenia lub aby się im nie dać odrodzić. Starała się nigdy nie zostawać sama z Anną; kiedyśmy wracali, nalegała abym ją odprowadził aż do bramy, a kiedyśmy się gdzieś wybierali — abym wstępował po nią. Anna ze swojej strony postępowała tak samo; zdawało się, że unika Albertyny. I to wyraźne porozumienie między nimi nie było jedyną wskazówką, że Albertyna musiała wtajemniczyć przyjaciółkę w treść naszej rozmowy i prosić ją aby pocziwie pomogła uspokoić moje nedorzeczne podejrzenia.

W tym czasie zdarzył się w hotelu w Balbec skandal, który nie mógł się przyczynić do ukojenia moich udręczeń. Siostra Blocha utrzymywała od jakiegoś czasu z ex-aktorką sekretne stosunki, które niebawem przestały im wystarczać. Chciały być widziane; to dawało perwersyjny smaczek ich uciechom; pragnęły uprawiać swoje niebezpieczne igraszki na oczach całego świata. Zaczęło się w salonie gry, dokoła stołu bakaratowego, od pieszczoł, które ostatecznie można było przypisać tkliwej przyjaźni. Potem rozzuchwały się. Wreszcie, pewnego wieczora, w kącie wielkiej sali balowej (nawet nie ciemnym), na kanapie, zachowały się tak bezceremonialnie jakby były w łóżku. Dwaj oficerowie, znajdujący się opodal z żonami, poskarżyli się przed dyrekcją. Zdawało się na chwilę, że reklamacja ich odniesie skutek. Ale oficerowie mieli ten brak, że przybywszy na jeden wieczór z Netteholme, gdzie mieszkali, do Balbec, nie przedstawiali dla kasyna żadnej wartości, podczas gdy nad panną Bloch, nawet bez jej wiedzy i mimo upomnień jakich udzielił jej dyrektor, unosiła się protekcja Nissima Bernard. Trzeba powiedzieć czemu. Pan Nissim Bernard uprawiał w najwyższym stopniu cnoty rodzinne. Co rok, wynajmował w Balbec wspaniałą willę dla swego siostrzeńca i żadne zaproszenie nie odciągnęłoby go od obiadu w gniazdku rodzinnym. Ale nigdy nie jadał śniadania w domu. Codzień w południe był w Grand-Hotelu, a to dlatego, że, jak tylu innych, utrzymywał męską baletniczkę, „pi-

cola” dosyć podobnego do tych „strzelców”, o których mówiliśmy i którzy przywodzili nam na myśl młode izraelitki z *Estery* lub *Atalji*. Prawdę mówiąc, czterdzieści wiosen, które dzieliły pana Nissim Bernard od młodego picola, powinny były ubezpieczyć chłopczynę od niezbyt miłych kontaktów. Ale, jak roztropnie powiada Racine w tych samych chórach:

O Boże, z jakąż trwogą w sercu swem beźmierną,
Śród ilu niebezpieczeństw cnota stawia kroki!
Dusza, która cię szuka i chce ci być wierną,
Jakże potężne zwalczać zła musi uroki!

Młody picolo, mimo że „zdala od świata chowany” w świątyni Grand-Hotelu w Balbec, nie poszedł za radą Joady:

Na bogactwie i złocie nie buduj żywota.

Znalazł może argument, powiadając „Od grzeszników roi się na ziemi”. Jakbądź się rzeczy miały i mimo że pan Nissim Bernard nie liczył nawet na tak szybki sukces, od pierwszego dnia

Czy to wskutek przestraszenia, czy z chęci pieszczoty,
Uczuł niewinnych ramion tulące go sploty.

A od drugiego dnia, w towarzystwie pana Nissim Bernard, „zaraźliwe dotknięcie kaziło niewinność” młodego picola. Odtąd życie chłopczyny uległo zmianie. Mimo iż nosił chleb i sól, jak mu to jego bezpośredni zwierzchnik nakazywał, cała twarz jego śpiewała:

Z kwiatów na kwiaty, z rozkoszy w rozkosze — serc naszych nieśmy
pragnienia. — Któż wie, jak długo nam życia — śpieszmy się pić jego smak.
— Cześć i zaszczyty — ślepego jeno posłuchu nagrodą — za smutną niewinnością,
— któżby chciał podnieść głos!

Od tego dnia, p. Nissim Bernard nigdy nie omieszkał zająć swego miejsca przy śniadaniu (tak jakby zrobił w sali opery ktoś, kto utrzymuje „figurantkę” — w tym wypadku figurantkę bardzo specjalnego rodzaju, oczekującą jeszcze swojego Degasa). P. Nissim Bernard znajdował przyjemność w tem, aby śledzić w jadalni — aż het w odległych perspektywach, gdzie pod palmą królowała kasjerka — ewolucje młodzieńca, gorliwego w obsłudze wszystkich, a mniej gorliwego w obsłudze pana Nissima, od czasu jak ów wziął go na utrzymanie, czy że chłopczyna uważała za zbyt cenne rozwijać tyle uprzejmości dla kogoś kto go i tak kochał dostatecznie, czy że go ta miłość drażniła, lub że się obawiał iż ujawnienie jej pozbawi go innych gratek. Ale właśnie ten chłód podobał się panu Nissimowi ze wszystkiem co ukrywał; bądź przez hebrajski atawizm, bądź przez profanację uczuć chrześcijańskich osobliwie podobał sobie w ceremonji *à la* Racine, żydowskiej czy katolickiej. Gdyby to było prawdziwe przedstawienie *Estery* lub *Atalji*, pan Bernard żałowałby, że przedział wieków nie pozwolił mu znać autora, imię pana Racine, aby uzyskać dla swego protegowanego większą rolę. Że jednak ceremonia śniadania nie wyszła z pod pióra żadnego pisarza, p. Bernard starał się poprostu być w dobrych stosunkach z dyrektorem i z panem Aimé, iżby „młody izraelita” wznosił się do upragnionej godności garsona. Proponowano mu funkcje piwnicznego; ale pan Bernard skłonił młodego człowieka do odrzucenia tychże, ponieważ on sam, Nissim Bernard, nie mógłby wówczas patrzeć nań codziennie, jak krąży po zielonej jadalni i być obsługiwany przezeń jak obcy gość. Przyjemność ta była tak wielka, że co roku pan Bernard jeździł do Balbec i zawsze jadał śniadanie poza domem. Pierwszy z tych nawyków tłumaczył sobie pan Bloch poetycznym upodobaniem w zachodach słońca, szczególnie pięknych na tem wybrzeżu; drugi nałogiem starego kawalera.

Prawdę mówiąc, ta omyłka krewnych pana Nissima Bernard, którzy nie podejrzewali istotnej przyczyny jego corocznych pobytów w Balbec, oraz tego, co pani Bloch nazywała wytwornie jego „kuchennem wiarołomstwem”, ta omyłka zawierała prawdę głębszą,

prawdę drugiej kategorii. Bo p. Bernard sam nie czuł, ile miłości do plaży w Balbec, do widoku z restauracji na morze i ile maniackiego nałogu mogło wchodzić w tę pasję utrzymywania — niby młodej baletniczki innej kategorii której brak jeszcze jakiegoś Degasa — jednego ze służebników hotelu, pełniących zarazem funkcje „dziewczynek”. Toteż pan Bernard utrzymywał wyborne stosunki z dyrektorem tego teatru — czyli hotelu w Balbec — oraz inscenizatorem i reżyserem Aimé, których zachowanie się w całej tej sprawie było nienajczystsze. Można będzie — myślał — pochodzić kiedyś koło tego, aby uzyskać „pierwszą rolę” — może „maître d’hôtel’a”. Na razie, przyjemność pana Nissim Bernard, mimo iż tak poetyczna i spokojnie kontemplacyjna, miała potrosze coś z przyjemności owych kobieciarzy, którzy wiedzą zawsze — jak niegdyś Swann — że wybierając się gdzieś na wieczór, spotkają tam swoją kochankę. Ledwie usiadłszy, p. Nissim miał ujrzeć przedmiot swoich uczuć, jak kroczy po scenie, niosąc na tacy owoce lub cygara. Toteż co rano, uściskawszy siostrzenice, zatroszczywszy się o prace młodego Blocha i dawszy koniom kawałek cukru na dłoni, spieszył się gorączkowo, aby zdążyć na śniadanie do Grand-Hotelu. Mógłby wybuchnąć pożar w domu, mogłaby jego siostrzenica dostać ataku apopleksji — poszedłby prawdopodobnie i tak. Toteż bał się panicznie kataru, dla którego, będąc hipochondrykiem, zostałby w łóżku, zmuszony prosić Aimégo, aby przed podwieczorkiem przysłał mu do domu młodego przyjaciela. Lubił zresztą cały labirynt korytarzy, sekretnych gabinetów, salonów, szatni, kredensów, sieni, składających hotel w Balbec. Przez atawizm człowieka Wschodu, lubił seraje i kiedy wychodził wieczorem, widziano go jak chyłkiem bada ich zakamarki.

Podczas gdy zapuszczając się aż do suterenu — ale starając się mimo wszystko nie być widzianym i unikając skandalu — p. Nissim Bernard, w poszukiwaniu młodych lewitów, przywoził na myśl te wiersze z *Żydówki*:

O, władco nieba, ziemi,
Spójrz na dzieci swe,
Ukryj przed niewiernymi
Tajemnice te!

ja szedłem przeciwnie do pokoju dwóch sióstr, które towarzyszyły w Balbec, jako pokojówki, pewnej starszej damie, cudzoziemce. Mimo trudności, z jaką łączyło się dla klienta zachodzić do izdebki pokojówek — i nawzajem — zaprzyjaźniłem się nader szybko, przyjaźnią bardzo żywą mimo iż niewinną, z temi dwiema młodemimi osobami, panną Marją Gineste i panią Celestą Albaret. Urodzone u stóp wysokich gór w centrum Francji, wśród strumieni i potoków (woda przepływała pod samym ich rodzinnym domem, gdzie obracała młyn; nie jeden raz dom ich zniszczyły wylewy), zachowały jakgdyby coś z ich natury. Marja Gineste była jednostajnie chyża i rwąca, Celesta Albaret bardziej leniwa i bierna, rozlana jak jezioro, ale ze straszliwymi wezbraniami kipiących fal: wówczas wściekłość jej przypominała groźę wirów wodnych, które porywają i pustoszą wszystko. Zachodziły często do mnie rano, kiedy jeszcze leżałem. Nigdy nie znałem osób tak dobrowolnie ciemnych, które absolutnie niczego nie nauczyły się w szkole, a jednak język ich miał coś tak literackiego, że gdyby nie nawskroś prymitywna naturalność tonu, możnaby brać ich sposób mówienia za afektację. Podczas gdy maczałem rogaliki w mleku, Celesta mówiła z poufalością, której nie zmieniam żadnym retuszem, mimo pochwał (przytaczam je tutaj nie żeby chwalić siebie, ale aby chwalić szczególny talent Celesty) i mimo krytyk równie fałszywych ale bardzo szczerych, jakie słowa te zdawały się zawierać w stosunku do mnie:

„Och, patrz, ten czarny djabełek z włosami jak kruk, o cóż to za szelma! ja nie wiem, na co się zapatrzyła jego matka, kiedy go na świat wydała, bo wszystko ma z ptaka. Popatrz, Marjo, nie powiedziałałoby się, że on sobie gładzi pióra; jak on obraca tę giętką szyjkę, wygląda taki leciutki, rzekłbyś że się uczy latać. Haha! ma szczęście, że się poczał i urodził w bogactwie; coby się stało z takim marnotrawcą! Patrz, rzuca ten rogalik, dlatego że dotknął nim koldry. O, o, patrz, rozlewa mleko; czekaj, niech ci założę serwetę, bo nie dasz sobie rady; w życiu nie widziałam czegoś tak głupiego i niezgrabnego jak ten chłopiec”. Wówczas rozlegał się regularniejszy szmer strumienia Marji Gineste, która, wściekła, lajała siostrę: „Słuchaj Celesto, będziesz ty cicho. Czyś ty zwarzowała, żeby mówić do pana w ten

sposób?” Celesta uśmiechała się tylko, że zaś nie cierpiałem aby mi wiązano serwetę, odpowiadała: „Ale nie, Marjo, przypatrz się mu dobrze: o, patrz, jak się wyprężył cały, niczem ten wąż. Istny wąż, powiadam tobie”. Sypała zresztą jak z rękawa porównania zoologiczne; twierdziła że nigdy się nie wie kiedy ja śpię: bujam całą noc jak motyl, a w dzień jestem zwinny jak wiewiórka. „Wiesz, Marjo, te wiewiórki u nas, takie zwinne, że nawet oczami ich nie zgoni. — Celesto, wiesz, że on nie lubi serwety na szyi kiedy je. — To nie to że nie lubi; tylko żeby pokazać, że nie da się zmienić jego woli. To jest pan, chce pokazać że jest pan. Zmieni prześcieradła dziesięć razy jeżeli trzeba, ale nie ustąpi. Wczorajsze już powędrowały do brudów, ale dzisiejsze dopiero obleczone, a już trzeba będzie je zmienić. Ha ha! miałem rację, że jemu nie było pisane urodzić się biedakiem. Popatrz jak mu się włosy nastroszyły z gniewu jak pióra u ptaka. Biedne ptaszysko!”

Tutaj nietylko Marja protestowała, ale i ja sam, bo nie czułem się wcale „panem”. Ale Celesta nie wierzyła nigdy w szczerą moją skromność i przerywała mi wołając: „A, szelma! co za słodycz, co za perfidja! chytrą nad chytrąściami, szelma nad szelmami! A, Molier! (było to jedyne nazwisko pisarza jakie знаła, ale stosowała je do mnie, rozumiejąc przez to kogoś, kto byłby zarazem zdolny pisać na scenę i grać). — Celesto! — krzyczała Marja, która, nie znając nazwiska Moliera, bała się, czy to nie jest nowa zniewaga.

Celesta znów się uśmiechała. „Czy ty nigdy nie widziała w szufladzie jego fotografii, kiedy był dzieckiem? On chciałby w nas wmówić, że zawsze go ubierano bardzo z prosta. A tu patrz, z tą laseczką, same futra i koronki, jak żaden książę. Ale to jeszcze nic, przy jego wspaniałym majestacie i jeszcze głębszej dobroci. — Ładne rzeczy! — szemrał strumień Marji — więc ty mu plondrujesz po szufladach?”

Aby ulagodzić obawy Marji, spytałem, co myśli o sprawach pana Bernard z tym... „Och, proszę pana, to są takie rzeczy, że nigdybym nie uwierzyła że takie coś istnieje: trzeba było przyjechać tutaj!” I bijąc tym razem Celestę głębokością ujęcia, dodała: „Cóż, widzi pan, nie można nigdy wiedzieć, co się kryje w czyjem życiu”.

Aby zmienić temat, opowiadałem im o życiu mego ojca, pracującego dzień i noc. „Tak, tak, proszę pana, są takie żywoty, w których człowiek nie zachowuje nic dla siebie, ani minuty, ani przyjemności, wszystko jest samem poświęceniem, to są życia *rozdane*. — Popatrz, Celesto, nic tylko połóż rękę na kołdrze i weźmie ten rogalik; co za dystynkcja! Może robić najzwyklejsze rzeczy, a i tak powiedzialoby się że całe szlachectwo Francji, aż do Pirenejów, wlaźło w każdy jego ruch”.

Zmiażdżony tym tak nieprawdziwym portretem, milczałem; Celesta widziała w tem nową chytrą: „Ha! to czoło które wygląda takie czyste, a które kryje tyle sekretów; policzki lube i szczerze jak ten migdał, pluszowe rączyny, paznokcie jak pazurki, etc. Marjo, patrz, jak on pije mleczko, tak nabożnie, że człowieka bierze ochota pomodlić się. Co za poważna mina! Powinnoby się go wymalować teraz. Czyste dziecko. Czy to z tego zachował taką jasną cerę, że pije mleko jak dzieci? Och, młodość, och, ładna skórka. Nie zestarzeje się nigdy. Ma szczęście, nie będzie nigdy potrzebował podnieść ręki na nikogo, bo ma oczy, które umieją nakazać swoją wolę. Oho! już wpada w gniew. Wyprostował się, patrz, jak ten paragraf”.

Franciszka bardzo nie lubiła, aby te — jak je nazywała — *zwozdzicielki*, zachodziły do mnie na gawędy. Dyrektor, który przez swoich podwładnych śledził wszystko co się dzieje w hotelu, zwrócił mi poważnie uwagę, że nie jest godne klienta przestawać z pokojówkami. Ja który cenilem „zwozdzicielki” wyżej od wszystkich dam zamieszkałych w hotelu, poprostu roześmiałem mu się tylko w nos, pewien że nie zrozumiałby moich wyjaśnień. I siostry wciąż zachodziły do mnie: „Popatrz, Marjo, na te delikatne rysy. O, cudowna miniatura, piękniejsza niż za gąbłotką, bo on ma ruchy i słowa takie, żeby się ich słuchało całe noce i całe dni”.

To cud, że cudzoziemska dama zdołała je zabrać, bo nie znając historii ani geografii, nie cierpiała na ślepo Anglików, Niemców, Rosjan, Włochów, cudzoziemskiego „robactwa”, kochając — z wyjątkami — tylko Francuzów. Twarz ich tak zachowała wilgoć plastycznej gliny ich rzek, że kiedy się mówiło o jakimś mieszkającym w hotelu cudzoziemcu, na to aby powtórzyć coś co on powiedział, Celesta i Marja wcielały się w jego twarz, ich usta zmieniały się w jego usta, oczy w jego oczy; miałyby się ochotę utrwalić te cudowne maski. Celesta nawet, udając że tylko powtarza to co powiedział dyrektor lub któryś z moich przyjaciół, stroiła swoje opowiadanie w zmyślane wstawki, w których,

ot tak, od niechcienia, streszczała złośliwie wszystkie wady Blocha, prezydenta sądu, etc. Był to zawsze niezrównany portrecik, wykonany w ramach prostego zlecenia, którego się uprzejmie podjęła. Nie czytała nigdy nic, nawet dziennika. Ale pewnego dnia znalazły na mojem łóżku książkę. Były to cudowne, ale ciemne poezje Saint-Léger Léger. Celesta przeczytała kilka stron i powiedziała: „Ale czy pan jest całkiem pewny, że to są wiersze; może to prędzej zagadki? Oczywiście, dla osoby, która nauczyła się w dzieciństwie tylko jednego wiersza: *Ici bas tous les lilas meurent...* brakowało jakiegoś ogniwa. Sądzę, że ów upór w tem aby się niczego nie uczyć, był trochę w związku z ich niezdrową okolicą. Były jednak równie utalentowane jak niejeden poeta, z większą skromnością niż się zdarza u poetów. Bo jeżeli Celesta powiedziała coś godnego uwagi i kiedy, nie mogąc sobie tego przypomnieć, prosiłem jej o powtórzenie, kłęła się że zapomniała. Nie będą nigdy czytały książek, ale nie popełnią ich także.

Franciszka była dość przejęta wiadomością, że z dwóch braci tych tak prostych kobiet jeden zaślubił siostrzenicę arcybiskupa w Tours, drugi krewną biskupa Rodez. Dyrektorowi nie powiedziałoby to nic. Celesta wyrzucała czasami swemu mężowi że jej nie rozumie, a ja dziwiłem się, że on z nią może wytrzymać. Bo w pewnych momentach, dygocąca, wściekła, niszcząca wszystko, była okropna. Uczeni twierdzą, że słony płyn, jakim jest nasza krew, jest jedynie wewnętrznym przetrwaniem pra-elementu morza. Sądzę że tak samo Celesta, nietylko w atakach furji, ale także w chwilach depresji, zachowała rytm swoich rodzimych strumieni. W momentach wyczerpania, była również podobna do nich; wysychała poprostu. Nic nie mogłoby jej wówczas ożywić. Potem nagle krążenie wracało w jej wielkim, wspaniałem i lekkim ciele. Woda płynęła pod opalową przezroczystością błękitnej skóry. Uśmiechała się do słońca i robiła się jeszcze błękitniejsza. W tych chwilach Celesta była naprawdę — jak jej imię — niebiańska.

Blochowie nie domyślili się nigdy racji, dla której wuj ich nie śniadał nigdy w domu i brali to zawsze za manję starego kawalera (może jakiś stosuneczek z aktorką?); natomiast dla dyrektora hotelu w Balbec wszystko co tyczyło pana Nissima Bernard, było „tabu”. I oto czemu, nawet bez porozumienia się z wujem, dyrektor nie odważył się w rezultacie potępić jego siostrzenicy; zalecił jej jedynie pewną oględność. Młoda panna i jej przyjaciółka bały się przez kilka dni, że je wykluczą z kasyna i z Grand-Hotelu; widząc że się wszystko szczęśliwie ułożyło, rade były pokazać „ojcom rodziny” którzy się od nich odwracali, że mogą sobie bezkarnie na wszystko pozwolić. Zapewne, nie posunęły się do powtórzenia publicznej sceny, która tak zgorszyła wszystkich. Ale stopniowo wróciły do swoich obyczajów. I pewnego wieczora, kiedym wychodził z nawpół ciemnego już kasyna z Albertyną i ze spotkanym tam Blochem, one minęły nas splecione uściskiem, nie przestając się całować, a zrównawszy się z nami, zaczęły wydawać mlaskania, śmiechy i nieprzystojne krzyki. Bloch spuścił oczy, aby nie pokazać że poznał siostrę², a ja cierpiałem męki, na myśl że ten specjalny i okrutny język odnosił się może do Albertyny.

Inny wypadek zwrócił jeszcze bardziej moją uwagę w stronę Gomory. Spotkałem kiedyś na plaży piękną, młodą kobietę, wysmukłą i bladą, z której oczu tryskały tak geometrycznie lśniące promienie, że spojrzenie jej budziło myśl o jakiejś konstelacji. Pomyślałem, o ile ta dziewczyna piękniejsza jest od mojej przyjaciółki, i jak rozsądne byłoby wyrzec się Albertyny. Co najwyżej, przez twarz tej pięknej kobiety przeszedł niewidzialny hebel nikczemności życia, godzenia się z plugawymi środkami, tak że oczy jej, mimo iż szlachetniejsze od reszty twarzy, musiały promieniować jedynie apetyty i żądze. Otóż nazajutrz, kiedy ta młoda kobieta znalazła się w kasynie bardzo blisko nas, ujrzałem że nie przestaje prażyć Albertyny klującymi ogniami spojrzeń. Można by rzec, że jej daje znaki, jak zapomocą latarni morskiej. Drżałem, że Albertyna ujrzy iż ktoś na nią tak zwraca uwagę; bałem się czy raz po raz zapalane spojrzenia nie oznaczają w umownym języku schadzki na jutro. Kto wie? ta schadzka nie była może pierwsza. Młoda kobieta z promiennymi oczami mogła być już dawniej w Balbec? Jeżeli się ważyła ślać jej te sygnały, to może dlatego, że Albertyna uległa już pragnieniom jej samej lub pragnieniom którejs z jej przyjaciółek? W takim wypadku nietylko żądały czegoś teraz, ale czuły się do tego uprawnione słodkimi godzinami przeszłości. W takim razie owa schadzka nie byłaby

²Bloch (...) poznał siostrę — ta „siostra Blocha” raz jest siostrą, raz „kuzynką”. Takich przeoczeń (lub rozmyślnych oznak nieważności „realiów”) bywa u Prousta sporo. [przypis redakcyjny]

pierwsza, ale stanowiłaby dalszy ciąg wspólnych przeżyć poprzednich lat. I czy w istocie spojrzenia te nie mówiły: „Chcesz?” Z chwilą gdy młoda kobieta spostrzegła Albertynę, zwróciła głowę i błysnęła oczami naładowanymi pamięcią, tak jakby się bała i zdumiewała zarazem, że tamta może sobie nie przypominać. Albertyna, która widziała ją bardzo dobrze, siedziała flegmatycznie i bez ruchu, tak że nieznajoma zaprzestała swojej gry, z tą samą dyskrecją, z jaką mężczyzna, widząc swoją dawną miłość z nowym kochankiem, przestaje na nią patrzeć i zachowuje się tak jakby nie istniała.

Ale w kilka dni później zyskałem dowód gustów młodej kobiety, a także dowód prawdopodobieństwa, że ona znała Albertynę niegdys. Często w sali kasyna, kiedy dwie młode dziewczyny pragnęły się wzajem, powstawało jakby zjawisko świetlne, rodzaj fosforyzującej smugi między nimi. Powiedzmy mimochodem, że zapomocą takich materjalizacyj — choćby były nieważkie — przez te astralne i płomienne znaki rozprószona Gomora stara się w każdym mieście i miasteczku zespolić swoje mieszkanki, odbudować biblijne miasto, gdy równocześnie nostalgiczni, obłudni, odważni niekiedy wygnańcy Sodomy podejmują wszędzie te same wysiłki, bodaj w celu dorywczej jej odbudowy.

Raz ujrzałem tę nieznajomą (której Albertyna zdawała się nie poznawać) właśnie w chwili gdy przechodziła kuzynka Blocha. Oczy młodej kobiety rozgwieździły się, ale widać było, że nie zna młodej izraelitki. Widziała ją pierwszy raz, uczuła pociąg do niej, prawie bez wątpliwości, ale nie z tą pewnością co wobec Albertyny, Albertyny, na której pobratymstwo musiała tak bardzo liczyć, że wobec jej chłodu odczuła zdumienie, jak cudzoziemiec, znający dobrze Paryż, gdy, przybywszy tam znowu na kilka tygodni, ujrzy iż na miejscu teatrzyku, gdzie spędzał miłe wieczory, zbudowano bank.

Kuzynka Blocha usiadła przy stoliku i zaczęła przeglądać jakieś pisma. Niebawem młoda kobieta siadła z roztargnioną miną koło niej. Ale pod stołem można było niebawem widzieć ich zmagające się stopy, potem zaplatające się nogi i ręce. Potem przyszły słowa, zawiązała się gawędka i naiwny mąż młodej kobiety, który jej szukał wszędzie, bardzo się zdumiał, zastawszy ją w towarzystwie nieznajomej mu młodej dziewczyny, z którą robiła plany na wieczór. Żona przedstawiła mu kuzynkę Blocha jako przyjaciółkę z dzieciństwa, pod niezrozumiałym nazwiskiem, bo zapomniała spytać jej jak się nazywa. Ale obecność męża posunęła o krok dalej ich zażyłość, bo zaczęły się tykać, jako koleżanki z klasztoru; — epizod z którego śmiały się później do rozpuku, zarówno jak z oszukanego męża, a wesołość ta stała się im sposobnością do nowych czułości.

Co się tyczy Albertyny, nie mogę powiedzieć, aby gdziekolwiek, w kasynie czy na plaży, zachowywała się wobec którejś z dziewcząt zbyt swobodnie. Okazywała nawet zbyt chłodu i obojętności, co mi się zdawało nietylko dobrem wychowaniem, ile komedią mającą odwrócić podejrzenia. Jakiejś pannie naprzykład odpowiadała szybko, lodowato i skromnie, bardzo głośno: „Tak, będę koło piątej na tenisie. Będę się jutro kąpała rano koło ósmej”, poczem opuszczała natychmiast osobę do której zwróciła te słowa; sposób straszliwie wyglądający na fintę i na to że naznaczała schadzkę, albo raczej że naznaczywszy ją pocichu, rzucała głośno te blahe zdania, aby „było naturalniej”. I kiedy następnie widziałem jak siada na rower i puszcza się pędem, nie mogłem zdławić myśli, że ona śpieszy na spotkanie osoby, do której ledwie się odezwała.

Conajwyżej, kiedy jaka młoda piękność wysiadła z auta koło plaży, Albertyna nie mogła się powstrzymać aby się nie odwrócić. I tłumaczyła mi zaraz: „Patrzałam na nową flagę wywieszoną przy kąpielach. Mogliby się zdobyć na porządniejszą. Dawna była dość szmatława, ale ta to bodaj jeszcze większa tandeta”.

Raz Albertyna nie ograniczała się do chłodu i zadała mi tem większy ból. Wiedziała iż mnie to drażni, że mogłaby czasami spotykać przyjaciółkę ciotki, wyglądającą „podejrzenie” i spędzającą czasem parę dni u pani Bontemps. Albertyna rzekła pocziwie, że już się jej nie będzie klaniać. A kiedy ta osoba zjawiała się w Incarville, Albertyna mówiła: „A propos, wiesz że ona jest tutaj. Czy ci już mówiono?” jakby dla dowiedzenia, że jej nie widuje pokryjomu. Pewnego dnia, mówiąc to, dodała: „Tak, spotkałam ją na plaży, i umyślnie, chcąc być niegrzeczna, prawie otarłam się o nią, potrafiłam ją”. Kiedy Albertyna tak mówiła, przypomniało mi się pewne powiedzenie pani Bontemps, o którym nigdy później nie myślałem: kiedy mianowicie opowiadała przy mnie pani Swann, jaka jej siostrzenica jest bezczelna (tak jakby to była zaleta) i jak wypaliła jakiejś żonie urzędnika, że jej ojciec był kuchcią. Ale słowa osoby, którą kochamy, nie przechowują

się długo w czystym stanie; psują się, gniją. W dzień czy dwa później, znów myślałem o odezwaniu się Albertyny i już nie wydawało mi się ono cechą złego wychowania (którem się pyszniła i z którego mogłem się jedynie uśmiechnąć), ale zupełnie czem innym; pomyślałem, że Albertyna, może nawet bez określonego celu, aby podrażnić zmysły owej damy lub przypomnieć jej złośliwie dawne propozycje może przyjęte niegdyś — otarła się o nią szybko, myślała że ja się może dowiedziałem o tem (skoro to było publiczne) i chciała z góry uprzędzić niekorzystną interpretację.

Zresztą zazdrość moja, spowodowana przez kobiety, które Albertyna może kochała, miała nagle ustać.

*

Siedzieliśmy we dwoje z Albertyną na stacji kolejki w Balbec. Przybyliśmy tam omnibusem hotelowym, z powodu niepogody. Niedaleko nas znajdował się p. Nissim Bernard; miał podbite oko. Zdradzał od jakiegoś czasu swoje dziecię z chórów *Atalji* na rzecz parobka sąsiedniej dosyć uczęszczanej fermy *Pod wiśniami*. Ten czerwony chłopak o grubych rysach robił zupełnie wrażenie, że zamiast głowy ma pomidor, ściśle podobny pomidor służył za głowę jego bliźniemu bratu. W takich doskonałych podobieństwach dwóch bliźniaków dosyć piękne dla bezinteresownego widza jest to, że natura, rzekłbyś chwilowo zindustrializowana, wydaje niejako seryjne produkty. Na nieszczęście, punkt widzenia pana Nissim Bernard był inny, a to podobieństwo było czysto zewnętrzne. O ile pomidor nr. 2 lubował się frenetycznie w wyłącznym uszczęśliwianiu dam, o tyle pomidor nr. 1 godził się zstępować do gustu niektórych panów. Otóż, za każdym razem, kiedy, wzruszony pamięcią szczęśliwych chwil spędzonych z pomidorem nr. 1, p. Bernard zjawiał się *Pod wiśniami*, stary izraelita krótkowidz (i bez tego można było pomylić tych braci), grając bezwiednie *Amfitrjona*, zwracał się do bliźniaka i mówił: „Chcesz się ze mną pobawić dziś wieczór?” I dostawał natychmiast tęgie lanie. Powtarzało się to nawet w czasie jednego podwieczorku, gdy z drugim *pomidorem* kontynuował rozmowę zaczęłą z pierwszym. Z czasem obrzydziło mu to, przez skojarzenie pojęć, pomidory, nawet jadalne; tak że, ilekroć zdarzyło mu się słyszeć że jakiś gość przy sąsiednim stoliku zamawia w Grand-Hotelu pomidory, szeptał: „Przepraszam pana, że się ośmielam wtrącić, choć nieznamy. Ale słyszałem, że pan zamawia pomidory. Są dziś zgniłe. Mówię to w pańskim interesie, mnie to jest obojętne, nie jadam ich nigdy”. Obcy dziękował gorąco bezinteresownemu i życzliwemu sąsiadowi, odwoływał garsona, udawał że się rozmyślił. „Nie, stanowczo, pomidorów nie chcę”. Aimé, który znał tę scenę, śmiał się w duchu i myślał: „Ten stary pajac Bernard znów zdołał obrzydzić gościowi”.

P. Bernard, czekając na spóźniony pociąg, nie kwapił się witać z nami; żenowało go podbite oko. Nam jeszcze mniej było pilno do rozmowy. Byłoby to jednak nieuniknione, gdyby w tej chwili nie wpadł na nas pędem rower; zeskoczył z niego zdyszany lift-boy. W chwilę po naszym wyjeździe, pani Verdurin zatelefonowała żeby do niej przyjechał pojutrze na obiad; okazało się niebawem czemu. Następnie, przekazawszy mi szczegóły telefonu, chłopiec opuścił nas; jak owi demokratyczni „funkcjonariusze”, którzy wobec burżujów udają niezależność, między sobą zaś przywracają zasadę autorytetu, chcąc powiedzieć że odzwierny i stangret mogliby się wściekać w razie gdyby się spóźnił, dodał: „Muszę wracać z powodu moich zwierzchników”.

Przyjaciółki Albertyny wyjechały na jakiś czas. Chciałem ją rozerwać. Nawet przyjąwszy, że znajduje szczęście w spędzaniu popołudni tylko ze mną, wiedziałem że takie szczęście nigdy nie jest pełne, i że Albertyna, jeszcze będąc w wieku (pewni ludzie nie wyrastają z tego wieku nigdy) kiedy się nie odkryło, iż ta niedoskonałość tkwi w osobie doznającej szczęścia a nie w tej która je daje, mogłaby mnie przypisywać przyczynę swego zawodu. Wolałem raczej, aby ją przypisywała okolicznościom, które, skombinowane przezemnie, nie dawałyby nam łatwości pozostawiania sam na sam, nie pozwalając jednak Albertynie bywać bezemnie w kasynie i na didze. Toteż prosiłem ją tego dnia, aby mi towarzyszyła do Doncières, gdzie miałem odwiedzić Roberta. W tej samej myśli zatrudnienia Albertyny, doradziłem jej malarstwo, którego się uczyła niegdyś. Zajęta pracą, nie zastanawiała się nad tem, czy jest szczęśliwa czy nie. Byłbym ją także chętnie brał od czasu do czasu na obiad do Verdurinów lub do Cambremerów (i ci i ci przyjełliby

z pewnością chętnie osobę przedstawioną przezemnie), ale na to trzeba mieć pewność, że niema jeszcze w la Raspelière pani Putbus. Mogłem to sprawdzić jedynie na miejscu; że zaś wiedziałem, iż pojutrze Albertyna musi jechać w sąsiedztwo z ciotką, skorzystałem z tego aby wysłać depeszę do pani Verdurin z zapytaniem, czy mogłaby mnie przyjąć we środę. Gdybym zastał tam panią Putbus, postarałbym się zobaczyć jej pokojówkę, upewnić się czy grozi przyjazd jej do Balbec i w takim razie dowiedzieć się kiedy, aby tego dnia wywieźć Albertynę gdzieś daleko.

Kolejka robiła pętlę, która nie istniała jeszcze kiedy nią jechałem z babką; przejeżdżała obecnie przez Doncières-la-Goupil, wielką stację, skąd już wyjeżdżały prawdziwe pociągi, między innymi ekspress, którym przybyłem niegdyś do Roberta z Paryża i którym wróciłem. I z powodu niepogody, omnibus hotelowy odwiózł Albertynę i mnie na stacyjkę *Balbec-plage*.

Kolejki jeszcze nie było, ale widziało się leniwy i gnuśny pióropusz dymu który została w drodze a który teraz — niezbyt lotna chmura — zdany na własne środki wspinał się wolno po zielonych stokach Criquetot. Wreszcie małe pociąg — który ów dym wyprzedził, aby się wzbic pionowo — przybył zwolna. Czekaający podróżni usunęli się aby mu zrobić miejsce, bez pośpiechu, wiedząc że mają do czynienia z pocziwym piechurkiem — niemal ludzką istotą — który, prowadzony, niby rower początkującego cyklisty, życzliwymi sygnałami naczelnika stacji, pod potężną opieką maszynisty, nie groził wywróceniem nikogo i zatrzymałby się w razie potrzeby.

Depesza tłumaczyła telefon Verdurinów i trafiła doskonale, ile że we środę (pojutrze była właśnie środa) był stale wielki obiad u pani Verdurin w la Raspelière, jak w Paryżu, o czym nie wiedziałem. Pani Verdurin nie wydawała „obiadów”, ale miała „środy”. Jej środy to były dzieła sztuki. Wiedząc że nie mają nigdzie równych sobie, pani Verdurin wprowadzała w nie odcienie. „Ostatnia środa była mniej udana od poprzedniej — mówiła. Ale sądzę, że następna będzie jedną z najlepszych, jakie u siebie pamiętam”. Czasem przyznawała się wprost: „Ta środa nie była na wysokości. Ale obiecuję wam wielką niespodziankę na następną”. W ostatnich tygodniach paryskiego sezonu, przed wyjazdem na wieś, pani domu oznajmiała koniec *śród*. Była to sposobność do pobudzenia wiernych. „Już tylko trzy środy, już tylko dwie — mówiła tonem takim, jakby się świat miał skończyć. Nie opuści pan chyba przyszłej środy: to będzie pożegnalna”. Ale ten pożegnalny charakter był sztuczny, bo pani Verdurin uprzedzała: „Oficjalnie nie ma już *śród*. To była ostatnia w tym roku. Ale i tak będę w domu we środę. Będziemy środowali w swoim kółku; kto wie, te małe prywatne środy będą może najprzyjemniejsze”. W la Raspelière środy były z konieczności ograniczone; że zaś, spotkawszy jakiegoś znajomego bawiącego przejazdem, zapraszało się go na ten lub inny wieczór, środa była prawie codzien. „Nie przypominam już sobie dokładnie nazwisk, ale wiem, że będzie margrabina de Camembert”, powiedział *lift*; wszelkie wyjaśnienia dotyczące Cambremerów nie zdołały wyprzeć w nim dawnej nazwy, której znane i pełne znaczenia sylaby przychodziły z pomocą młodemu funkcjonarjuszowi, kiedy miał kłopot z tem trudnem nazwiskiem, i natychmiast przekładał je nad tamte i wracał do nich, nie przez lenistwo i nałóg, ale przez potrzebę logiki i jasności, jakiej sylaby te czyniły zadość.

Śpieszyliśmy czempredzej zająć pusty wagon, gdziebym mógł całować Albertynę przez całą drogę. Nie znalazłszy takiego, wsiedliśmy do przedziału, gdzie już była zainstalowana dama o olbrzymiej twarzy, brzydka, stara i jakby męska, bardzo wysztafirowana i czytająca „*Revue des Deux-Mondes*”. Mimo całej pospolitości, była pretensjonalna w swoich gustach; dociekałem dla zabawy, do jakiej klasy społecznej mogłaby należeć; zdecydowałem rychło, że to musi być jakaś gospodyni wielkiego domu publicznego, stręczycielka w podróży. Jej twarz, jej wzięcie krzyczały wprost o tem. Nie wiedziałem tylko, że owe damy czytają „*Revue des Deux-Mondes*”. Albertyna wskazała mi ją z uśmiechem, nie bez znaczącego przymrużenia oka. Dama zachowała minę nadzwyczaj godną; że zaś ja znowuż miałem świadomość, iż jestem na jutro proszony — krańcowy punkt kolejki — do sławnej pani Verdurin, że na pośredniej stacji oczekuje mnie Robert de Saint-Loup i że nieco dalej zrobiłbym wielką przyjemność pani de Cambremer zjeżdżając na dłużej do Féterne, oczy moje błyszczały ironią na widok tej imponującej damy, uważającej widocznie, że jej wyszukana toaleta, pióra na kapeluszu i „*Revue des Deux Mondes*” czynią

z niej figurę ważniejszą odemnie! Miałem nadzieję, że dama ta nie zostanie w wagonie o wiele dłużej od pana Nissima Bernard i że wysiądzie bodaj w Toutainville; ale nie. Pociąg zatrzymał się w Evreville, ona wciąż siedziała. Tak samo w Montmartin-sur-Mer, w Parville-la-Bingard, w Incarville; tak iż z rozpaczy, kiedy pociąg opuścił Saint-Frichoux, ostatnią stację przed Doncières, zacząłem ścisnąć Albertynę, nie troszcząc się o damę. W Doncières, Saint-Loup wyszedł po mnie na dworzec, z największymi trudnościami, jak powiedział, bo mieszkał u ciotki, depeszę moją dostał dopiero w tej chwili, i nie przygotowawszy się na to zawczasu, mógł mi poświęcić ledwie godzinę. Ta godzina wydała mi się, niestety, o wiele za długa, bo ledwie wysiedliśmy z wagonu, Albertyna zajęta była już tylko Robertem. Nie rozmawiała ze mną, ledwo odpowiadała kiedym się do niej zwracał, odepchnęła mnie kiedym się zbliżył. W zamian za to z Robertem śmiała się swoim kusicielskim śmiechem, paplała z nim bez końca, bawiła się z jego psem, a drażniąc się ze zwierzęciem, ocierała się umyślnie o pana. Przypomniałem sobie, że w dniu kiedy Albertyna pozwoliła mi się pierwszy raz pocałować, przesałem uśmiech wdzięczności nieznanemu uwodzicielowi, który spowodował w niej zmianę tak głęboką i tak mi ułatwił zadanie. Teraz myślałem o nim ze zgrozą.

Robert musiał sobie zdać sprawę, że Albertyna nie jest mi obojętna, bo nie odpowiadał na jej zaloty, co ją nastroiło wrogo dla mnie; potem zaczął rozmawiać ze mną tak jakbym był sam, co znów podniosło mnie w oczach Albertyny, kiedy to spostrzegła. Robert spytał, czy nie mam ochoty spotkać się z kolegami, z którymi jadaliśmy swego czasu co wieczór w Doncières; z tymi przynajmniej, którzy tam byli jeszcze. Że zaś sam nasiąkł drażniaco-pretensjonalną gwarą, którą potępiał, mówił: „Na co ci się zdało tak wytrwale *uprawiać* na nich *swoje czary*, jeżeli nie chcesz ich widzieć?” Odmówiłem, bo nie chciałem się rozstawać z Albertyną, ale także dlatego, że już odszedłem od nich. Od nich, to znaczy od siebie. Pragniemy namiętnie aby istniało drugie życie, gdziebyśmy byli podobni do tego czem jesteśmy na ziemi. Ale nie zastanawiamy się, że nawet nie czekając drugiego życia, w obecnym naszym życiu, po upływie kilku lat, jesteśmy niewierni temu czem byliśmy przedtem, czem pragnęliśmy zostać wiecznie. Nawet przyjmując że śmierć zmieniałaby nas nie więcej niż te zmiany zachodzące w ciągu życia, gdybyśmy w tem drugim istnieniu spotkali owo ja którym byliśmy niegdyś, odwrócilibyśmy się od siebie samych, niby od osób, z którymi było się w stosunkach niegdyś, ale których nie widziało się od dawna — jak naprzykład przyjaciół Roberta, których tak miło było mi spotykać co wieczór w *Faisan Doré*, a których towarzystwo byłoby mi teraz uciążliwe i męczące. Z tego punktu widzenia, i dlatego żem wolał nie szukać tego co mi niegdyś było mile, wycieczka do Doncières mogłaby mi zawczasu uprzytomnić przybycie do Raju. Dużo się marzy o Raju, lub raczej o licznych kolejnych rajach, ale to są wszystko — o wiele przed naszą śmiercią — raje stracone, gdzieby się człowiek czuł jak zabląkany.

Saint-Loup zostawił nas na stacji. „Ale ty możesz tu mieć blisko godzinę czekania — rzekł. Jeżeli spędzisz tę godzinę tutaj, ujrzysz z pewnością wuja Charlus, który ma jechać pociągiem paryskim, dziesięć minut przed twoim. Już się z nim pożegnałem, bo muszę wracać przed odejściem jego pociągu. Nie mogłem mu powiedzieć o tobie, bo nie dostałem jeszcze wówczas twojej depeszy”.

Na wymówki, jakimi obsypałem Albertynę kiedy nas Saint-Loup pożegnał, odpowiedziała, że chłodem swoim w stosunku do mnie chciała na wszelki wypadek zatrzeć wrażenie jakie Robert mógłby odnieść, w razie gdyby, w chwili gdy pociąg stawał, widział mnie wspartego o nią i obejmującego ją czule. Saint-Loup zauważył w istocie tę pozę (nie spostrzegłem go, inaczej byłbym usiadł przyzwoiciej) i zdążył szepnąć mi do ucha: „Więc to są te gąski, o których mi mówiłeś, co to nie chciały zadawać się z panną de Stermaria, bo uważały że ma podejrzane maniery?” Powiedziałem w istocie Robertowi, i bardzo szczerze — wówczas kiedym się wybrał do niego z Paryża do Doncières i kiedysmy wspominali Balbec — że nie da się nic wskórać z Albertyną, że to wcielona cnota. A teraz, kiedym się oddawna przekonał osobiście, że to nieprawda, tembardziej pragnąłem, aby Robert tak myślał. Wystarczyłoby mi powiedzieć Robertowi, że kocham Albertynę. Był z rzędu ludzi, zdolnych sobie odmówić przyjemności, aby oszczędzić przyjacielowi cierpień, któreby odczuli jak własne. „Tak, ona jest straszny dzieciak. Ale ty nie wiesz o niej nic? — dodałem niespokojnie. — Nic, poza tem, że was widziałem gruchających jak para gołąbków”.

— Twoje zachowanie się nie zatarło nic a nic — rzekłem do Albertyny, gdy Saint-Loup nas pożegnał.

— To prawda — rzekła; — byłam niezręczna, zrobiłam ci przykrość, bardziej nad cię cierpię od ciebie. Zobaczysz, że już nigdy nie będę taka, daruj — rzekła, podając mi rękę ze smutną minką.

W tej chwili, z głębi sali czekalnej, gdzieśmy siedzieli, ujrzałem przechodzącego z wolna pana de Charlus, za którym w pewnej odległości tragarz niósł walizy.

W Paryżu, gdzie go spotykał tylko na wielkich przyjęciach, nieruchomego, opiętego we frak, wyprostowanego dumnie i utrzymywanego w tej postawie żądzą podobania się, racami swojej wymowy, nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo się postarzał. Teraz, gdy w jasnym ubraniu podróżnym, które go pogrubiało, szedł wyginając się, kołysząc wypukły brzuszek oraz niemal symboliczne siedzenie, wszystko to, co w sztucznym świetle imitowałoby świeżość cery młodego jeszcze człowieka, w okrucieństwie jasnego dnia rozkładało się na wargach na szminkę, na nosie na puder utrwalony coldkremem, a na czernidło na malowanych wąsach, których hebanowy kolor klócił się z siwiejącymi włosami.

Rozmawiając z baronem, ale krótko (bo pociąg jego odchodził), zerkalem ku Albertynie, dając znak, że zaraz przyjdę. Kiedym się znów zwrócił do pana de Charlus, poprosił, abym zechciał zawołać żołnierza, jego krewnego, który stał po przeciwnej stronie szyn, tak jakby miał wsiąść do naszego pociągu, ale w odwrotnym kierunku, w kierunku oddalającym się od Balbec. „On służy w muzyce pułkowej — rzekł p. de Charlus. — Jesteś, szczęśliwco, na tyle młody, ja zaś natyle stary, że mógłbyś mi oszczędzić kłopotu przechodzenia przez szyny”. Posłusznie udałem się w kierunku żołnierza i w istocie po haftowanych lirach na kołnierzu poznałem że służy w muzyce. Ale w chwili gdy się miał wywiązać ze zlecenia, jakież było moje zdumienie — mogę rzec radość kiedym stwierdził, że to jest Morel, syn kamerdynera mojego wuja, nasuwający mi tyle wspomnień. Zapomniałem o zleceniu pana de Charlus. „Jakto, pan w Doncieres? — Tak, wcielono mnie do muzyki w pułku artylerji”. Morel powiedział to oschle i wyniośle. Zrobił się wielki „pozer”, a oczywiście mój widok, przypominając mu zawód ojca, nie był mu przyjemny. Naraz ujrzałem pana de Charlus spadającego na nas. Zwłoka zniecierpliwiła go widocznie. „Chciałbym dziś posłuchać trochę muzyki — rzekł bez wstępów do Morela; — daję 500 franków za wieczór; możeby to zainteresowało kogoś z pańskich przyjaciół, o ile pan ich ma w pułkowej orkiestrze”. Mimo iż znałem impertynencję pana de Charlus, zdumiałem się, że on się nawet nie przywitał ze swoim młodym przyjacielem. Baron nie zostawił mi zresztą czasu na refleksje. Podając mi przyjaźnie rękę, rzekł: „Do widzenia, drogi panie”, aby zaznaczyć, że się mam zabierać. Zostawiłem zresztą aż nazbyt długo drogą Albertynę. „Patrz — rzekłem jej wracając do wagonu — życie kąpielisk i podróży dowodzi, że teatr świata rozporządza mniejszą ilością dekoracyj niż aktorów, i mniejszą ilością aktorów niż »sytuacją«. — Z powodu czego to mówisz? — Bo p. de Charlus prosił mnie, żebym mu sprowadził jednego z jego przyjaciół, w którym właśnie przed chwilą, na peronie, poznałem znajomego”.

Ale, mówiąc to, zastanawiałem się, w jaki sposób baron mógł odgadnąć dysproporcję socjalną, o której nie pomyślałem. Przyszło mi zrazu na myśl, że to przez Jupiena, którego córka (jak czytelnik pamięta) wydawała się zajęta skrzypkami. Bardziej jeszcze zdumiało mnie, że na pięć minut przed odjazdem do Paryża, baron pragnie słuchać muzyki. Ale oglądając w pamięci córkę Jupiena, zaczynałem uważać, że „spotkania” wyrażałyby przeciwnie znaczną część życia, gdybyśmy się umieli posunąć do prawdziwej romantyczności; naraz doznałem olśnienia; zrozumiałem, że był bardzo naiwny. P. de Charlus nie znał ani trochę Morela, ani Morel pana de Charlus, który, olśniony ale zarazem onieśmielony mundurem — mimo że Morel miał na wylogach tylko lirę — prosił mnie, w swoim wzruszeniu, abym mu sprowadził tego młodego człowieka, nie podejrzewając że go mogę znać. W każdym razie, ofiarowane pięćset franków musiało zastąpić u Morela brak uprzednich stosunków, bo ujrzałem jak rozmawiali z baronem dalej, nie myśląc o tem że są tuż koło naszego pociągu. Przypominając sobie sposób, w jaki p. de Charlus podszedł do Morela i do mnie, ujrzałem w tem podobieństwo z niektórymi krewnymi barona, kiedy zaczepiali kobietę na ulicy. Przedmiot zmienił jedynie płęć. Począwszy od pewnego wieku — nawet przy bardzo specjalnej ewolucji charakteru — im bardziej się człowiek

staje sobą, tem silniej akcentują się w nim rysy rodzinne. Bo natura, tkając harmonijnie desenę swego dywanu, urozmaica monotonię kompozycji, dzięki różnaitości krzyżujących się wzorów. Zresztą wyniosłość z jaką p. de Charlus potraktował skrzypka, jest względna, zależnie od punktu widzenia jaki zajmujemy. Zrozumiałoby ją trzy czwarte światowców, którzy się gięli przed baronem, ale nie prefekt policji, który w kilka lat później kazał go nadzorować.

„Pociąg do Paryża wjeżdża, proszę pana — rzekł tragarz niosący walizy barona. — Ależ ja nie jadę, proszę oddać to wszystko na bagaż, cóż u diabła!” — wykrzyknął p. de Charlus, dając dwadzieścia franków tragarzowi, zdumionemu nagłą odmianą i oczarowanemu napiwkami. Hojność ta ściągnęła natychmiast kwiaciarke. „Niech pan weźmie te goździki, o jaka piękna róża, mój dobry panie, to panu przyniesie szczęście”. P. de Charlus, zniecierpliwiony, wręczył jej dwa franki, w zamian za co kobieta ofiarowała swoje błogosławieństwa, i kwiaty w naddatku. „Mój Boże, gdyby ona mogła nas zostawić w spokoju — rzekł p. de Charlus zwracając się ironicznym i boleściwym tonem, jak człowiek mocno zdenerwowany, do Morela, znajdując słodycz w tem, aby w nim szukać opieki. — To co sobie mamy do powiedzenia jest i tak dosyć skomplikowane”. Może zawiadowca stacji był jeszcze za blisko, a panu de Charlus nie zależało na licznym audytorjum; może te dygresje pozwalały jego wyniosłej nieśmiałości nie formułować zbyt nagle swoich propozycji. Zwracając się ze stanowczą i rozkazującą miną do kwiaciarke, muzyk podniósł dłoń, jakgdyby odsuwając ją i stwierdzając że jej kwiaty są niepożądane i że ma się coprędzej wynosić. P. de Charlus ujrzał z zachwytem ten stanowczy i męski gest, wyrażony zgrabną ręką, dla której zdawał się jeszcze za ciężki, zbyt masywny i brutalny; ręką zdradzającą ową przedwczesną energię i gibkość, które czyniły tego gołowasa podobnym do młodego Dawida, zdolnego podjąć walkę z Goljatem. Podziw barona mimowoli łączył się z owym uśmiechem, jaki mamy widząc u dziecka wyraz powagi ponad jego wiek. „Lubiłbym mieć takiego chłopca do towarzystwa w podróży i do pomocy w interesach. Jakby on uprościł moje życie!” — pomyślał p. de Charlus.

Pociąg paryski (do którego baron nie wszedł) odjechał. Potem my wsiedliśmy z Albertyną do naszego, tak iż nie mogłem wiedzieć, co się stało z panem de Charlus i z Morelem.

— Nie powinniśmy się już nigdy gniewać z sobą, przepraszam cię jeszcze raz — rzekła Albertyna, robiąc aluzję do sceny z Robertem. — Trzeba żebyśmy zawsze byli dobrzy dla siebie — rzekła czule. — Co się tyczy twojego przyjaciela, jeżeli sądzisz, że on mnie interesuje w jakiejbądź mierze, bardzo się mylisz. Podoba mi się w nim tylko to, że on ciebie wyraźnie tak kocha.

— Bo to jest bardzo dobry chłopiec — rzekłem strzegąc się użyć Robertowi urojonych przewag, czego bym nie omieszkał uczynić przez przyjaźń dla niego, w razie gdybym mówił do kogo innego, nie do Albertyny. — To człowiek zacny, szczery, oddany, lojalny, na którego można we wszystkim liczyć.

Mówiąc to, ograniczyłem się — powściągnięty zazdrością — do mówienia o Robertcie prawdy, ale też to com mówił było prawdą. Otóż, prawda ta wyrażała się ściśle w tych samych określeniach, jakich, mówiąc o nim, użyła pani de Villeparisis, wówczas gdy jeszcze nie znałem Roberta, kiedym go sobie wyobrażał tak innym, tak wyniosłym, i kiedym sobie powiadał: „Mówi się że jest dobry, bo jest wielki pan”. Tak samo, kiedy mi pani de Villeparisis powiedziała: „Byłby tak szczęśliwy”, wyobraziłem sobie, ujrawszy Roberta wsiadającego przed hotelem do kabrioletu, że słowa ciotki były prostym towarzyskim banałem, mającym mi pochlebić. I zrozumiałem później, że ona mówiła szczerze, myśląc o tem co mnie interesowało, o moich lekturach, dlatego że wiedziała że właśnie Robert ubóstwia to wszystko, tak samo jak mnie się zdarzyło powiedzieć szczerze komuś piszącemu historję swego przodka La Rochefoucauld, autora *Maksym*, i pragnącemu prosić Roberta o radę: „Będzie tak szczęśliwy”. Bo nauczyłem się go znać. Ale widząc go pierwszy raz, nie przypuszczałem, aby inteligencja pokrewna mojej mogła się łączyć z takim wykwintem stroju i wzięcia. Sądziłem Roberta z jego upierzenia jak istotę innego gatunku. I teraz Albertyna, może trochę dlatego, że Saint-Loup, przez dobroć dla mnie, był z nią tak chłodny, powiedziała to, com ja myślał niegdyś: „A, taki jest oddany! Uważam, że odkrywa się zawsze wszystkie cnoty w ludziach, kiedy są z arystokracji”. Otóż, o tem że Saint-Loup jest arystokratą, że jest z faubourg Saint-Germain, o tem nie pomyśla-

lem ani razu w ciągu tych lat, w których odzierając się ze swoich przewag, ukazał mi swoje przymioty. Typowa zmiana perspektywy w patrzeniu na ludzi, już bardziej uderzająca w przyjaźni niż w zwykłych stosunkach, ale o ileż bardziej jeszcze w miłości, gdzie pragnienie posiada tak szeroką skalę, tak wyolbrzymia najłżejsze oznaki chłodu, że wystarczyło mi ich o wiele mniej niż w pierwszej chwili poznania Roberta, abym od razu uwierzył że Albertyna mną gardzi, abym sobie wyroił jej przyjaciółki jako istoty cudownie nieludzkie, i abym jedynie pobłażaniem Elstira dla urody i dla pewnej elegancji tłumaczył sobie jego sąd, kiedy mówił o małej „bandzie” zupełnie w tym samym duchu co pani de Villeparisis o Robercie: „To dobre dziewczęta”. Otóż czyż ten sąd nie pokrywał się z sądem, jaki byłbym skłonny wydać teraz, kiedym usłyszał z ust Albertyny te słowa: „Niech będzie wreszcie jaki chce, mam nadzieję nie ujrzeć go już na oczy, skoro był powodem zwady między nami. Nie trzeba się już kłócić. To nie ładnie”.

Fakt że Albertyna zdawała się pożądliwie spoglądać na Roberta, uleczył mnie niemal na jakiś czas z posądzania jej o skłonność do kobiet; jedno wydawało mi się nie do pogodzenia z drugim. I wobec gumowego płaszcza Albertyny, w którym była jakby inną osobą, niestrudzoną pielgrzymką dżdżystych dni, płaszcza który, przylegający ściśle, podatny i szary, zdawał się w tej chwili nietyle chronić jej suknię od wody, ile, zmoczony wodą, oblepiać ciało tak jakby miał zdejmować odcisk jej kształtów dla jakiego rzeźbiarza, zdarłem tę tunikę, zazdrośnie obejmując upragnioną pierś, i przyciągając Albertynę, rzekłem: „Czy nie chcesz, ty, senna podróżniczko, pomarzyć skłoniwszy głowę na mojem ramieniu?” Tak rzekłem, ujmując jej głowę w ręce i wskazując wielkie łąki zalane i nie-me, rozciągające się w zapadającym zmierzchu aż po widnokrąg, zamknięty równoległymi łańcuchami dalekich i sinych pagórków.

Pojutrze, w sławną środę, w tej samej kolejce, do której wsiadłem w Balbec aby się udać na obiad do Raspelière, pilnowałem się bardzo, aby nie prześlepić doktora Cottard w Graincourt-Saint-Vast, gdzie, w myśl nowego telefonu od pani Verdurin, miałem go spotkać. Miał wsiąść do mojego pociągu i pokazać mi gdzie trzeba wysiąść aby zastać powozy, wysłane z la Raspelière na stację. Ponieważ kolejka zatrzymywała się tylko chwilę w Graincourt (pierwszej stacji po Doncières), zawczasu stanąłem w oknie, tak dalece się bałem, że nie zobaczę Cottarda lub że on mnie nie zobaczy. Próżne obawy! Nie zdałem sobie sprawy, do jakiego stopnia „klanik” urobił wiernych wedle jednego wzoru, tak że wszystkich — zresztą w galowych strojach — łatwo było rozpoznać na peronie po specjalnym wyrazie pewności siebie, szyku i poufności, po spojrzeniach, które przebywały — niby pustą przestrzeń, niczem nie zatrzymującą uwagi — zwarte szeregi pospolitej publiczności, śledząc pojawienie się jakiegoś wiernego, który wsiadł na poprzedniej stacyjce, i iskrząc się zawczasu bliską rozmową. Ta cecha wybranych, którą koleżeństwo obiadów naznaczyło członków „paczki”, odróżniała ich nietylko wówczas, kiedy, będąc w przeważającej liczbie, skupili się, tworząc świetniejszą plamę pośród gromady podróżnych — Brichot nazywał ich *pecus* — na których martwych twarzach nie można było wyczytać żadnej wiedzy o Verdurinach, ani nadziei obiadu w la Raspelière. Zresztą ci pospolici podróżni mniej byliby przejęci odemnie, gdyby przy nich wymówiono nazwiska „wiernych”, mimo że niektóre były sławne: co do mnie, podziwiałem, że oni wciąż chodzą na prośzone obiady, gdy wielu z nich czyniło to — wedle tego com wiedział z tradycji — przed moim urodzeniem, w epoce natyle odległej i mglistej zarazem, że byłem skłonny przeceniać jej dawność. Kontrast między trwaniem nietylko ich sposobu życia ale i pełni ich sił, a zagładą tylu przyjaciół, którzy już w moich oczach znikli, budził we mnie to samo uczucie, jakiego doznajemy, kiedy w „ostatnich wiadomościach” dziennika wyczytamy nowinę, którejśmy się najmniej spodziewali, naprzykład o jakimś zgonie przedwczesnym i dla nas przypadkowym, bo jego przyczyny pozostały nam nieznanne. Rodzi się stąd uczucie, że śmierć nie dosięga równocześnie wszystkich ludzi, ale że dalej wysunięta fala jej tragicznego przypływu porywa życie znajdujące się na poziomie innych, które długo jeszcze oszczędzą następne fale. Ujrzymy zresztą później, że różnaitość krążących niewidzialnie śmierci jest przyczyną specjalnej niespodzianki, jaką stanowi w dziennikach rubryka nekrologów.

Następnie zrozumiałem, że z czasem nietylko rzeczywiste dary, mogące współlistnieć z najgorszą trywialnością rozmowy, ujawniają się i narzucają, ale również to że mierne jednostki dochodzą do wysokich stanowisk, związanych w wyobraźni naszego dziecięc-

twa z jakimiś sławnymi starcami, przyczem nie zastanawialiśmy się, że po pewnej ilości lat staną się nimi ich uczniowie, zostawszy mistrzami i budzący teraz cześć i lęk, jakie sami odczuwali niegdyś. Ale jeżeli *pecus* nie znał nazwisk wiernych, wygląd ich wszelako ściągał oczy gminu. Nawet w pociągu (kiedy traf zgromadził ich owego dnia razem, tak że mieli już tylko zabrać na najbliższej stacji jakiegoś „odyńca”), wagon w którym znaleźli się społem, sygnowany przez lokieć rzeźbiarza Skiego, powiewający flagą *Temps* w rękach Cottarda, zakwitał zdaleka jak luksusowy wóz i wabił na właściwej stacyjce zapóźnionego kompana. Jedynym, którego uwagi mogłyby ująć te znaki ziemi obiecanej, był Brichot, a to z przyczyny całkowitej niemal ślepoty. Ale też jeden z wiernych obejmował dobrowolnie wobec niewidomego profesora funkcje czatownika: z chwilą gdy ujrano jego słomkowy kapelusz, zielony parasol i niebieskie okulary, kierowano go łagodnie i z pośpiechem ku uprzywilejowanemu wagonowi. Tak iż nie zdarzało się, aby który z wiernych, bez ściągnięcia najcięższych posądzeń o „lumpkę” lub wręcz o to że nie przyjechał pociągiem, nie odnalazł kompanów w ciągu drogi. Czasem zdarzało się coś przeciwnego: wierny musiał jechać dość daleko w ciągu popołudnia i tem samym odbył część drogi sam, zanim się połączył z gromadką; ale nawet odosobniony w ten sposób, sam ze swego gatunku, sprawiał pewne wrażenie. Przyszłość ku której płynął, zwracała nań uwagę osoby siedzącej naprzeciwko, która powiadała sobie: „To musi być nie byle kto”; dostrzegła, bodaj dokoła miękkiego kapelusza Cottarda lub rzeźbiarza lekką aureolę i nie była zanadto zdziwiona, kiedy na następnej stacji elegancki tłum (o ile to był końcowy punkt podróży) witał „wiernego” u drzwiczek wagonu i szedł wraz z nim do czekających na stacji powozów, wśród niskich ukłonów urzędnika stacji Doville. O ile to było na wcześniejszej stacji, tłum ten wdzierał się do wagonu. Co właśnie uczyniła — i to z pośpiechem, bo wielu przybyło późno, w chwili gdy pociąg już stojący na stacji miał ruszać — gromada, którą Cottard wiódł biegiem ku wagonowi, widząc w oknie moje sygnały.

Brichot, znajdujący się pośród tych „wiernych”, stał się tem wierniejszy w ciągu lat, które zmniejszyły gorliwość wielu innych. Słabnący stopniowo wzrok kazał mu, nawet w Paryżu, coraz bardziej ograniczać wieczorną pracę. Nie czuł zresztą sympatji do Nowej Sorbony, w której niemiecka ścisłość naukowa zaczynała górować nad humanizmem. Ograniczał się teraz wyłącznie do wykładów i do komisji egzaminacyjnych, toteż mógł wiele czasu poświęcić życiu światowemu, to znaczy wieczorom u Verdurinów, lub tym, które ktoś z wiernych, drżąc z emocji, wyprawiał czasem dla Verdurinów. Prawda, że na dwa zawody miłość omal nie sprawiła tego, czego nie mogła już uczynić praca, grożąc wyrwaniem Brichota z „paczki”. Ale pani Verdurin miała oko; zresztą, przywykły do tego dla dobra swego salonu, z czasem zaczęła znajdować bezinteresowną przyjemność w tego rodzaju dramatach i egzekucjach. Poróżniła tedy Brichota bez ratunku z niebezpieczną osobą, umiejac — jak mówiła — „zrobić porządek” i „wypalić ranę rozżarzonem żelazem”. Z jedną z niebezpiecznych osób poszło jej łatwo, ile że to była poprostu praczka Brichota: pani Verdurin, mającej o każdej porze wstęp na piąte piętro profesora, szkarłatnego z dumy kiedy raczyła wstąpić pod jego dach, wystarczyło poprostu wyrzucić za drzwi tę prostą kobietę. „Jakto — rzekła pryncypałka do Brichota — kobieta taka jak ja czyni panu ten zaszczyt że bywa u pana, a pan przyjmuje taką kreaturę?” Brichot nie zapomniał nigdy usługi, jaką mu oddała pani Verdurin, nie pozwalając jego starości ugrzęznąć w błocie; przywiązywał się do niej coraz bardziej, podczas gdy przez kontrast z tym przyływem przyjaźni i może z jego powodu — pryncypałka zaczęła sobie brzydzić nazbyt uległego „wiernego”, oraz posłuszeństwo, którego pewna była zgóry.

Ale zadomowienie u Verdurinów dawało Brichotowi blask, który go wyróżniał wśród kolegów w Sorbonie. Byli olśnieni opowiadaniem o obiadach, na które sami nie dostaną się nigdy, wzmiankami o Brichocie w artykułach lub jego portretem w Salonie — pióra głośnego pisarza lub pendzla malarza, których talent inne filary Fakultetu ceniły, nie mając widoków ściągnięcia ich uwagi. Imponowała im wreszcie elegancja światowego filozofa, którą brali zrazu za zaniedbanie, aż im kolega dobrotliwie wytłumaczył, że cylinder można stawiać w czasie wizyty na podłodze, nie jest zaś on na miejscu na wsi, choćby na najwytworniejszym obiedzie: wówczas zastępuje go miękki kapelusz, bardzo odpowiedni do smokinga.

Przez pierwsze sekundy kiedy gromadka pakowała się do wagonu, nie mogłem nawet mówić z Cottardem, zdyszany nie tyle tem że biegł aby dopaść pociągu, ile tem że go złapał na czas. To było więcej niż radość że się coś powiodło; była to niemal wesołość z udanego figla. „Haha, to paradne! — rzekł doktor ochłonawszy nieco. — Jeszcze chwila! Tam do licha! to nazywam znaleźć się w kropce!” — dodał mrużąc oko, nie aby wyrazić wątpliwość czy wyrażenie jest trafne — bo doktor aż kipiał pewnością siebie — ale aby dać folgę swemu zadowoleniu.

Wreszcie profesor mógł mnie zapoznać z resztą „paczki”. Z przykrością ujrzałem, że prawie wszyscy są w stroju, który w Paryżu nazywa się smokingiem. Zapomniałem, że Verdurinowie zaczynali odbywać nieśmiałą ewolucję w kierunku „świata”, opóźnioną przez sprawę Dreyfusa, przyspieszoną przez „nową” muzykę; ewolucję której zresztą przeczyli i której mieli przeczyć aż do osiągnięcia celu. To były niby operacje wojenne, które wódz oznajmia aż wówczas kiedy ich dokonał, aby nie wyglądać na pobitego o ile mu się nie udadzą. Świat był zresztą bardzo skłonny wyjść naprzeciw Verdurinów. Na razie widział w nich ludzi, u których nie bywa nikt z towarzystwa, ale którzy się tem bynajmniej nie martwią. Salon ich uchodził za świątynię muzyki. To tam — twierdzono — Vinteuil znalazł natchnienie, zachętę. Otóż, o ile sonata Vinteuila była wciąż całkowicie niezrozumiana i prawie nieznaną, nazwisko jego, wymawiane jako nazwisko największego współczesnego muzyka, miało ogromny urok. Niektórzy panicze z arystokracji uznali że powinni być tak wykształceni jak „osoby z miasta”; było między nimi trzech, którzy studjowali muzykę i u których sonata Vinteuila cieszyła się olbrzymią reputacją. Wróciwszy do domu, opowiadali o niej inteligentnej matce, której zawdzięczali bodziec artystyczny. I matki te, interesując się studjami synów, patrzyły na koncercie z odcieniem szacunku na panią Verdurin, która w łoży tuż przy scenie śledziła partyturę.

Dotąd, ta utajona światowość Verdurinów wyraziła się dopiero dwoma faktami. Z jednej strony, pani Verdurin mówiła o księżnej de Caprarola: „O, to osoba inteligentna, bardzo miła kobieta. Czego nie mogę znieść, to głupców, nudziarzy; przyprowadzają mnie o szaleństwo”. Z czego sprytniejszy trochę człowiek odgadłby może, że księżna de Caprarola, osoba z największego świata, była z wizytą u pani Verdurin. Wymówiła nawet nazwisko Verdurinów w czasie wizyty kondolencyjnej, jaką złożyła pani Swann po śmierci męża, i spytała Odety czy ich zna. „Jak pani powiada? — odparła Odeta z miną nagle posmutniałą. — Verdurin. — Och, już wiem — rzekła boleściwie tamta — nie znam ich, lub raczej znam ich pośrednio, spotykałam ich niegdyś u znajomych, dawno temu, to mili ludzie”. Skoro księżna de Caprarola wyszła, Odeta żalowała, że nie powiedziała po prostu prawdy. Ale doraźne kłamstwo nie było wynikiem rachuby, lecz syntezą jej obaw i pragnień. Przeczyła nie temu czemu zrzęcniej było zaprzeczyć, ale temu co chciałaby wymazać, nawet gdyby interlokutor miał się dowiedzieć za godzinę, że naprawdę istniało. Wkrótce potem odzyskała pewność siebie, uprzedzała nawet pytania, aby się nie zdawało że się ich boi: „Pani Verdurin? ależ oczywiście, znałam ją bardzo dobrze” mówiła z afektowaną prostotą wielkiej damy, która opowiada że wsiadła do tramwaju. „Dużo mówią o Verdurinach od jakiegoś czasu” — mówiła pani de Souvré. Na co Odeta z uśmiechem arystokratycznej wzgardy odpowiadała: „Ależ tak, zdaje się w istocie że dużo o nich mówią. Od czasu do czasu zjawiają się w towarzystwie tacy nowi ludzie” — mówiła, bez poczucia że sama jest jedną z najnowszych. „Księżna de Caprarola była u nich na obiedzie podjęła pani de Souvré. — A, odparła Odeta podkreślając słowa uśmiechem — to mnie nie dziwi. Zawsze od księżnej Caprarola zaczynają się te rzeczy, a potem przychodzi druga, na przykład hrabina Molé”. Odeta mówiła z odcieniem najwyższej wzgardy dla tych dwóch wielkich dam, mających zwyczaj „osuszać tynk” w świeżo otwartych salonach. Czuć było z tonu, że to znaczy, iż jej samej, jak i pani de Souvré, nie wzięłoby się na to.

Po uznaniu dla inteligencji księżnej Caprarola, jakie wyraziła pani Verdurin, drugim znakiem, że Verdurinowie mieli świadomość swego przyszłego losu, był fakt, iż bardzo tego pragnęli (rozumie się nie żądali tego formalnie) aby przychodzić do nich na obiad w wieczorowym stroju. Siostrzeniec pana Verdurin, ten którego „naprhali”, mógłby mu się teraz ukłonić bez wstydu.

Wśród osób, które wsiadły do mojego wagonu w Graincourt, znajdował się Saniette, którego niegdyś wypędził od Verdurinów krewny jego Forcheville ale który wrócił. Jego

wady, że światowego punktu widzenia były niegdyś — mimo cennych przymiotów — nieco pokrewne z wadami Cottarda; nieśmiałość, chęć przypochlebiania, bezpłodne wysiłki w tym celu. Ale, o ile życie, dając przywdziać Cottardowi (jeżeli nie u Verdurinów, gdzie — przez sugestję jaką wywiera na nas przeszłość, kiedy się znajdziemy w dawnym środowisku — został potrosze ten sam, to przynajmniej w jego praktyce, w szpitalu, w Akademii medycznej) pozory chłodu, wzgardy, powagi, silniej zaakcentowane wówczas gdy produkował przed chętnymi uczniami swoje kalambury, stworzyło istną przepaść między dawnym a obecnym Cottardem, przeciwnie te same wady spotęgowały się u Saniette'a, w miarę jak się z nich starał poprawić. Czując że często nudzi, że go nie słuchają, zamiast zwolnić dykcję, tak jakby to zrobił Cottard, zamiast apodyktycznym tonem wymusić uwagę, Saniette nie tylko starał się żarcikami okupić zbyt poważny charakter swoich enuncjacji, ale mówił coraz prędzej, zamazywał słowa, używał skrótów aby być zwięźlejszy i swobodniejszy, i osiągał tylko tyle, że jego opowiadania, niezrozumiałe, wlokły się tem samym bez końca. Nie miał tej pewności siebie co Cottard, który mroził pacjentów; kiedy ktoś później słał uprzejmość profesora w towarzystwie, odpowiadali: „Tak, ale to jest inny człowiek kiedy cię przyjmuje w swoim gabinecie, kiedy siedzisz w pełnym świetle a on plecami do światła i kiedy cię świdruje oczami. Natarczywość Saniette'a nie imponowała; czuć było że kryje zbyt wiele nieśmiałości, że lada co wystarczyłoby aby ją spłoszyć. Saniette, któremu przyjaciele zawsze mówili że za mało ufa sobie i który w istocie widział, jak ludzie niewątpliwie od niego niżsi z łatwością osiągną jemu niedostępne sukcesy, rozpoczynając jakąś historyjkę, sam uśmiechał się zgóry, z obawy iż poważna mina zgasiłaby humor opowiadania. Czasem, na kredyt wesołości, którą mina Saniette'a zdawała się wróżyć, słuchano go w powszechnym milczeniu. Ale dowcip stale pudłował. Jakiś poczciwy sąsiad słał czasem Saniette'owi prywatną, niemal sekretną zachętę zawartą w uśmiechu, użyczając mu jej ukradkiem, dyskretnie, tak jak się wsuwa banknot. Ale nikt nie posuwał się aż do przyjęcia odpowiedzialności, do zaryzykowania publicznej aprobaty wybuchem śmiechu. A kiedy historyjka była już skończona i pogrzebana, zrozpaczony Saniette długo uśmiechał się do siebie, jakgdyby znajdując w swoim dowcipie osobistą — niby to wystarczającą mu — przyjemność, której inni nie doznali.

Rzeźbiarza Ski zwano tak dla trudności jaką sprawiało jego polskie nazwisko i ponieważ on sam, od czasu jak żył w tem kółku, udawał że nie chce aby go mieszano z krewnymi, którzy byli bardzo dobrze sytuowani, trochę nudni i nader liczni. Przy swoich czterdziestu pięciu latach i wybitnej brzydocie, miał on rodzaj chłopięcego rozpieszczenia, które zachował stąd, że był, do dziesiątego roku życia, uroczem cudownym dzieckiem, ulubieńcem dam. Pani Verdurin twierdziła, że on jest bardziej artystą od Elstira. Miał zresztą z Elstirem pewne wspólne cechy, ale czysto zewnętrzne. Wystarczyły one, aby Elstir, który raz spotkał Skiego, powziął doń ową głęboką odrazę, jaką budzą w nas, bardziej jeszcze od istot całkiem od nas różnych, ci co są do nas podobni w gorszym wydaniu, ujawniający to co w nas jest lichsze, wady z którychśmy się wyleczyli; tacy przypominają nam w przykry sposób to, czem mogliśmy się wydawać niektórym ludziom, nim staliśmy się czem jesteśmy. Ale pani Verdurin uważała, że Ski ma więcej fantazji niż Elstir, ponieważ nie było rodzaju sztuki, w którym by nie osiągał łatwych sukcesów. Pani Verdurin wierzyła, że ta łatwość uzyskiwała wspaniałe wyniki, gdyby Ski był mniej leniwy. Lenistwo to wydawało się pryncypałe jednym darem więcej, jako przeciwieństwo pracy, którą uważała za los ludzi bez talentu. Ski malował co kto chciał, na spinkach do mankietów, na supraportach; śpiewał bez głosu, grał z pamięci dając na fortepianie złudzenie orkiestry, nietylko swoją wirtuozyją, ile przez fałszywe basy, zastępujące niezdolność zaznaczenia że w danym miejscu ma być piston, który zresztą Ski naśladował ustami. I tak jak opóźniał akord, który zablagożywał później, powiadając „Ping!”, aby dać złudzenie blachy, tak samo dobierał słów mających sugerować ciekawe wrażenie, dzięki czemu uchodził za wspaniałą inteligencję, mimo że idee jego były w rzeczywistości skąpe i ubogie. Znudzony swoją reputacją oryginała, uparł się dowieść, że jest człowiekiem praktycznym, rzeczowym, stąd zwycięska manja fałszywej precyzji, fałszywego zdrowego rozsądku — obciążone brakiem pamięci i stałą nieścisłością informacji. Jego ruchy głowy, szyi, nóg, byłyby pełne wdzięku, gdyby miał jeszcze dziewięć lat, pukle blond, wielki koronkowy kołnierz i czerwone safianowe buciki.

Przybywszy wcześniej z Cottardem i Brichotem na stację Graincourt, zostawili Brichota w poczekalni i poszli się przejść trochę. Kiedy Cottard chciał wracać, Ski odpowiedział: „Ależ jest masa czasu. Dziś nie jest pociąg lokalny, ale departamentalny”. Zachwycony wrażeniem, jakie ta precyzja wywarła na Cottardzie, Ski dodał, mówiąc o sobie: „Tak, dlatego że Ski kocha sztukę, że paćka się w glinie, wszyscy myślą, że on nie może być praktyczny. Nikt nie zna tej linii lepiej odemnie”. Mimo to, kiedy wracali na stację, naraz spostrzegając dym nadjeżdżającej kolejki, Cottard ryknął: „Prędko, prędko, wyciągać pedały!” W istocie ledwo zdążyli, bo różnica między pociągiem lokalnym a departamentalnym istniała jedynie w wyobraźni rzeźbiarza.

— Ale czy księżnej niema w pociągu? — spytał donośnym głosem Brichot, którego ogromne okulary — błyszczące jak owe reflektory które laryngolog przymocowuje na czole aby oświetlić gardło chorego — zdawały się czerpać życie z oczu profesora i — może wskutek wysiłku, jaki wkładał w to aby zestroić swój wzrok z niemi — zdawały się same, nawet w zupełnie obojętnych momentach, patrzeć z wytężoną bacznością i napięciem. Zresztą choroba, odbierając pomału wzrok Brichotowi, odsłoniła mu uroki tego zmysłu, jak często aby docenić jakiś przedmiot, aby go żałować, trzeba się rozstać z nim, darować go naprzykład.

— Nie, nie, księżna odwoziła do Maineville gości pani Verdurin na pociąg paryski. Możliwe nawet jest, że pani Verdurin, która miała coś załatwić w Saint-Mars, wybrała się z nią! W ten sposób jechałaby z nami, odbylibyśmy drogę wszyscy razem, to byłoby urocze. Trzeba będzie dobrze wypatrywać oczy w Maineville. Haha, bagatela, można powiedzieć, żeśmy o mało co nie przegapili sprawy. Kiedym zobaczył pociąg, zatknęło mnie poprostu. To się nazywa przybyć w momencie psychologicznym. Pomyślcie tylko, gdybyśmy nie złapali pociągu, pani Verdurin patrzy, patrzy, a tu powozy zajeżdżają bez nas: awantura! — dodał doktor, który jeszcze nie ochłonął ze wzruszenia. To się nazywa historia nie banalna. Powiedz pan, profesorze, co pan sądzi o naszej eskapadzie? — spytał doktor z odcieniem dumy.

— Na honor — odparł Brichot — w istocie, gdybyście nie złapali pociągu, to byłby (jakby powiedział nieboszczyk Villemain) cios w samo serce Francji.

Ale ja, zaabsorbowany z początku obecnością tylu nieznajomych, przypomniałem sobie nagle to, co mi Cottard rzekł w sali małego kasyna; jakgdyby niewidzialne ogniwo mogło połączyć jakiś zmysł z obrazami pamięci, widok Albertyny opierającej się piersiami o piersi Anny zabolął mnie straszliwie w sercu. Ból ten nie trwał długo: myśl o przypuszczalnych jej stosunkach z kobietami nie wydawała mi się już możebna od przedwczoraj, odkąd jej zalotność w stosunku do Roberta wzniciła we mnie nową zazdrość, zasuważąc w cień poprzednią. Miałem naiwność ludzi, którzy sądzą, że jedna skłonność wyklucza nieodzownie inną.

W Haranbonville, ponieważ pociąg był pełny, wieśniak w niebieskiej bluzie, mający bilet trzeciej klasy, wsiadł do naszego przedziału. Doktor, uważając że nie można dopuścić aby księżna jechała z tym człowiekiem, sprowadził konduktora, pokazał swoją kartę lekarza wielkiego towarzystwa kolejowego i zmusił naczelnika stacji do usunięcia wieśniaka. Scena ta zasmuciła i zaniepokoiła do tego stopnia trwożliwego Saniette, że zaraz z początku, bojąc się, dla mnogości chłopów znajdujących się na peronie, aby nie doszło do awantury, udał że go brzuch boli i, aby oddalić od siebie wszelką odpowiedzialność za brutalność doktora, wymknął się na korytarz, udając że szuka tego, co Cottard nazywał *water*. Nie znalazłszy, przyglądał się krajobrazowi z drugiego końca pociągu.

— Jeżeli to są pańskie pierwsze kroki u pani Verdurin — rzekł do mnie Brichot, który chciał rozwinąć talenty przed nowicjuszem — zobacz pan, że niema środowiska, gdzieby się bardziej czuło „słodycz życia”, jak powiadał niegdyś jeden z wynalazców dyletantyzmu, sceptycyzmu, wielu słów kończących się na „izm”, ulubionych naszym snobinetkom; mam na myśli *Monsieur le prince de Talleyrand*.

Bo, kiedy Brichot mówił o owych wielkich panach z przeszłości, uważał za dowcipne i „w kolorze epoki” poprzedzać ich tytuł słowem *Monsieur* i powiadał *Monsieur le duc de la Rochefoucauld*, *Monsieur le Cardinal de Retz*, których nazywał również od czasu do czasu: „Ten *struggle-for-lifer* Gondi”, ten „bulanżysta Marcillac”. I kiedy mówił o Monteskiuszu, nie omieszkał nigdy nazywać go z uśmiechem: „pan prezydent Secondat de Montesquieu”. Inteligentnego światowca drażniłby może ten pedantyzm bakałarza. Ale w doskonałych

manierach światowca — gdy mówi o którymś z panujących — jest także pedantyzm, zdradzający odrębną kastę, tę gdzie się poprzedza imię Wilhelm tytułem „cesarz”, i gdzie się mówi do książęcej Wysokości w trzeciej osobie.

— Inna rzecz — ciągnął Brichot mówiąc o „*Monsieur le prince de Talleyrand*” — że przed tym panem trzeba się nisko uklonić. To jest protoplasta!

— To urocze środowisko! — rzekł do mnie Cottard — znajdzie pan tam potrosze wszystko, bo pani Verdurin nie jest ekskluzywna. Znajdzie pan znakomitych uczonych, jak Brichot, wysoką arystokrację jak np. księżna Szerbatow, wielka dama rosyjska, przyjaciółka Wielkiej księżnej Eudoksji, którą widuje nawet sam na sam w porze gdy Wielka Księżna nikogo nie przyjmuje.

W istocie, Wielka księżna Eudoksja, nie mając zbytnej ochoty, aby księżna Szerbatow, której oddawna nikt nie przyjmował, odwiedzała ją wtedy kiedy mogli być goście, poleciła jej przychodzić jedynie bardzo wcześnie, kiedy Jej Wysokość nie miała u siebie nikogo z przyjaciół, dla których spotkanie z księżną Szerbatow byłoby równie krępujące jak dla niej. Od trzech lat, ledwie wyszedłszy — niby jaka manikurzystka — od Wielkiej księżnej, pani Szerbatow spieszyła do pani Verdurin (która dopiero co się obudziła) aby jej już nie opuścić. Można rzec, że wierność księżnej Szerbatow przewyższała nieskończenie nawet wierność Brichota, tak pilnego wszelako na tych *środach*, gdzie miał tę rozkosz, że się czuł w Paryżu niby Chateaubriandem w Abbaye-aux-Bois, na wsi zaś wyobrażał sobie, że się stał ekwiwalentem tego, czem mógłby być u pani du Châtelet ten, którego nazywał zawsze, z filuternością i zadowoleniem humanisty, „panem de Voltaire”.

Brak stosunków pozwolił księżnej Szerbatow dochowywać od wielu lat Verdurinom wierności, która czyniła z niej więcej niż zwykłą „wierną”; wierność doprowadzoną do ideału, który długo pani Verdurin uważała za nieosiągalny, a który, doszedłszy krytycznego wieku, znalazła wreszcie wcielony w tę nową zdobycz kobiecą. Mimo iż najgorliwsi wierni znali zachłanność pryncypalki, nie zdarzało się, aby nie „puścili jej” niekiedy. Najbardziej zadomowieni ulegli pokusie jakiejś podróży, najsurowsi wdali się w jakiś romansik; najzdrowsi mogli załapać grypę, najmniej czynni mogli mieć ćwiczenia wojskowe, najmniej czuli musieli zamknąć oczy umierającej matce. I napróżno pani Verdurin powiadała im wówczas, jak cesarzowa rzymska, że ona jest jedynym wodzem, którego powinna słuchać jego legja, jak Chrystusa lub Kaizera; że ten co kocha ojca i matkę tyle co ją, wzdragając się opuścić ich aby iść za nią, nie jest jej godny; że zamiast rozpieszczać się leżeniem w łóżku lub dać się wodzić za nos dziewczce, lepiejby uczynili pędząc czas z nią, jedynym lekarstwem i jedyną rozkoszą. Ale los, który lubi czasami upiększyć schylek przydługich istnień, pozwolił pani Verdurin spotkać księżnę Szerbatow. Poróżniona z rodziną, wygnana z kraju, nie znając już nikogo poza baronową Putbus i wielką księżną Eudoksją, księżna Szerbatow chodziła do nich tylko rano, bo o ile ona sama nie miała ochoty spotykać przyjaciółek baronowej, Wielka księżna znowuż nie miała ochoty aby jej przyjaciółki spotykały księżnę Szerbatow. O tej porze pani Verdurin jeszcze spała. Księżnej nie zdarzyło się zostać bodaj przez jeden dzień w domu, od czasu kiedy, mając dwanaście lat przeszła odrę. Jednego roku, dnia 31 grudnia, kiedy pani Verdurin, bojąc się że będzie osamotniona, spytała księżnej, czy nie mogłaby u niej zostać niespodzianie na noc, mimo Nowego Roku, ta odparła: „Ależ, droga pani, cóżby mnie mogło od tego wstrzymać w jakikolwiek dzień roku? Zresztą, to jest dzień przeznaczony dla rodziny, a pani jesteś moją rodziną”. Mieszkając w pensjonacie i zmieniając pensjonat o ile Verdurinowie się przeprowadzali, układając wedle nich swoje wilegiatury, księżna tak dobrze zrealizowała dla pani Verdurin wiersz Alfreda de Vigny

Tyś mi ziściła cel pragnień jedyne,

że pryncypalka, pragnąc sobie zapewnić „wierną” nawet po śmierci, wymogła że ta z nich, która przeżyje drugą, każe się pochować obok niej. Obcym — a do *obcych* trzeba zawsze liczyć osobę, której kłamiemy najwięcej, jako tej której wzgarda byłaby nam najprzykrejsza: nas samych — księżna Szerbatow starała się wmówić, że jej trzy jedyne przyjaźnie — Wielka księżna, Verdurinowie, baronowa Putbus — są w istocie jedyne; nie dlatego że niezależnie od jej woli kataklizmy ocaliły je pośród generalnego rozbicia, ale mocą wolnego wyboru. Ten wybór jakoby kazał księżnej przelożyć te stosunki nad

wszystkie inne, wrodzone zaś upodobanie w samotności i prostocie kazało się jej do nich ograniczyć. „Nie widuję *nikogo* więcej” — powiadała, kładąc nacisk na niezłomny charakter tego faktu, mającego oblicze raczej reguły jaką ktoś sobie nakłada, niż konieczności której ulega. Dodawała: „Bywam jedynie w trzech domach”; jak autorowie, którzy bojąc się, że nie zdołają dociągnąć do czwartego wieczoru, oznajmiają, że ich sztuka pójdzie tylko trzy razy. Czy oboje państwo Verdurin wierzyli w tę fikcję czy nie, faktem jest, że pomogli księżnej wszczepić ją w umysły wiernych. Ci wierzyli święcie i w to, że księżna Szerbatow, pośród tysiąca stosunków, jakie miała do wyboru, wybrała jedynych Verdurinów, i w to, że Verdurinowie, daremnie oblegani przez cały wielki świat, zgodzili się uczynić tylko jeden wyjątek na rzecz księżnej Szerbatow.

W ich oczach, księżna, zbyt przerastająca umysłem swoją sferę aby się w niej mogła nie nudzić, wśród tylu ludzi z którymi mogłaby przestawać, upodobała sobie jedynie Verdurinów, a nawzajem ci, nieczuli na awanse całej arystokracji, która im otwierała ramiona, zgodzili się uczynić tylko jeden wyjątek na rzecz wielkiej damy, inteligentniejszej od innych — księżnej Szerbatow.

Księżna była bardzo bogata; miała na wszystkich premierach wielką parterową lożę, dokąd, z upoważnieniem pani Verdurin, zapraszała wiernych, i nikogo poza nimi. Pokazywano sobie tę zagadkową i bladą osobę, która zestarzała się nie siwiejąc, raczej rudziejąc, jak niektóre trwale i pomarszczone owoce na krzewie. Podziwiano zarazem jej wpływy i skromność, mając bowiem zawsze z sobą akademika Brichot, sławnego uczonego Cottard, pierwszego pianistę epoki, a później pana de Charlus wybierała jednak umyślnie lożę najciemniejszą, siedziała cały czas w głębi, nie zajmowała się w najlżejszej mierze widzami, żyła wyłącznie dla małej gromadki, która, nieco przed końcem przedstawienia, opuszczała lożę, idąc za tą dziwną władczynią, nie pozbawioną nieśmiałości, fascynującego i zwiedłego wdzięku. Otóż, jeżeli pani Szerbatow nie patrzyła na salę, jeżeli pozostawała w cieniu, to aby starać się zapomnieć, że istnieje świat żywych, który namiętnie — i daremnie — pragnęła poznać: stałe towarzystwo w loży było dla niej tem, czem jest dla pewnych zwierząt niemal że trupia martwota w obliczu niebezpieczeństwa. Mimo to, pociąg do nowości i ciekawość trawiące ludzi światowych, były przyczyną, że ci użyczyli może więcej uwagi tajemniczej nieznałomej, niż sławom z frontowych łóż, gdzie wszyscy składali wizyty. Wyobrażano sobie, że ona jest inna niż osoby które się znało; że jakaś cudowna inteligencja połączona z subtelną dobrocią wiąże do niej tę grupkę ludzi niepospolitych. Czasem, kiedy przy niej mówiono o kimś lub kiedy jej przedstawiano kogoś, księżna musiała udawać lodowaty chłód, aby podtrzymać fikcję swego wstępu do świata. Mimo to, przy pomocy Cottarda lub pani Verdurin, paru nowym osobom udało się ją poznać; wówczas, upojona tą znajomością, zapominała legendy dobrowolnego samotnictwa i zgrywała się bez miary dla przybysza. Jeśli to było jakieś zero, wszyscy się dziwili. „Szczególna rzecz — mówiono że księżna, która nie chce znać nikogo, robi wyjątek dla tej tak mało interesującej figury”. Ale te zapładniające znajomości były rzadkie, księżna żyła ściśle skazana na wiernych.

Cottard mawiał o wiele częściej: „Zobaczę Iksa we środę u Verdurinów”, niż: „Zobaczę Iksa we wtorek w Akademji”. Mówił o środach jak o zatrudnieniu równie ważnym i równie nieuchronnym. Zresztą, Cottard należał do tych niezbyt rozrywanych ludzi, którzy poczytują sobie za obowiązek stawić się na zaproszenie, tak jakby to był rozkaz, wezwanie wojskowe lub sądowe. Musiał mieć bardzo ważne konsyljum, aby „puścić” Verdurinów we środę; przyczem o ważności decydowało raczej stanowisko chorego niż ciężkość choroby. Bo Cottard, mimo iż dobry człowiek, wyrzekł się słodczy środy nie dla udaru sercowego prostego robotnika, ale dla kataru ministra. A i wówczas mówił do żony: „Pamiętaj mnie wytłumaczyć przed panią Verdurin. Uprzedź ją, przyjdę później. Ta Ekscelencja mogłaby wybrać sobie inny dzień na swój katar”. Kiedy pewnej środy stara kucharka Cottardów przecięła sobie żyłę na przedramieniu, doktor, już wybierający się w smokingu do Verdurinów, wzruszył ramionami, kiedy go żona nieśmiało spytała, czy nie mógłby opatrzyć rannej: „Ależ nie mogę, Leontyno — wykrzyknął boleściwie; widzisz przecie, że mam białą kamizelkę”. Aby nie drażnić męża, pani Cottard sprowadziła coprędzej z kliniki asystenta. Ten, aby przybyć prędzej, wziął fiakra, tak że wehikul jego wjeżdżał w dziedziniec w chwili gdy doktor wyjeżdżał powozem do Verdurinów; stracono pięć minut na mijaniu się, cofaniu. Pani Cottard była zażenowana tem, że asystent widzi

męża w wieczorowym stroju. Cottard kłął na spóźnienie, może przez wyrzut sumienia, i pojechał w fatalnym humorze, tak iż trzeba było wszystkich rozkoszy środy, aby ten zły humor rozprószyć.

Jeżeli pacjent Cottarda pytał: — „Czy pan widuje kiedy Guermantów?” profesor z najlepszą wiarą odpowiadał: „Może nie specjalnie Guermantów, sam nie wiem. Ale spotykam cały ten światek u swoich przyjaciół. Słyszał pan z pewnością o Verdurinach. Znają cały świat. A przytem oni, to przynajmniej nie są fummy na goło. Ludzie odpowiedzialni. Powszechnie szacują panią Verdurin na trzydzieści pięć milionów. Ba, trzydzieści pięć milionów, to jest coś! Toteż ona nie żałuje omasty. Mówił pan o księżnej Guermantes. Powiem panu różnicę: pani Verdurin to całą głębią dama, u księżnej de Guermantes jest z pewnością bryndza. Rozumie pan ten odcień, nieprawdaż? W każdym razie, czy Guermantowie bywają u pani Verdurin czy nie, ona przyjmuje lepszych; Szerbatow, Forcheville, *tutti quanti*, ludzie najwyższej sfery, kwiat Francji i Nawarry, ludzie z którymi rozmawiam sobie za panbrat. Zresztą ten gatunek osób chętnie poszukuje towarzystwa potentatów wiedzy” — dodał z uśmiechem błęgiego zadowolenia, płynącego nietyle stąd, że epitet będący niegdyś przywilejem Potainów i Charcotów przypada teraz jemu, ile że umie wreszcie we właściwy sposób użyć wszystkich uświęconych zwrotów, które, po długich studjach, posiadał na wylot. Toteż, zacytowaawszy mi księżnę Szerbatow między osobami które przyjmuje pani Verdurin, Cottard dodał, mrużąc oko: „Rozumie pan typ tego domu, pojmuje pan co ja chcę powiedzieć?” Chciał powiedzieć, że to jest ostatni wyraz „szyku”. Otóż, przyjmować rosyjską damę, która znała tylko Wielką księżną Eudoksję, to było bardzo niewiele. Ale gdyby nawet księżna Szerbatow nie znała Wielkiej księżnej, nie umniejszałoby to opinii, jaką miał Cottard co do arcy-elegancji salonu Verdurinów, ani jego rozkoszy bywania u nich, świetność, jaką przybierają w naszych oczach salony, nie bardziej jest autentyczna, niż świetność wielkich figur w teatrze: zupełnie zbyteczne jest, aby dyrektor teatru wydawał setki tysięcy na autentyczne kostiumy i prawdziwe klejnoty, które nie zrobiłyby żadnego efektu, podczas gdy artysta dekorator da wrażenie tysięcy razy wspanialszego zbytku, rzucając promień sztucznego światła na grubą płócienny kaftan usiany kawałkami szkła i na płaszcz uszyty z papieru. Niejeden spędził życie pośród możnych tego świata, którzy byli dlań tylko nudnymi krewnymi lub uprzykrzonymi znajomymi, bo przyzwyczajenie od dziecka odarło ich z wszelkiego blasku. Ale wzamian wystarczyło, że ten blask oblał jakimś przypadkiem najpokątniejsze osoby, aby niezliczeni Cottardowie żyli olśnieni utytułowanymi kobietami, których salon brali za centrum arystokratycznej elegancji, podczas gdy one nie były nawet tem, czem była pani de Villeparisis i jej przyjaciółki (zdegradowane wielkie damy, z którymi arystokracja, chowana z niemi od dziecka, nie chciała przestawać); gdyby tacy pisali pamiętniki i przytoczyli imiona owych kobiet (których przyjaźń była ich dumą), oraz tych co tam bywali, nikt — zarówno pani de Cambremer jak pani de Guermantes — nie zdołałby ich zidentyfikować. Ale cóż to znaczy! Jakiś Cottard ma w ten sposób swoją markizę, która jest dlań „baronową”, jak u Marivaux, baronową, której nazwiska nie wymawia się nigdy, tak że wogóle nie przychodzi na myśl, że ona ma jakieś nazwisko. I Cottard myśli, że w niej streszcza się arystokracja — która nie wie o istnieniu tej damy — tem bardziej, że im tytuły wątpliwsze, tem więcej zajmują miejsca korony na szkle, na srebrze, na papierze listowym, na kuferkach. Liczni Cottardowie, którzy myśleli iż pędzą życie w sercu faubourg Saint-Germain, mieli wyobraźnię bardziej może urzeczoną feudalnymi marzeniami, niż ci co naprawdę żyli blisko z książętami krwi, tak samo jak kupczyk, który wybierze się czasem w niedzielę oglądać architekturę „starych czasów”, często najbardziej podziwia średniowiecze w tych budowlach, w których wszystkie kamienie są nowoczesne, sklepienie zaś pomalowali na niebiesko i usiali złotem gwiazdami uczniowie Viollet-le-Duca.

— Księżna wsiądzie w Maineville. Będzie jechała z nami. Ale nie przedstawię pana zaraz. Lepiej że by to zrobiła sama pani Verdurin. Chyba że znajdę sposobność jakiegoś nawiązania: w takim razie może pan być pewny, że ją pochwycę.

— O czem mówiliście panowie — spytał Saniette, który udał, że chciał odetchnąć powietrzem.

— Cytowałem — rzekł Brichot — słówko — zna je pan z pewnością — tego, który jest, mojem zdaniem, pierwszym *schyłkowcem* (ze schyłku wieku XVIII, rozumie się), rze-

czonego Charles Maurice, abbe de Perigord. Zaczął od tego, że się zapowiadał na pierwszorzędnego dziennikarza. Ale wykoleił się; chcę powiedzieć, że został ministrem! Życie miewa takie katastrofy. Polityk zresztą mało skrupulatny, który z dezinwolturną urodzonego arystokraty, nie wahał się pracować chwilami *dla króla Prus* — to przysłowie nadaje się tu idealnie — i skończył w skórze lewego centrowca.

W Saint-Pierre-des-Ifs wsiadła wspaniała młoda dziewczyna, która niestety nie należała do naszej gromadki. Nie mogłem oderwać oczu od jej magnoljowego ciała, czarnych oczu, od wspaniałej i dumnej postaci. Po sekundzie chciała otworzyć okno, bo było trochę gorąco w przedziale; nie chcąc zaś prosić o pozwolenie wszystkich, ponieważ ja jeden byłem bez płaszcza, rzekła do mnie szybkim, świeżym i roześmianym głosem: „Czy nie zaszkodzi panu trochę powietrza?” Miałem ochotę odpowiedzieć: „Niech pani jedzie z nami do Verdurinów”. Albo: Niech mi pani powie swoje nazwisko i adres”. Odpowiedziałem: „Nie, pani, powietrze mi nie szkodzi”. Poczem, nie ruszając się z miejsca, rzekła: „A czy dym nie szkodzi pańskiemu towarzystwu?” I zapaliła papierosa. Na trzeciej stacji wysiadła jednym susem. Nazajutrz, spytałem Albertyny, ktoby to mógł być. Bo, w swojej głupocie, sądząc że można kochać tylko jedno, zazdrosny o zachowanie się Albertyny z Robertem, uspokoiłem się co do kobiet. Albertyna odpowiedziała — zdaje się bardzo szczerze — że nie wie. „Tak bym ją chciał odnaleźć! — wykrzyknąłem. — Uspokój się, ludzie się zawsze odnajdują” — odparła Albertyna. W tym wypadku myliła się, nigdy nie odnalazłem ładnej dziewczyny z papierosem, ani nie dowiedziałem się o niej. Pokaże się zresztą, czemu przez długi czas musiałem przestać jej szukać. Ale nie zapomniałem. Zdarza mi się często, myśląc o niej, odczuwać szaloną tęsknotę. Ale te nawroty pragnień uprzytomniają nam, że gdyby się chciało odnaleźć taką młodą dziewczynę z równą przyjemnością, trzeba by również cofnąć się w rok, od którego upłynęło dziesięć innych lat, w czasie których dziewczyna miała czas zwiędnąć. Można niekiedy odnaleźć jakąś istotę, ale nie zniweczyć czasu. Wszystko to, aż do nieprzewidzianego dnia, smutnego jak noc zimowa, kiedy się już nie szuka tej, ani żadnej innej, kiedy znalezienie jej przeraziłoby nas może! Bo nie czujemy w sobie dość powabów aby się podobać, ani dość siły aby kochać. Nie dlatego, rozumie się, aby się było w ścisłym znaczeniu słowa „impotentem”. A co się tyczy kochania, kochałoby się bardziej niż kiedykolwiek. Ale czuje się, że to za wielkie przedsięwzięcie na tych niewiele sił, jakie nam zostało. Wiekuisty spokój narzucił nam już okresy, w których nie podobna nam wyjść z domu ani mówić. Postawić nogę na właściwym schodzie, to sukces taki, jak nie chybić *salto mortale*. Pokazać się w tym stanie dziewczynie którą się kocha, nawet jeśli się zachowało dawną twarz i wszystkie blond włosy młodzieńca! Nie sposób już podjąć fatygi dotrzymywania kroku młodości. Tem gorzej, jeżeli fizyczne pożądanie zdwaja się zamiast słabnąć! Sprowadza się dla jego zaspokojenia kobietę, której nie silimy się podobać, która podzieli przez jeden wieczór nasze łóżko i której nie ujrzemy już nigdy.

— Wciąż nie ma nowin o naszym skrzyppku — rzekł Cottard. Zdarzeniem dnia w „paczce” było w istocie zniknięcie ulubionego skrzyppka pani Verdurin. Ów, odbywając służbę wojskową koło Doncières, przybywał trzy razy w tygodniu na obiad do Raspelière, bo miał stałą przepustkę do północy. Otóż, przedwczoraj, pierwszy raz wierni nie zdołali go odszukać w kolejce. Przypuszczano że się spóźnił. Ale daremnie pani Verdurin posyłała na następny pociąg, w końcu na ostatni, powóz wrócił próżny.

— Z pewnością musiał załapać areszt, niema innego wytłumaczenia. Ba, wiadomo, w wojsku wystarczy złego humoru sierżanta.

— Jeżeli Morel skrewi jeszcze tym razem — rzekł Brichot — to będzie bardzo przykre dla pani Verdurin. Nasza miła gosposia ma właśnie pierwszy raz na obiedzie sąsiadów, od których wynajęła la Raspelière: margrabiostwo de Cambremer.

— Dziś wieczór margrabiostwo de Cambremer! — wykrzyknął Cottard. Ależ ja nic nie wiedziałem. Oczywiście, wiedziałem, jak i wy, że mają być kiedyś, ale nie wiedziałem że

tak prędko. Do paralusza — rzekł zwracając się do mnie — cóż ja panu mówiłem: księżna Szerbatow, margrabiostwo de Cambremer! — I, powtórzywszy parę razy te nazwiska, upajając się ich melodią, doktor dodał:

— Widzi pan, że my tu sobie nie odmawiamy niczego. Niema co, jak na pierwszą wizytę, dobrze pan trafił. To będzie zebranko szczególnie udane.

I, obracając się do Brichota, dodał:

— Pryncypalka musi być wściekła. Ostatni czas, żebyśmy jej przybyli z odsieczą.

Od czasu jak pani Verdurin bawiła w la Raspelière, udawała wobec wiernych, że jest istotnie zmuszona, ku swojej rozpacz, zaprosić jeden raz właścicieli tej posiadłości. Użyła w ten sposób lepsze warunki na przyszły rok (mówiła); robi to wyłącznie z interesu. Ale twierdziła, że tak się tego boi, że tak przerażające dla niej jest mieć na obiedzie ludzi z poza swojej „paczki”, że wciąż to odkłada. Przerażała ją to zresztą trochę z pobudek jakie głosiła przesadnie; z drugiej strony, zachwycało ją z racji snobistycznych, które wołała zataić. Była tedy nawpół szczerą; wierzyła, że jej paczka jest czemś tak jedynym, zespołem na którego stworzenie trzeba było wieków, że drżała na myśl wprowadzenia w nią mieszkańców prowincji, nieznających *Tetralogji* ani *Norymberskich* nie zdolnych odegrać swojej partji w koncercie ogólnej rozmowy i mogących, przybyciem swoim do pani Verdurin, zniweczyć jedną ze sławnych śród, nieporównanych i kruchych arcydzieł, podobnych do owych weneckich szkielek, które jedna fałszywa nuta może strzaskać.

— Co więcej, to muszą być ludzie jak tylko może być *anty* (anty dreyfusisci, oczywiście) i militaryści — rzekł p. Verdurin.

— Och, co to, to mi wszystko jedno, za długo już zajmuje się świat tą historją — odparła pani Verdurin, która, będąc szczerą dreyfusistką, byłaby jednak rada w sławie swego dreyfusistowskiego salonu znaleźć światową rekompensatę. Otóż, dreyfusizm tryumfował politycznie, ale nie światowo. Labori, Reinach, Picquart, Zola, to wciąż byli dla ludzi światowych „zdrajcy” i mogli ich jedynie odstręczyć. Toteż po tym wypadzie w politykę, pani Verdurin pragnęła wrócić do sztuki. Zresztą d’Indy, Debussy, czy nie byli nieprawomyślni w tej sprawie?

— Co się tyczy Sprawy, wystarczy ich poprostu posadzić koło Brichota — rzekła (profesor — jedyny z wiernych — trzymał stronę generalnego sztabu, co go bardzo zdeprecjonowało w oczach pani Verdurin). Nie musi się wечно mówić o Dreyfusie. Nie, doprawdy, nudzą mnie te Cambremery!

Co się tyczy „wiernych”, równie podnieconych skrytą żądzą poznania Cambremarów, jak oszukanych udaniem znudzeniem pani Verdurin tą wizytą, ci, rozmawiając z nią, powtarzali codziennie płaskie argumenty, jakimi ona sama tłumaczyła to zaproszenie. I powtarzając te argumenty, starali się zwiększyć ich wagę.

— Niech się pani raz zdecyduje — powtarzał Cottard — a zyska pani opust na komornem; zapłacą ogrodnika, będzie pani miała używalność łąki. Wszystko to warte jest aby się przenużyć jeden wieczór. Mówię tylko dla pani — dodał, mimo że serce zabiło mu kiedy raz, jadąc powozem pani Verdurin, minął landarę starej pani de Cambremer, a zwłaszcza że się czuł upokorzony wobec funkcjonariuszy kolejowych, kiedy się znalazł na stacji w pobliżu margrabięgo. Cambremerowie znowuż byli zbyt daleko od prawdziwego „świata” aby móc się nawet domyślać, że niektóre eleganckie kobiety mówiły z uznaniem o pani Verdurin; toteż wyobrażali sobie, że to jest kobieta żyjąca w towarzystwie samych cyganów (może nawet „nieślubna”) i, co się tyczy ludzi „urodzonych”, nie mająca nadziei oglądania nikogo prócz nich, państwa de Cambremer. Zdecydowali się na ten obiad jedynie dla zachowania dobrych stosunków z lokatorami, których spodziewali się zatrzymać na szereg lat, zwłaszcza dowiedziawszy się przed miesiącem, że Verdurinowie odziedziczyli tyle milionów. W milczeniu tedy i bez niesmacznych żarcików, gotowali się na nieszczęsny dzień. „Wierni” nie spodziewali się już aby ten dzień przyszedł kiedy, tyle razy pani Verdurin oznajmiała im wciąż przesuwaną datę. Wahania te miały na celu nietylko popisanie się wstąpieniem do owego obiadu, ale trzymanie w gotowości tych członków paczki, którzy mieszkali w sąsiedztwie a którzy lubili czasem „chodzić na wagary”. Nie iżby pryncypalka zgadywała, że ów wielki dzień jest dla nich równie upragniony jak dla niej samej, ale dlatego, że przekonawszy ich iż ten obiad jest dla niej najokropniejszą piłą, mogła się odwołać do ich poświęcenia:

— Nie zostawicie mnie przecie samą z tymi chińczykami! — mówiła. — Przeciwnie, trzeba nam być jak najliczniej, aby znieść te nudy. Oczywiście, nie będziemy mogli mówić o niczem co nas interesuje. Ot, jedna środa zmarnowana, cóż robić!

— W istocie — odparł Brichot, zwracając się do mnie — sądzę, iż pani Verdurin, która jest bardzo inteligentna i lubi wypieścić każdą ze swoich *śród*, nie miała zbytnej ochoty zapraszać tych szlachciurów wysokiego rodu ale skąpego dowcipu. Nie mogła się zdobyć na zaproszenie starej margrabiny, ale pogodziła się z wizytą młodszych państwa.

— A, ujrzemy młodą markizę de Cambremer? — rzekł Cottard z uśmiechem, który czuł się w obowiązku zabarwić jurnością i *mariwodazem*, mimo iż nie wiedział, czy pani de Cambremer jest ładna czy nie. Ale sam tytuł *markizy* budził w nim ponętne i frywolne obrazy.

— A! ja ją znam — rzekł Ski, który spotkał raz panią de Cambremer towarzysząc na spacerze pani Verdurin.

— Nie zna jej pan w sensie biblijnym — rzekł, rzucając z pod binokli dwuznaczne spojrzenie, doktor (był to jego ulubiony żarcik).

— Inteligentna jest — rzekł do mnie Ski. — Oczywiście — rzekł, widząc że ja nic nie mówię i podkreślając uśmiechem każde słowo — jest inteligentna i nie jest, brakuje jej wykształcenia; jest pusta, ale ma pewien zmysł artystyczny. Może milczeć, ale nie powie żadnego głupstwa. A przytem ładna jest w kolorze. To byłby zajmujący portret do zrobienia — dodał przymykając oczy, jakgdyby ją widział pozującą.

Ponieważ miałem poglądy wręcz przeciwne tym, które Ski wyrażał z takim bogactwem odcieni, ograniczyłem się do nadmienienia, że margrabina jest siostrą wybitnego inżyniera, pana Legrandin.

— Hehe, no i widzi pan, będzie pan przedstawiony ładnej kobiecie — rzekł do mnie Brichot; a nigdy nie wiadomo, co z tego może wyniknąć. Kleopatra nie była nawet wielką damą, to była mała kobietka, niepoczytalna i groźna mała kobietka w stylu naszego Meilhaca, a widzi pan, co z tego wynikło nietylko dla tego dudka Antonjusza, ale dla całej starożytności.

— Byłem już przedstawiony pani de Cambremer — odparłem.

— Och, w takim razie znajdzie się pan w swoim kółku.

— Tem bardziej się cieszę na to spotkanie — odparłem — że pani de Cambremer obiecała mi dziełko dawnego proboszcza z Combray, traktujące o nazwach miejscowości w tych stronach, i będę mógł jej przypomnieć obietnicę. Bardzo mnie interesuje ten ksiądz, a także etymologje.

— Niech pan zanadto nie polega na tych, które on podaje — odparł Brichot. Dziełko, które znajduje się w la Raspeliere i które przeglądałem potrosze dla zabawy, niewiele budzi we mnie zaufania, roi się od błędów. Dam panu przykład. Słowo *Bricq* wchodzi w formację mnóstwa nazw miejscowości w tych stronach. Zaczny ksiądz wpadł na dosyć dziki pomysł, że ono pochodzi od *Briga*, wyżyna, miejsce warowne. Widzi je już u starodawnych ludów celtyckich, u Latobrigów, Nemetobrigów; doszukuje się go zgoła w nazwiskach takich jak Briand, Brion, etc... Aby wrócić do miejscowości, którą mam przyjemność mijać w tej chwili wraz z panem, *Bricquebose* znaczyłoby laszek na wzgórzu, *Bricqueville* osadę na wzgórzu, *Bricquebec*, gdzie się zatrzymamy na chwilę przed Maineville, wyżynę w pobliżu strumienia. Otóż to wcale nie jest tak, z tej przyczyny że *bricq* to jest stare słowo normandzkie, oznaczające poprostu most. To samo słowo *fleur*, które protegowany pani de Cambremer łączy z nieskończonym trudem to ze skandynawskimi *floi*, *flo*, to z irlandzkim *ae*, *aer*, jest przeciwnie, bez żadnej wątpliwości, duńskim *fiordem* i znaczy port. Tak samo przezaczny ksiądz sądzi, że stacja Saint-Martin-le-Vêtu, sąsiadująca z la Raspeliere, znaczy święty Marcin stary (*vetus*). To pewna że słowo *vieux* odegrało wielką rolę w toponymji tej okolicy. *Vieux* pochodzi naogół od *vadum* i oznacza bród, jak w miejscu zwanem *Les Vieux*. To jest to, co Anglicy nazywali *ford* (Oxford, Hereford). Ale w danym wypadku *vieux* nie pochodzi od *vetus*, ale od *vastatus*, miejsce ogołocone, nagie. Ma pan niedaleko stąd Sottevast, czyli *vast* Setolda, Brillevast czyli *vast* Berolda. Jestem tem pewniejszy omyłki proboszcza, ile że Saint-Martin-Le-Vieux nazywało się niegdyś Saint-Martin-du-Gast a nawet Saint-Martin-de-Terregate. Otóż *v* i *g* w tych słowach, to jest ta sama litera. Mówi się *déuaster* — niszczyć — ale także *gacher*. *Jâchères* (ugór) i *gatine* (od hochdeutsch: *wastinna*) mają to samo znaczenie: za tem

Terregate, to jest *terra vasta*. Co do Saint-Mars, niegdyś (uczciwszy uszy) Saint-Merd, to jest *Sanctus Medardus* który jest kolejno Saint-Médard, Saint-Mard, Saint-Marc, Cirq-Mars, a nawet zgoła Dammas. Nie trzeba zresztą zapominać, że bardzo blisko stąd, miejscowości noszące to samo imię Marsa stwierdzają poprostu pochodzenie pogańskie (bóg Mars), które pozostało żywe w tej okolicy, ale którego ów świątobliwy człowiek wzbrania się uznać. Wyniosłości poświęcone bogom są specjalnie bardzo liczne, jak góra Jowisza (Jeumont). Proboszcz nie chce tego widzieć; w zamian za to, wszędzie gdzie chrystianizm zostawił ślady, przeocza je również. Dotarł w swoich wyprawach do *Loc-tudy*: nazwa barbarzyńska (powiada), podczas gdy to jest *Locus sancti Tudenii*; toż samo w Sammarcoles nie odgadł *Sanctus Martialis*. Pański proboszcz — ciągnął Brichot, widząc że mnie zajął — wyprowadza słowa na *hon, home, holm*, od *holi* (hullus), pagórek, (*colline*), podczas gdy one pochodzą od normandzkiego *holm*, wyspa, które pan odnajdzie łatwo w *Stockholm*, a które w całej tej okolicy jest tak rozpowszechnione: la Houleme, Engohomme, Tahoume, Robehomme, Néhomme, Quettehon, etc.

Te nazwy przypomniały mi dzień, w którym Albertyna chciała jechać do Amfreville-la-Bigot (od nazwiska dwóch kolejnych dziedziców, objaśnił mnie Brichot), poczem, jak mi proponowała, mieliśmy zjeść obiad w Robehomme. Co się tyczy Montmartin, mieliśmy tamtędy przejeżdżać za chwilę.

— Czy Néhomme — spytałem — nie leży blisko Carquehuit i Clitourps?

— Oczywiście; Néhomme to jest *holm*, wyspa lub półwysp sławnego wicehrabiego Nigela, którego nazwisko przetrwało także w *Néville*. Carquethuit i Clitourps, które pan wspomniął, są dla protegowanego pani de Cambremer okazją do nowych błędów. Bez wątpienia, on rozumie, że *Carque* to kościół, niemieckie *Kirche*. Zna pan Querqueville, nie mówiąc o Dunkerque. Bo lepiej byłoby w takim razie zatrzymać się przy tem sławnem słowie *Dun*, które dla Celtów oznaczało wyżynę. I to odnajdzie pan po całej Francji. Pańskiego księdza urzekło *Duneville*, powtarzające się w departamencie Eureet-Loire; znalazłby Châteaudun, Dun-le-Roi w departamencie Cher, Duneau w Sarthe, Dun w Ariège, Dune-les-Places w Nièvre, etc, etc. To *Dun* nasuwa mu ciekawy błąd w tem co dotyczy Douville, gdzie zaraz wysiadziemy i gdzie nas czekają wygodne pojazdy pani Verdurin. Douville, po łacinie *don villa* — powiada ksiądz. W istocie, Douville znajduje się u stóp znacznych wyniosłości. Pański proboszcz, który wie wszystko, czuje jednak że strzelił baka. Przeczytał w istocie w jakimś starym rejestrze beneficjów: *Domvilla*. Zatem cofa się; Douville, wedle niego, to jest lenno opata — *Domino Abbati* z Mont-Saint-Michel. Ucieszył się z tego, co jest dosyć dziwne, kiedy się pomyśli o skandalicznym życiu, jakie od czasu *Kapitularka* Sainte-Claire prowadzono w Mont-Saint-Michel i byłoby nie bardziej dziwne, niż widzieć króla duńskiego suzerenem całego tego wybrzeża, gdzie o wiele gorliwiej szerzył kult Odina niż kult Chrystusa. Z drugiej strony, przypuszczenie że *n* zmieniło się w *m* nie razi mnie i jest mniejszą deformacją niż bardzo poprawny Lyon, który również pochodzi od *Dun* (Lugdunum). Ale koniec końców, ksiądz się myli. Douville nigdy nie zwało się Douville, ale Denville, *Eudonis Villa*, wioska Eudes. Douville nazywało się niegdyś Escacleiff, schody zbocza. Około r. 1223 Eudes Piwniczny, pan na Escacleiff, wybrał się do Ziemi Świętej; w chwili wyjazdu przekazał kościół opactwu Blanchelande. Przez wzajemną kurtuazję, wioska przybrała jego imię, stąd obecnie *Douville*. Ale dodam, że toponymia, w której jestem zresztą bardzo ciemny, nie jest wiedzą ścisłą; gdybyśmy nie mieli tego historycznego świadectwa, Douville mogłoby bardzo dobrze pochodzić od wody: *Ouille*, to znaczy *Les Eaux*. Formy na *ai* (Aigues-Mortes) od *aqua*, woda, zmieniają się bardzo często na *eu* albo na *ou*. Otóż w pobliżu Douville były słynne wody Carquebut. Wyobraża pan sobie, jak proboszcz był uszczęśliwiony, że znalazł tam ślad chrześcijański, mimo że ten kraj musiał być dość oporny dla ewangelji, trzeba było aby się nad nim męczyli kolejno święty Ursal, święty Gofroi, święty Barsanore, święty Wawrzyniec z Bredent, który w końcu „puścił passę” na rzecz mnichów z Beaubec. Ale co do *tuit*, autor się myli, widzi w tem formę *toft*, rudera, jak w Criquetot, Ectot, Yvetot, podczas gdy to jest *thveit*, karczowisko, jak w Braquetuit, Thuit, Regnetuit, etc. Tak samo, o ile poznaje w Clitourps normandzkie *thorp*, co znaczy wioskę, chce aby pierwsza część nazwy pochodziła od *clivus*, spadek, podczas gdy pochodzi od *cliff*, skała. Ale najgrubsze baki proboszcza wynikają nietylę z jego niewiedzy, ile z jego uprze-

dzeń. Choćby się było najlepszym Francuzem, czyż można przeczyć oczywistości i brać Saint-Laurent en Bray za tak znanego księdza rzymskiego, wówczas gdy chodzi o Saint-Lawrence Toot, arcybiskupa Dublina. Ale bardziej jeszcze od uczuć patriotycznych, uprzedzenia religijne pańskiego przyjaciela popychają go do grubych błędów. I tak, niedaleko od naszych gospodarzy z la Raspelière masz pan dwa Montmartin: Montmartin-sur-Mer i Montmartin-en-Graignes. Co do Graignes, zacny ksiądz nie popełnił błędu; zgadł że Graignes, po łacinie *Grania*, po grecku *Krene*, znaczy stawy, bagna; ileż można by zacytować Cresmays, Croen, Gremeville, Lengronne? Ale co do Montmartin, pański rzekomy lingwista uparł się, że to chodzi o parafie poświęcone świętemu Marcinowi. Opiera się na tem, że ów święty jest ich patronem; ale nie zdaje sobie sprawy, że wzięto go za patrona dopiero *ex post*; lub raczej zaślepiony jest nienawiścią do pogaństwa; nie chce widzieć, że gdyby chodziło o świętego Marcina, mówionoby Mont-Saint-Martin, jak się mówi Mont-Saint-Michel; podczas gdy nazwa Montmartin odnosi się w sposób o wiele bardziej pogański — do świątyni poświęconych bogowi Marsowi, świątyni których nie posiadamy to prawda innych śladów, ale którym ich niezaprzeczone obecność w sąsiedztwie rozległych obozów rzymskich dawałaby wszelkie prawdopodobieństwo nawet bez nazwy Montmartin, rozstrzygającej wątpliwość. Widzi pan, że ta książeczka, którą pan znajdzie w la Raspelière, nie należy do najlepszych.

Nadmieniłem, że jednak proboszcz z Combray często podawał nam ciekawe etymologie.

— Był może bardziej na swoim gruncie, podróż do Normandji wykoleiła go.

— A nie wyleczyła — dodałem — bo przybył tu z neurastenią, a wrócił z reumatyzmem.

— A! więc to wina neurastenji! Popadł z neurastenji w filologię, jakby powiedział mój dobry mistrz Pocquelin, zwany Molierem. Powiedz pan, profesorze Cottard, czy pan sądzi, że neurastenja może mieć ujemny wpływ na filologię, filologia kojący wpływ na neurastenję, a wyleczenie z neurastenji czy może prowadzić do reumatyzmu?

— Najzupełniej, reumatyzm i neurastenja to są dwie zastępcze formy neuroartrytyzmu. Można przejść z jednego w drugie w drodze metastazy.

— Nasz znakomity profesor — rzekł Brichot — wyraża się, niech mi Bóg odpuści, we francuszczyźnie równie zaprawnej łaciną i greką, jakby to mógł uczynić sam molierowski pamięci pan Czyściel! Przybywaj, wujaszku, chcę powiedzieć nasz Sarceyu narodowy...

Ale nie mógł dokończyć. Profesor podskoczył i wydał ryk:

— Do stu kaduków — wykrzyknął, przechodząc wreszcie do artykułowanej mowy — przepuściliśmy Maineville (he! he!) a nawet Renneville.

Spostrzegł w tej chwili, że pociąg zatrzymuje się w Saint-Mars-le-Vieux, gdzie prawie wszyscy pasażerowie wysiadali.

— Nie mógł przecież przejechać stacji. Musieliśmy nie zauważyć, rozmawiając o Cambrerach.

— Słuchaj mnie, Ski, zaczekaj pan, powiem panu „dobrą nowinę”; — rzekł Cottard, który upodobał sobie to wyrażenie, używane w niektórych kołach lekarskich. — Księżna musi być w pociągu, nie zauważyła nas i wsiadła do innego wagonu. Chodźmy jej szukać. Byle to wszystko nie sprowadziło jakiejś kalaputryny.

I profesor pociągnął nas na poszukiwanie księżnej Szerbatow. Znalazł ją w kącie pustego wagonu, czytając „Revue des Deux Mondes”. Księżna przyjęła od wielu lat, z obawy afrontów, zwyczaj siedzenia na swoim miejscu, trzymania się w kącie — tak w życiu jak w pociągu — i czekania z podaniem ręki aż ją ktoś pierwszy przywita. Czytała ciągle, kiedy wierni weszli do wagonu. Poznałem ją natychmiast: ta kobieta, która straciła może dawną sytuację, ale która była bądź co bądź osobą wysokiego rodu, a w każdym razie perłą salonu Verdurinów, była damą, którą w tym samym pociągu wzięłem przedwczoraj za gospodynię domu publicznego. Jej tak niepewna osobowość stała mi się natychmiast zrozumiała, kiedy usłyszałem nazwisko, tak jak, namęczony się nad zagadką, dowiadujemy się wreszcie słowa, które czyni jasnym przedtem ciemne. Tem słowem jest nazwisko. Dowiedzieć się na trzeci dzień, kim była osoba, z którą się jechało w pociągu, nie mogąc ustalić jej światowej rangi, stanowi niespodziankę o wiele zabawniejszą, niż wyczytać w świeżym numerze tygodnika rozwiązanie zagadki z poprzedniego nume-

ru. Wielkie restauracje, kasyna, kolejki lokalne, są istnem muzeum tych towarzyskich zagadek.

— Księżno, nie spostrzeżliśmy księżnej w Maineville! Pozwoli księżna, abyśmy zajęli miejsce w tym przedziale?

— Ależ jakże! — rzekła księżna, która słysząc że Cottard mówi do niej, podniosła dopiero wzrok z nad Revue. Oczy jej, podobnie jak oczy pana de Charlus — mimo iż łagodniejsze od nich — widziały bardzo dobrze osoby, których obecności księżna zdawała się nie spostrzegać. Cottard, uznawszy fakt że jestem zaproszony razem z Cambremerami za wystarczającą rekomendację, zdecydował się po chwili przedstawić mnie księżnej; ukloniła się bardzo grzecznie, ale tak jakby pierwszy raz słyszała moje nazwisko. „Kroć djasków — krzyknął doktor — żona zapomniała zmienić mi guzików przy białej kamizelce. Och, te kobiety, nie myśli to nigdy o niczem. Nie żęń się nigdy, młody człowieku!” — rzekł do mnie. Że zaś był to jeden z dowcipów, które uważał za właściwe stosować, kiedy się nie miało nic do powiedzenia, doktor zerknął na księżnę i na innych wiernych, którzy, ponieważ był profesorem i Akademikiem, uśmiechnęli się podziwiając jego wesołość i naturalność. Księżna poinformowała nas, że młody skrzypek odnalazł się. Leżał w łóżku poprzedniego dnia z powodu migreny, ale przybędzie dziś wieczór i przyprowadzi starego przyjaciela rodziny, którego spotkał w Doncieres. Księżna dowiedziała się o tem od pani Verdurin, u której była rano na śniadaniu, jak nam to oznajmiła pospiesznym głosem, w którym spółgłoska *r* z rosyjska łagodnie szemrała w jej gardzieli, jakby to było nie *r* ale *l*.

— A, jadła dziś z nią pani śniadanie — rzekł Cottard do księżnej, ale patrząc na mnie, bo słowa jego miały zwrócić uwagę, jak księżna jest blisko z „pryncypalką”. — Pani jest naprawdę wierna!

— Tak, lubię to małe kółko inteligentne, miłe, nie złośliwe, prłoste, bez snobizmu i trłyskające dowcipem.

— Tam do licha, musiałem zgubić bilet, muszę go znaleźć — wykrzyknął Cottard, nie zbyt zresztą zaniepokojony. Wiedział, że w Douville, gdzie miały na nas czekać dwa landa, urzędnik przepuści go bez biletu i ukloni mu się tem niżej, aby wytłumaczyć tym uklonem swoją pobłażliwość, świadczącą iż poznał w panu Cottard stałego gościa Verdurinów. — Nie wsadzą mnie do aresztu — zakonkludował Cottard.

— Mówił pan — spytałem Brichota — że niedaleko stąd były słynne wody: skąd to wiadomo?

— Nazwa sąsiedniej stacji dowodzi tego, obok wielu innych świadectw. Zowie się Fervaches.

— Nie rłozumiem, co on chce powiedzieć — zaszemrała księżna tonem takim, jakby mi mówiła przymilnie: „Nudzi nas, prawda?”

— Ależ księżno, Fervaches znaczy gorące wody, *Fervidae aquae*. — Ale, *à propos* młodego skrzypka — ciągnął Brichot — zapomniałem panu, profesorze, oznajmić wielką nowinę. Czy pan wie, że nasz biedny przyjaciel Dechambre, dawny ulubiony pianista pani Verdurin, umarł. To okropne.

— Jeszcze był młody — odparł Cottard — ale musiał mieć jakiś mankament w wątrobie, musiał mieć jakieś świństwo w tym interesie, fatalną fizys miał od jakiegoś czasu.

— Ależ on nie był taki młody — rzekł Brichot; — w czasie kiedy Elstir i Swann bywali u pani Verdurin, Dechambre był już paryską sławą i rzecz zadziwiająca, nie przywiózł swego sukcesu z zagranicy. Tak, ten Dechambre nie był wyznawcą Ewangelji wedle świętego Barnuma.

— Myli pan; nie mógł bywać w owym czasie u pani Verdurin, był jeszcze na mamkach.

— Ależ, o ile mnie moja stara pamięć nie zawodzi, zdaje mi się, że Dechambre grywał sonatę Vinteuila dla Swanna, wówczas, gdy ten klubowiec, wycofawszy się z arystokracji, nie przeczuwał iż będzie pewnego dnia zmieszczanionym księciem-małżonkiem naszej narodowej Odety.

— To niemożliwe, sonatę Vinteuila grano u pani Verdurin w długi czas po zniknięciu stamtąd Swanna — rzekł doktor (doktor był jak wielu ludzi, którzy pracując dużo i sądząc iż zachowują w pamięci wiele rzeczy rzekomo użytecznych, zapominają wielu innych, co

im pozwala zachwycać się pamięcią ludzi nie mających nic do roboty). — Ujmę czyni pan swojej wiedzy, a nie jest pan przecie zramolizowany — dodał z uśmiechem doktor.

Brichot uznał swój błąd. Pociąg zatrzymał się. Była to la Sogne. Ta nazwa intrygowała mnie. „Jak jabym lubił wiedzieć, co znaczą wszystkie te nazwy — rzekłem do Cottarda. — Niechże się pan spyta pana Brichota, on może wie. — Ależ la Sogne, to Cicogne, *Siconia*, — odparł Brichot, budząc we mnie szaloną ochotę pytania o inne nazwy.

Zapominając że lubi swój „kącik”, pani Szerbatow ofiarowała się uprzejmie zamienić ze mną miejsce, abym mógł lepiej rozmawiać z Brichotem, którego chciałem spytać o inne intrygujące mnie etymologie. Księżna zapewniła, że jej jest wszystko jedno, jechać przodem, tyłem, stojąc, etc... Trzymała się w pozycji obronnej, dopóki nie знаła intencji nowoprzybyłych; ale kiedy zrozumiała że są przyjazne, starała się na wszelki sposób zrobić każdemu przyjemność. Wkońcu pociąg zatrzymał się na stacji Doville-Féterne, która, położona mniej więcej w równej odległości od Féterne i od Doville, nosiła z powodu tej właściwości obie nazwy. „A, do licha — wykrzyknął doktor Cottard, kiedyśmy się znaleźli w przejściu gdzie odbierano bilety, udając że dopiero teraz się spostrzegł — nie mogę odnaleźć biletu, musiałem go gdzieś zgubić”. Ale funkcjonariusz, zdejmując kaszkiet, upewnił że to nic i uśmiechnął się z szacunkiem. Księżna (dając wyjaśnienia stangretowi, tak jakby to czyniła jakaś dama dworu pani Verdurin, bo sama pani Verdurin z powodu Cambremerów nie mogła przybyć na stację, co zresztą czyniła rzadko) zabrała mnie, zarówno jak Brichota, do jednego z powozów. W drugi wsiedli doktor, Saniette i Ski.

Stangret, mimo że bardzo młody, był „starszym stangretem” Verdurinów, jedynym prawdziwym ich stangretem z urzędu; woził ich zawsze w ciągu dnia na spacer, bo znał wszystkie drogi, a wieczór przywoził i odwoził „wiernych”. Towarzyszyli mu donajęci stangreci (których dobierał w razie potrzeby). Był to dzielny chłopiec, trzeźwy i zręczny, ale jego smutna twarz i skupione spojrzenie świadczyły o skłonności do irytacji a nawet do melancholji. Ale w tej chwili był bardzo szczęśliwy, bo udało mu się ulokować u Verdurinów brata, również poczciwego chłopca.

Najpierw przebyliśmy Doville. Porosłe trawą pagórki schodziły do morza dużemi zwalami, którym nasycenie wilgocią i solą daje gęstość, miękkość i szczególną żywość koloru. Wysepki i wycięcia Rivebelle, o wiele bliższe tutaj niż w Balbec, dawały tej partii morza nowy dla mnie wygląd plastycznej mapy. Minęliśmy domki, zajęte prawie wszystkie przez malarzy, skróciliśmy w dróżkę, gdzie pasące się wolno krowy, równie przestraszone jak nasze konie, zatarasowały nam na dziesięć minut przejazd, poczem skróciliśmy w drogę wśród skał.

— Ale na bogów nieśmiertelnych — spytał nagle Brichot — wróćmy do biednego Dechambre; czy sądzicie, że pani Verdurin *wie?* czy *powiedziano* jej?

Pani Verdurin, jak prawie wszyscy ludzie światowi, właśnie dlatego że potrzebowała towarzystwa drugich, nie myślała już o nich ani dnia z chwilą gdy, wyzionąwszy ducha, nie mogli już przychodzić na środy ani na soboty ani na obiadek w małym kółku. I nie można było powiedzieć o „paczce”, będącej w tem obrazem wszystkich salonów, że składa ją więcej umarłych niż żywych, ile że, z chwilą śmierci, było tak jakby się nigdy nie istniało. Ale, aby uniknąć obowiązkowej nudy mówienia o nieboszczykach, a nawet może — rzecz niemożliwa dla pryncypalki — przerwania obiadów z powodu żałoby, p. Verdurin udawał, iż śmierć wiernych tak wzrusza jego żonę, że przez wzgląd na jej zdrowie nie trzeba o tem mówić. Zresztą, może właśnie dlatego że śmierć drugich zdawała mu się tak definitywnym i pospolitym wypadkiem, myśl o własnej śmierci przejmowała go grozą, unikał też wszelkich refleksyj w tej mierze. Brichot, dobry człowiek i ściśle wierzący w to co Verdurin mówił o żonie, bał się dla przyjaciółki tych bolesnych wzruszeń.

— Tak, *wie wszystko* od dziś rana — rzekła księżna — *nie można jej było ukryć*.

— Och, tysiąc gromów Zeusa — wykrzyknął Brichot — och, to musiał być straszliwy cios: przyjaciel od dwudziestu pięciu lat! Człowiek tak zrośnięty z naszą paczką!

— Oczywiście, oczywiście, cóż pan chce — rzekł Cottard. — To są okoliczności zawsze przykre; ale pani Verdurin to silna kobieta, to głowa w wyższym jeszcze stopniu niż serce.

— Nie zupełnie jestem zdania doktorla — rzekła księżna, która przy swojej pospiesznej dykcji i niedbalej wymowie, robiła wrażenie zarazem dąsu i filuterności. — Pani Ver-

durin pod pozorami chłodu kryje skarby uczucia. Jej mąż mówił mi, że wiele miał trudu z tem, aby jej nie dać jechać do Paryża na pogrzeb; musiał skłamać, że wszystko odbywa się na wsi.

— A do djaska, chciała jechać do Paryża! Ależ ja wiem, ta kobieta ma serce, może za wiele serca. Biedny Dechambre! Toż nie dalej niż dwa miesiące temu, pani Verdurin mówiła: „Przy nim Plante, Paderewski, nawet Risler idą w ką”. Och, ten mógł powiedzieć, słuszniej niż to kabotyniszczyste Neron, który potrafił zbujać nawet naukę niemiecką: *Qualis artifex pereo!* Ale przynajmniej Dechambre musiał umrzeć pełniąc swoje kapłaństwo, *in odore sanctitatis* beethoveniańskiej, i mężnie, nie wątpię o tem; po sprawiedliwości, ten apostoł niemieckiej muzyki wart był umrzeć celebrując mszę *D dur*. Ale to był pozatem człowiek zdolny powitać kostuchę trylem, bo ten genialny wirtuoz odnajdywał czasami w swojej rasie sparyżanizowanego szampańczyka jurność i elegancję francuskiego gwardzisty.

Z wysokości na któreśmy się znaleźli, morze nie wydawało się już, jak z Balbec, podobne do falistych gór, ale przeciwnie, wyglądało tak, jak ze szczytu góry lub z okrążającej ją drogi wygląda siny lodowiec lub olśniewająca równina, położone niżej. Deseń wirów zdawał się znieruchomiony tak jakby na zawsze wykreślił swoje koncentryczne koła; nawet emalja morza zmieniającego nieznacznie kolor przybierała w głębi zatoki, tam gdzie było ujście rzeki, sinawą białość mleka, w którym małe czarne łodzie, nie posuwając się naprzód, zdawały się grzęznąć jak muchy. Nie wyobrażałem sobie, aby mógł skądś być rozleglejszy widok. Ale za każdym zakrętem przybywała nowa partja, a kiedyśmy się znaleźli u rogatki Denville, ostroga skały, dotąd zasłaniająca pół zatoki, cofnęła się, i ujrzałem nagle po lewej, część zatoki równie głęboką jak ta którą miałem dotąd przed sobą, ale zmieniającą jej proporcje i zdławiającą piękno. Powietrze na tej wyżynie nabierało upajającej ostrości i czystości. Kochałem w tej chwili Verdurinów; to że wysłali po nas powóz, zdawało mi się aktem rozczulającej dobroci. Byłbym uściskał księżnę. Oświadczyłem jej, że nie widziałem nic równie pięknego. Wyznała, że również kocha ten krajobraz bardziej niż wszelki inny. Ale ja czułem, że dla niej, jak dla Verdurinów, główną sprawą było nie podziwiać ten widok oczami turysty, ale organizować smaczne obiady, gościć wybrane towarzystwo, pisać listy, czytać, słowem żyć tam, raczej biernie kąpiąc się w tem pięknie, niż czyniąc zeń przedmiot swoich zainteresowań.

Minąwszy rogatkę, powóz zatrzymał się chwilę na takiej wysokości ponad morzem, że, niby ze szczytu, widok sienie otchłani przyprawiał niemal o zawrót głowy. Spuściłem szybę; wyraźny plusk każdej łamiącej się fali miał w swojej słodyczy i czystości coś wzniosłego. Czyż nie był jakgdyby wskaźnikiem skali, która, obalając nasze zwykłe wrażenia, ukazuje nam, że, nawspak przyzwyczajeniom naszej myśli, odległości prostopadłe mogą się kojarzyć z poziomymi; i że, zbliżając niejako do nas niebo, odległości te nie są wielkie; są nawet mniejsze dla dźwięku który je przebywa, jak plusk tych małych fal, bo środowisko które ma przebyć jest czystsze. I w istocie, wystarczyło się cofnąć od rogatki, bodaj o dwa metry wstecz, aby już nie rozróżniać tego plusku fal, któremu dwieście metrów pionowego urwiska nie odjęło delikatnej, drobniawej i łagodnej wyrazistości. Powiedziałem sobie, że babka odczułaby tutaj ów podziw, jaki w niej budziły wszystkie przejawy natury lub sztuki, w prostocie swojej wyrażające wielkość. Egzaltacja moja sięgała szczytu i ogarniała wszystko co mnie otaczało. Rozczulało mnie, że Verdurinowie posłali po nas na stację. Powiedziałem to księżnej, która najwidoczniej uznała że mocno przeceniam zwykłą uprzejmość. Wiem (zwierzyła się potem Cottardowi), że się jej wydał bardzo egzaltowany; Cottard odrzekł, że jestem zbyt pobudliwy i że potrzebowalibyśmy środków uspokajających i robótek na drutach. Zwracałem uwagę księżnej na każde drzewo, na każdy domek tonący w różach, kazałem jej wszystko podziwiać, byłbym ją samą rad przycisnął do serca. Rzekła, że widzi we mnie zmysł malarski, że powinienbym rysować; dziwiła się, że mi jeszcze tego nie mówiono. I przyznała, że w istocie ta okolica jest malownicza.

Przebyliśmy wioskę Englesqueville, uczeponą skal. — *Engleberti Villa*, — objaśnił Brichot. — Ale czy księżna jest pewna, że dzisiejszy obiad odbędzie się mimo śmierci Dechambre'a? — dodał, nie zastanawiając się, że obecność powozów na stacji stanowiła już odpowiedź. — Tak, odparła księżna, panu Verldurlin specjalnie zależało na tem żeby nie odkładano obiadu; nie chce dać żonie „myśleć”. Przytem, po tylu latach, w ciągu

których nigdy nie przepuściła żadnej środy, ta zmiana przyzwyczajęń mogłaby ją wzruszyć. Jest bardzo nerwowa w ostatnich czasach. Verdurin jest szczególnie rad że pan przyjeżdża dzisiaj, bo wie że to będzie wielka rozrywka dla niej — rzekła księżna, zapominając że niby to nie słyszała o mnie. — Sądzę, że dobrze by pan zrobił, nie *wspominając o niczem* przy pani Verdurin — dodała zwracając się do Brichota.

— Och, dobrze księżna robi, że mi to mówi — odparł naiwnie Brichot. — Uprzedzę Cottarda.

Powóz zatrzymał się na chwilę. Ruszył dalej, ale turkot kół ustał. Wjechaliśmy w aleję la Raspelière, gdzie pan Verdurin czekał nas przed gankiem. — Dobrzem zrobił, że włożył smoking — rzekł stwierdzając z przyjemnością że wierni są w smokingach skoro mam do czynienia z takimi elegantami. — A kiedy ja przeprosiłem, że jestem w marynarce, rzekł: — Ale cóż znowu, to znakomicie. Jesteśmy przecie między kolegami. Pożyczylbym panu chętnie jakiegos mojego smokinga, ale nie nadałby się panu. — Pełne wzruszenia *shake hand*, jakim, wchodząc do sieni, Brichot obdarzył pryncypała w charakterze kondolencji z powodu śmierci pianisty, nie wywołało żadnego komentarza. Wyraziłem panu Verdurin zachwyt nad tą miejscowością: — A, ślicznie, ale pan jeszcze nic nie widział, pokazemy to panu. Czemu by pan nie miał przyjechać tu na kilka tygodni, powietrze jest wyborne. — Brichot bał się, że jego uścisk dłoni nie został zrozumiany. — I co! ten biedny Dechambre! rzekł, ale półgłosem, z obawy aby pani Verdurin nie było gdzie w pobliżu. — To okropne, odparł rzeźko p. Verdurin. — Tak młodo... — podjął Brichot. Zniecierpliwiony próżną zwłoką, p. Verdurin odparł żywo, jakgdyby z jękiem, ale nie bólu lecz irytacji: — No więc tak, ale cóż pan chce, nic na to nie poradzimy, nasze słowa go nie wskrzeszą, prawda? — I już, wraz z jowialnością, wracała mu pogoda: — No, kochany Brichot, niech pan złoży prędko swoje rzeczy. Mamy *bouillabaisse*, która nie lubi czekać. Tylko na imię nieba, niechże pan nie wspomina o Dechambrze przed żoną. Pan wie, ona głęboko kryje to co czuje, ale to fakt, że jest przytem niebezpiecznie wrażliwa. Doprawdy, przysięgam panu, kiedy się dowiedziała że Dechambre umarł, omal się nie rozplakała — rzekł Verdurin z głęboką ironją. Słyszac go, możnaby sądzić że trzeba być bez mała obłąkanym, aby żałować przyjaciela którego się widywało od trzydziestu lat; a z drugiej strony odczuwało się, że w tem wiekuistem współżyciu Verdurin jednak zawsze sądził żonę, a często go drażniła. — Jeżeli pan jej o tem wspomni, gotowa się znów rozchorować. Taby było fatalne, w trzy tygodnie po jej bronchicie. W takich razach, to ja jestem pielęgniarką. Może pan zgadnąć, że i mnie nie uszło na sucho. Bolej pan w sercu nad losem Dechambre'a, ile się panu podoba. Myśl o nim, ale nie mów. Kochałem bardzo Dechambre'a, ale nie może mi pan brać za złe, że jeszcze więcej kocham żonę. O, idzie Cottard, może się go pan spytać.

I w istocie Verdurin wiedział, że lekarz domowy umie oddawać drobne usługi, jak naprzykład przepisać że nie trzeba się martwić.

Posłuszny Cottard powiedział pryncypałce: — Niech się pani tak przejmuj, a jutro zawali *mi* pani 39 stopni gorączki, — tak jakby powiedział kucharcze: „Jutro zrobisz mi potrawkę cielęcą”. Medycyna, nie mogąc uleczyć, bawi się w zmienianie sensu czasowników i zaimków.

Verdurin z zadowoleniem ujrzał, że Saniette, mimo szykan doznanych dwa dni wprzódy, nie skrewił. W istocie bezczynność wszczęła pani Verdurin i jej mężowi okrutne instynkty, którym wielkie okazje — zbyt rzadkie — już nie wystarczały. Udało się nigdyś poróżnić Odetę ze Swannem, Brichota z kochanką, powtórzyłyby się to z innymi, rozumie się samo przez się. Ale taka sposobność nie nastęczała się codzień. Saniette natomiast, dzięki swojemu przeczuleniu, dzięki swojej łatwo płochliwej nieśmiałości, był dla nich codzienną ofiarą. Toteż, z obawy aby im nie uciekł, zapraszano go zawsze uprzejmie i dobrodusznie, słowami takimi, jakie mają w liceum „weterani”, w pułku „stara wiara” dla rekruta, którego chce się zwabić w pułapkę jedynie poto aby się nad nim znęcać i robić mu dotkliwe kawały, wówczas gdy się już nie będzie mógł wymknąć.

— Zwłaszcza — przypomniał Cottard Brichotowi, który nie słyszał słów gospodarza — sza przed panią Verdurin. — Bądź bez obawy, o Cottardzie, masz do czynienia z mędrce, jak powiada Teokryt. Zresztą Verdurin ma rację; na co zdadzą się nasze skargi — dodał profesor, ponieważ, zdolny przyswoić sobie wyrażenia i pojęcia, ale pozbawiony subtelności, podziwiał w słowach pana Verdurin stoiczny hart. To fakt, że zeszedł ze

świata wielki talent. — Jakto, wy jeszcze o tym Dechambre! — rzekł Verdurin, który nas wyprzedził i widząc że nie idziemy za nim, wrócił się. Słuchaj pan — rzekł do Brichota — nie trzeba w niczem przesadzać. To że umarł, to nie jest powód aby zeń robić genjusza, którym nie był. Grał dobrze, zgoda, był zwłaszcza tutaj w dobrej ramie; przeszczepiony w inne otoczenie — nie istniał. Żona zapaliła się do niego i stworzyła mu reputację. Wiecie, jaka ona jest! Powiem więcej: w interesie własnej reputacji, on umarł w punkcie, *à point*, jak będą, mam nadzieję, *à point* racuszki caeńskie, usmażone wedle niezrównanych recept Pampilles'a (chyba, że zamysłacie, przy swoich jeremiadach, tkwić na wieki w tej sieni, otwartej na wszystkie wiatry). Nie chcecie przecie, żebyśmy wszyscy zdechli dlatego że umarł Dechambre, który od roku, mając dać koncert, musiał ćwiczyć gamy aby odzyskać chwilowo, bardzo chwilowo, giętkość palców. Zresztą usłyszycie dziś wieczór, lub przynajmniej zobaczycie — bo ten hultaj dość często zdradza po obiedzie sztukę dla partyjki pokera — kogoś, kto jest grubo większym artystą niż Dechambre: chłopczyna, którego żona odkryła (jak odkryła Dechambre'a i Paderewskiego, i innych): Morel. Jeszcze nie zjawiał się, ladaco. Będę musiał po niego posłać powóz na ostatni pociąg. Przyjeżdża ze starym przyjacielem rodziny, którego odnalazł i który go nudzi jak djabli, ale inaczej musiałby — aby nie znosić później zrzędzeń ojca — tkwić w Doncieres i dotrzymywać mu towarzystwa. Nazywa się baron de Charlus.

Weszli wierni. Verdurin, zostawszy ze mną z tyłu podczas gdym zdejmował palto, wziął mnie żartobliwie pod ramię, jak robi, idąc do obiadu, gospodarz domu z gościem któremu zbrakło pary. „Miał pan dobrą podróż? — Tak, p. Brichot mówił rzeczy, które mnie bardzo interesowały — rzekłem myśląc o etymologjach, a także dlatego, że słyszałem iż Verdurinowie bardzo admirują Brichota. — Dziwiłbym się, gdyby on pana czego nie nauczył; to człowiek tak chowający się w cień i tak mało mówiący o rzeczach które wie”. Ta pochwała nie wydała mi się zbyt trafna. „Przemily jest, rzekłem. — Uroczy, rozkoszny, bez cienia pedantyzmu, pefen polotu, lekki, żona ubóstwa go, ja też! — odparł Verdurin przesadnym tonem tak jakby recytował lekcję. Wówczas dopiero zrozumiałem, że to co mówił o Brichocie było ironiczne. I pomyślałem w duchu, czy Verdurin, od owych dawnych czasów o których słyszałem, nie wyzwolił się z pod kurateli żony.

Rzeźbiarz bardzo się zdziwił, że Verdurinowie godzą się przyjąć pana de Charlus. W faubourg Saint-Germain, gdzie p. de Charlus był tak znany, nigdy nie mówiono o jego obyczajach: większość nic o nich nie wiedziała, inni wątpili o nich, raczej tłumacząc je wybrykami egzaltowanych ale platonicznych przyjaźni, nieostrożnością; świadomsi taili starannie prawdę, wzruszając ramionami, kiedy jakaś niezyczliwa Gallardon zaryzykowała insynuację. Natomiast obyczaje te, znane ledwo paru najbliższym, były przeciwnie osławione zdala od sfery w której żył baron, jak owe strzały armatnie, słyszalne aż poza zasięgiem strefy ciszy. Zresztą w mieszczańskich i artystycznych kołach, gdzie baron uchodził za wcielenie zbroczenia, jego wspaniała sytuacja światowa, wysokie urodzenie, były zupełnie nieznanne; objaw podobny temu, który sprawia że w Rumunji nazwisko Ronsarda znane jest jako nazwisko magnata, natomiast jego poezja jest nieznaną. Co więcej, szlachectwo Ronsarda opiera się w Rumunji na pomyłce. Podobnie, jeżeli w świecie malarzy, aktorów, p. de Charlus miał tak złą reputację, wynikało to stąd, że go mylono z niejakim hrabią Leblois de Charlus, który nie był nawet żadnym jego krewnym (albo bardzo dalekim) i którego aresztowano — może przez pomyłkę — w głośniejszej obławie policyjnej. W rezultacie, wszystkie historie, które opowiadano o panu de Charlus, odnosiły się do owego fałszywego. Wielu zawodowców przysięgało, że mieli stosunki z panem de Charlus, i to w dobrej wierze, myśląc że fałszywy Charlus jest prawdziwy, fałszywy zaś podsyczał może, częścią przez snobizm, częścią przez hipokryzję zbrocieńca, ten zamęt, który prawdziwemu znanemu nam baronowi de Charlus długo przynosił szkodę. Później, kiedy sam baron de Charlus stoczył się niżej, alibi to stało mu się wygodne, bo i on mógł mówić: „To nie ja”. Obecnie w istocie nie był on tym, o którym mówiono. Wreszcie — co jeszcze pogłębiało fałszywość komentarzy prawdziwego faktu (skłonności barona) — był on swego czasu bliskim a zgoła niewinnym przyjacielem pewnego pisarza, który w świecie teatralnym miał, niewiedomo czemu, tę niezasłużoną reputację. Kiedy ich widziano razem na premierze, powiadano: „Aha!” tak jak wierzono, że księżnę Oriannę łączą występne stosunki z księżną Parmy; legenda niezniszczalna, bo rozprószyłaby ją jedynie styczność z temi dwiema damami, którą ludzie powtarzający ową plotkę mogli

osiągnąć tylko lornetując je w teatrze i spotwarzając przed sąsiadem. Z obyczajów pana de Charlus rzeźbiarz tem kategorycznie wnioskował, że towarzyska sytuacja barona musi być równie licha, ile że o rodzinie pana de Charlus, o jego tytule i nazwisku, nie miał żadnych wiadomości. Jak Cottard myślał, że wszyscy wiedzą, iż tytuł doktora medycyny jest niczem a tytuł *interna* czemś, tak ludzie światowi wyobrażają sobie mylnie, że każdy jest w tym samym stopniu co oni sami i ludzie z ich sfery świadom socjalnych walorów ich nazwiska.

Książę d'Agriente uchodził za „niebieskiego ptaka” w oczach portjera z klubu, któremu był winien dwadzieścia pięć ludwików; odyskiwał swoją wartość dopiero w faubourg Saint-Germain, gdzie miał trzy siostry diuszessy. Wielki pan, jeżeli komu imponuje, to nie ludziom skromnym, nie doceniającym jego „państwa”, ale ludziom świetnym, zdolnym ściśle oszacować jego pozycję. Baron miał zresztą jeszcze tego wieczora zauważyć, że „pryncypał” (Verdurin) ma o najznakomitszych rodach książęcych pojęcia dość mętne. Przekonany że Verdurinowie „wsypią się”, pozwalając do swego tak *select* salonu wprowadzić indywiduum o podejrzanej reputacji, rzeźbiarz uważał za potrzebne wziąć pryncypałkę na bok. — Myli się pan najzupełniej, zresztą ja nigdy nie wierzę w podobne rzeczy; a ostatecznie, gdyby to i była prawda, powiem panu, że to nie byłoby zbyt kompromitujące dla mnie! — odparła pani Verdurin, wściekła, bo Morel był głównym elementem jej śród, zależało jej tedy na tem, aby go nie zrazić. Co się tyczy Cottarda, nie mógł wyrazić swego zdania, bo udał się w tej chwili, jak oznajmił, „załatwić małe zlecenie” w „*buen retiro*”, a potem napisać w gabinecie pana Verdurin bardzo pilny list do pacjenta.

Pewien wielki wydawca z Paryża, zjawiwszy się z wizytą i myśląc że go zatrzymają, odjechał pośpiesznie wściekły, zrozumiałwszy że nie jest dość wytworny dla tej „paczki”. Był to człowiek wysoki i tęgi, silny brunet, pracowity i dość apodyktyczny. Robił wrażenie hebanowego noża do przecinania kartek.

Pani Verdurin, która, aby nas przyjąć w olbrzymim salonie, gdzie trofea świeżo zerwanych traw, maków, kwiatów polnych, przeplatały się z tym samym motywem malowanym „*en camaïeu*” dwa wieki wprzód przez wykwintnego artystę, wstała na chwilę od partyjki ze starym przyjacielem, poprosiła nas o dwie minuty na jej dokończenie, przyczem nie przestała rozmawiać z nami. Nie zupełnie była zadowolona z wrażeń, które jej zwierzyłem. Po pierwsze, ujrzałem ze zgorzeniem że ona i jej mąż wracają co dnia do domu o wiele przed porą zachodów słońca, które miały być tak piękne z tego brzegu, a bardziej jeszcze z tarasu w la Raspelière, i dla których ja byłbym szedł całe mile. — Tak, to nieporównane, rzekła zdawkowo pani Verdurin, spoglądając na olbrzymie oszklone drzwi. Można patrzeć na to codzień i nie sprzykrzy się; — i znów spojrziała w karty.

Otóż, entuzjazm mój czynił mnie wymagającym. Ubolewałem, że z salonu nie widać skał Darnetal (których czar wysławiał mi Elstir), w momencie gdy łamię tyle kolorów. — A, stąd nie zobaczy ich pan, trzebaby iść na koniec parku, do *widoku na zatokę*. Z ławki, która tam stoi, ogarnia pan całą panoramę. Ale nie może pan iść sam, zablądziłby pan. Ja pana zaprowadzę, jeżeli pan chce — dodała miękko. — Ale nie, słuchaj, czy nie dosyć ci newralgji, jakiej napytałaś się kiedyś, chcesz dostać nowej? Pan wróci przecie, zobaczy widok na zatokę innym razem. — Nie nalegałem, zrozumiałem, że Verdurinom wystarczy wiedzieć że zachód słońca znajduje się w ich salonie lub jadalni, niby wspaniały obraz, niby szacowna emalja japońska, usprawiedliwiający wysoką cenę, jaką opłacali la Raspelière wraz z meblami; ale rzadko spoglądali na ten zachód; grunt było dla nich żyć przyjemnie, jeździć na spacer, dobrze jeść, rozmawiać, przyjmować miłych ludzi, z którymi dzielili partyjki bilardu, smaczne obiadki, wesołe podwieczorki. Ujrzałem jednak później, jak inteligentnie nauczyli się znać okolicę, dostarczając gościom spacerów równie nieogranych, jak muzyka którą ich raczyli. Rola, jaką kwiaty w la Raspelière, drogi nad morzem, stare domy, nieznanne kościoły, grały w życiu pana Verdurin, była tak wielka, że ludzie którzy go widywali tylko w Paryżu i dla których miejski zbytek zastępował życie nad morzem i na wsi, zaledwie mogli zrozumieć jego zadowolenie z siebie, oraz ważność, jaką te przyjemności dawały mu we własnych oczach. Ważność ta urastała jeszcze przez fakt, że Verdurinowie byli przeświadczeni, iż la Raspelière, którą zamierzali kupić, jest, jako posiadłość, czemś jedynem. Wyższość, jaką ich miłość własna darzyła la Raspelière, usprawiedliwiła w ich oczach mój entuzjazm, który inaczej byłby ich podrażnił trochę,

z powodu zawodów, które krył w sobie (jak te, które niegdyś sprawiła mi Berma), a do których przyznawałem się im szczerze.

— Słyszę, że powóz wraca — szepnęła nagle pryncypalka. Powiedzmy w jednym słowie, że pani Verdurin, nawet poza nieuniknionymi zmianami wynikłymi z wieku, nie była już podobna do osoby w której salonie Swann i Odeta słuchali sławnej „frazy”. Nawet kiedy grano tę frazę, nie potrzebowała się już zmuszać do ekstatycznego wyrazu, jaki przybierała niegdyś, bo ten wyraz stał się jej twarzą. Pod wpływem niezliczonych newralgji, o jakie przyprawiała ją muzyka Bacha, Wagnera, Vinteuila, Debussy’ego, czoło pani Verdurin przybrało olbrzymie proporcje, jak członki, które reumatyzm zniekształca w końcu. Skronie jej, podobne do dwóch pięknych płonących, obolałych i mlecznych półkul, w których toczy się nieśmiertelnie Harmonja, odrzuciły na obie strony srebrne kosmyki i bez potrzeby słów głosiły za właścicielkę: „Wiem, co mnie czeka dziś wieczór”. Rysy jej nie silily się już wyrażać nadmiaru estetycznych wrażeń, bo same były niejako stałym ich wyrazem na zniszczonej i pysznej twarzy. Ten wyraz rezygnacji na wciąż bliskie cierpienia zadawane przez Piękno, oraz męstwo, jakim było ubrać się, kiedy się ledwo przeżyło ostatnią sonatę, sprawiały, że pani Verdurin, nawet słuchając najokrutniejszej muzyki, zachowywała twarz wzgardliwie obojętną i kryła się nawet z polknięciem dwóch łyżeczek aspiryny.

— Och, tak, są, są! — wykrzyknął pan Verdurin z ulgą, widząc że drzwi otwierają się dla Morela, za którym kroczył p. de Charlus. Baron, dla którego obiad u Verdurinów nie był zgoła wizytą światową, ale podejrzaną eskapadą, był onieśmielony jak uczeń, który znalazł się pierwszy raz w zamtuzie i traktuje gospodynię z bezmiernym szacunkiem. To też zwykła tendencja pana de Charlus do okazania męskości i chłodu ustąpiła (kiedy się baron zjawił w drzwiach) tradycyjnym pojęciem grzeczności, budzącym się z chwilą gdy nieśmiałość zburzy sztuczne wzięcie i sięgnie do warstw podświadomości. Kiedy u jakiegoś Charlusa — czy to będzie wielki pan czy plebejusz — przyjdzie do głosu takie uczucie instynktownej i atawistycznej grzeczności wobec nieznanym, zawsze dusza jakiejś żeńskiej krewniaczki, nakształt opiekuńczej bogini lub wcielonego sobowtóra, śpieszy wprowadzić go do nowego salonu i dyktować mu zachowanie się, zanim dotrze do pani domu. Tak, młody malarz, wychowany przez świętobliwą ciotkę protestantkę, wejdzie z pochyloną na bok i trzęsącą się głową, z oczami wzniesionymi ku niebu, z rękami wsuniętymi w niewidzialną mufkę, której urojony kształt oraz istotna i opiekuńcza obecność pomogą zalęknionemu artyście przebyć bez agorafobji najeżoną przepaściami przestrzeń z przedpokoju do saloniku. Pobożna krewniaczka, której wspomnienie wiedzie go dzisiaj, wchodziła tak przed wielu laty i z miną tak żałosną, że każdy zadawał sobie pytanie, co ona za nieszczęście zwiastuje, zanim przy pierwszych słowach zrozumiało się, że — jak teraz malarz — przychodzi poprostu z *diżestją*. Jestto jakgdyby prawo, które żąda, aby życie, dla celów niespełnionego jeszcze aktu, wezwało, spożytkowało, zniekształciło — w wiekuiestej prostytucji — najczcigodniejsze, czasem najświętsze, czasem tylko najniewinniejsze dziedzictwa przeszłości — mimo iż rodzi wówczas odmienne obrazy. I tak, pewien bratanek pani Cottard, który martwił rodzinę zniewieściałem wzięciem i dwuznacznymi stosunkami, wkraczał zawsze radośnie, jakby chciał zrobić niespodziankę lub oznajmić spadek, rozpromieniony szczęściem, o którego przyczynę daremnie byłoby pytać, ile że tkwiła w nieświadomej dziedziczności i zmylonej płci. Szedł na paluszkach, sam z pewnością zdziwiony że nie ma w ręku portfeliu z biletami wizytowani, podawał rękę z buzią w ciup, jak to widział z pewnością u ciotki; a niespokojne jego spojrzenie kierowało się w stronę lustra, jakby chciał sprawdzić — mimo że był z gołą głową — czy mu się kapelusz (tak jak pewnego dnia pani Cottard spytała o to Swanna) nie przekrzywił.

Co się tyczy pana de Charlus, towarzystwo w jakim się obracał dostarczyło mu w tej krytycznej minucie odmiennych wzorów, innych arabesków dworności, a także zasady, że trzeba w pewnych wypadkach, na intencję skromnych mieszczan, umieć wydobyć i rozwinąć najrzadsze i zazwyczaj w zapasie chowane uroki. Toteż, krygując się, wdzięcząc, z tą samą płynnością, z jaką spódnice byłyby poszerzyły i skrępowały jego kołysanie się, skierował się ku pani Verdurin z miną tak szczęśliwą i zaszczyconą, że możnaby rzec iż znaleźć się w jej domu jest dla barona najwyższą łaską.

Pochylona jego twarz, na której zadowolenie walczyło z poprawnością, marszczyła się w drobne fałdki uprzejmości. Możliwe, że to idzie pani de Marsantes, tak dale-

ce ujawniała się w tej chwili kobieta, którą błąd natury pomieścił w ciele pana de Charlus. Niewątpliwie, baron ciężko pracował nad tem aby pokryć tę pomyłkę i przybrać pozór męski. Ale zaledwie do tego doszedł — zachowawszy przez ten czas te same skłonności — nawyk czucia po kobiecemu dał mu nowy pozór kobiecy, zrodzony już nie z dziedziczności, ale z życia indywidualnego. Że zaś doszedł stopniowo do tego, że myślał — nawet w rzeczach towarzyskich — po kobiecemu, i to bez świadomości (bo nie w miarę jak kłamie innym, ale także w miarę jak kłamie samemu sobie, człowiek przestaje spostrzegać że kłamie), mimo iż nakazywał swemu ciału, aby rozwinęło (w chwili gdy wchodził do Verdurinów) całą kurtuazję wielkiego pana, owo ciało, tak dobrze pojmujące to co p. de Charlus przestał rozumieć, roztoczyło wszystkie uroki lady i to w tym stopniu, że baron zasłużyłby na epitet *lady-like*. Zresztą, czyż można całkowicie oddzielić wygląd pana de Charlus od faktu, że synowie, nie zawsze będąc podobni do ojca, nawet gdy nie są zбочeńcami i mają pociąg do kobiet, ziszczają w twarzy Profanację własnej matki. Ale poniechajmy tutaj to, co zasługiwałoby na osobny rozdział: sprofanowane matki.

Mimo że inne racje patronowały przeobrażeniu pana de Charlus i że czysto fizyczne fermenty kazały burzyć się w nim materji i przenosiły stopniowo jego ciało w kategorię ciał kobiecych, zmiana, jaką zaznaczamy tutaj, była jednak pochodzenia duchowego. Człowiek, który się uważa za chorego, staje się nim, chudnie, nie ma siły wstać, ma nerwowe niezłyty jelit. Siłą tkliwego myślenia o mężczyznach mężczyzna staje się kobietą, i urojona suknia pęta jego kroki. Obsesja myśli może w tych wypadkach przeobrazić pleć, jak w innych zdrowie.

Morel, który szedł tuż za baronem, przywitał się ze mną. Od tej chwili, wskutek podwójnej zmiany, jaka w nim zaszła, sprawił na mnie złe wrażenie, którego, niestety, nie umiałem dość wcześnie wziąć w rachubę. Oto czemu. Wspomniałem, że Morel, wyzwoliwszy się z ojcowskiego służalstwa, lubował się naogół w lekceważącej poufalości. W owym dniu, kiedy mi przyniósł fotografie, traktował mnie bardzo bezceremonjalnie. Jakież było moje zdumienie, kiedy, u pani Verdurin, ujrzałem, że mi się kłania bardzo nisko — tylko mnie jednemu — i kiedy usłyszał, zanim się z czemś odezwał, zwrócone do mnie wyrazy „szacunku, bardzo głębokiego szacunku”: nigdybym nie przypuszczał, aby mnie kiedy uczył takim zwrotem, piśmiennie lub ustnie. Odrazu wyczułem, że chce mnie o coś prosić. Za chwilę Morel wziął mnie na bok.

— Oddałby mi pan wielką przysługę — rzekł ceremonjalnie — gdyby pan raczył całkowicie przemilczeć przed panią Verdurin i jej gośćmi stanowisko, jakie mój ojciec zajmował u pańskiego szanownego wuja. Lepiej byłoby natrącić, że pełnił w pańskiej rodzinie funkcje intendenta, i to posiadłości tak rozległych, że go to stawiało na stopie równej z pańskimi krewnymi.

Prośba Morela była mi bardzo nie na rękę, nie przez to że mi kazała podwyższać sytuację jego ojca (co mi było obojętne), ale że musiałem zwiększać rzekomy majątek mojego ojca, co mi się wydawało śmieszne. Ale Morel robił wrażenie człowieka tak zgnębnego, tak nalegał, że nie umiałem odmówić. „Ale koniecznie przed obiadem — rzekł błagalnie; ma pan tysiąc pozorów, aby wziąć na bok panią Verdurin”. Zrobiłem to w istocie, starając się, o ile mogłem, podnieść blask ojca Morela, nie przesadzając „stopy życia” i „posiadłości” moich rodziców. Przeszło gładko, mimo zdziwienia pani Verdurin, która swego czasu znała trochę mego dziadka. Że zaś nie miała taktu i nienawidziła rodzin (rozkładowego elementu jej „paczki”), przeto, powiedziawszy mi że widziała niegdyś mojego pradziadka i wyraziwszy się o nim mniejwięcej jak o kompletnym idjocie, który nie byłby nic rozumiał z jej klanu i który, wedle jej wyrażenia, był „z innej parafji”, rzekła: „To zresztą taka nudna rzecz, rodzina. Człowiek tylko marzy, aby się z tego wydostać”. Zaraz potem opowiedziała mi o ojcu mego dziadka fakt, którego nie znałem, mimo że w domu (nie znałem pradziadka, ale mówiono wiele o nim) podejrzewałem jego rzadkie skąpstwo (w przeciwieństwie do ostantacyjnej nieco hojności wuja Adolfa, przyjaciela różowej lady i chlebobawcy ojca Morela). Pani Verdurin rzekła tedy:

— Skoro pańscy dziadkowie mieli tak szykownego intendenta, to dowód, że zdarzają się w rodzinach ludzie wszelkiej maści. Ojciec pańskiego dziadka był tak skąpy, że prawie zidjociawszy na schyłku życia — mówiąc między nami, nigdy nie miał zbyt tegiej głowy; pan gasi ich wszystkich — nie mógł się nigdy zdobyć na to, aby wydać trzy su na omnibus. Tak iż trzeba było posyłać za nim służącego, który płacił osobno konduktorowi i wmówił

w starego kutwę, że jego przyjaciel, p. de Persigny, minister Stanu, uzyskał dlań prawo darmowej jazdy omnibusem. Zresztą bardzo jestem rada, że ojciec *naszego* Morela był człowiekiem tak dystygowanym. Zdawało mi się, że on był profesorem liceum; to nic, widocznie źle zrozumiałam. Ale to niewiele znaczy, bo powiem panu, że my tu cenimy jedynie wartość ludzką, wkład osobisty, to co ja nazywam wtajemniczeniem. Byleby się żyło w sztuce, słowem byle się należało do bractwa, o resztę mniejsza.

Sposób, w jaki Morel należał do „bractwa” — o ile zdołałem się dowiedzieć — polegał na tem, że kochał na tyle kobiety i mężczyzn, aby móc zrobić przyjemność każdej płci przy pomocy tego czego się nauczył od drugiej — jak to się okaże później. Ale godne zanotowania jest, że z chwilą gdy mu przyrzekł interwenjować u pani Verdurin, z chwilą zwłaszcza kiedym to uczynił i to bez możliwości cofnięcia się, „szacunek” Morela dla mnie ulotnił się jakby czarami, pełne uszanowania formuły znikły, i nawet przez pewien czas skrzypek unikał mnie, podkreślając swoje lekceważenie. Tak że kiedy pani Verdurin chciała żebym mu coś powiedział, żebym go poprosił o zagranie jakiego utworu, on rozmawiał którymś z „wiernych”, potem z innym, zmieniał miejsce gdy chciał podejść do niego. Musiano mu zwracać uwagę że do niego mówię, wówczas odpowiadał niechętnie i krótko, chyba żeśmy byli sami. W takim razie był rozlewny, przyjacielski, bo miał urocze strony charakteru. Niemniej wywnioskowałem z tego pierwszego wieczoru, że on musi mieć brzydką naturę, że się nie cofnie w potrzebie przed żadną podłością, że wdzięczność jest dlań uczuciem obcym. W czem podobny był do ogółu ludzi. Że jednak ja miałem w sobie coś ze swojej babki i bawiłem się rozmaitością ludzi, nie spodziewając się od nich niczego ani nie mając do nich o nic żalu, zignorowałem nikczemność Morela, cieszyłem się przy okazji jego wesołością, a nawet tem co, jak sądzę, było objawem szczerzej przyjaźni z jego strony, kiedy, wyczerpawszy swoje fałszywe pojęcia o naturze ludzkiej, pojmował (chwilami, bo miał osobliwe nawroty pierwotnej i ślepej dzikości), że moja dlań pobłażliwość jest bezinteresowna, że moja wyrozumiałość nie płynie ze ślepoty, ale z tego co on nazywał dobrocią. Zwłaszcza zachwycała mnie jego sztuka, będąca bez mała tylko cudownym wirtuozostwem, ale dająca mi (mimo iż Morel nie był w intelektualnym sensie słowa prawdziwym artystą) słyszeć lub poznawać tyle pięknej muzyki. Zresztą jego *manager*, p. de Charlus (nie znałem tych jego talentów, mimo iż pani de Guermantes, pamiętająca go bardzo innym za młodu, powiadała, że napisał dla niej sonatę, wymalował wachlarz, etc...), skromny w tem co tyczyło jego istotnych przewag i rzetelnych darów, umiał poddać tę wirtuozję rygorom artystycznego smaku, bogacąc ją dziesięciokrotnie. Wyobraźcie sobie jakiegoś poprostu zręcznego tancerza z rosyjskiego baletu, wyrobionego, wykształconego, rozwiniętego w każdym sensie przez Diagilewa.

Wywiązałem się wobec pani Verdurin ze zlecenia, jakim mnie obarczył Morel i rozmawiałem z panem de Charlus o Robercie de Saint-Loup, kiedy wpadł do salonu Cottard, oznajmiając, tak jakby się paliło, że jadą Cambremerowie. Pani Verdurin, nie chcąc aby się wydawało wobec *nowych*, jak p. de Charlus (którego Cottard nie spostrzegł) i jak ja, że ona przywiązuje tyle wagi do wizyty Cambremerów, nie zareagowała na tę nowinę słowem ani gestem; rzekła jedynie do doktora, wachlując się z wdziękiem, tym samym sztucznym tonem, co jakaś margrabina w Komedji Francuskiej: „Baron powiadał nam właśnie...”.

To było za wiele dla Cottarda! Mniej żywo niżby to uczynił niegdyś, bo wiedza i wysokie godności zwolniły jego dykcję, ale bądź co bądź z tem wzruszeniem, jakie odnajdywał u Verdurinów, wykrzyknął: „Baron! Gdzie baron, co za baron? Mówiąc to, rozglądał się ze zdumionem niedowierzaniem. Pani Verdurin, z udaną obojętnością pani domu, której służący stłukł przy gościach cenny wazon, oraz ze sztuczną intonacją laureatki Konserwatorium, grającej Dumasa-syna, odpowiedziała wskazując wachlarzem protektora Morela: „Ależ baron de Charlus, któremu zaraz przedstawię pana: profesor Cottard”. Pani Verdurin była zresztą widocznie rada, że ma sposobność grać wielką damę. P. de Charlus podał dwa palce, które profesor uściśnął z życzliwym uśmiechem „książęcia wiedzy”. Ale wrósł w podłogę na widok wchodzących Cambremerów, podczas gdy p. de Charlus pociągnął mnie w kąt, aby mi coś powiedzieć nie bez pomacania — manierą niemiecką — moich muskułów.

P. de Cambremer nie był wcale podobny do starej margrabiny. Wdał się, jak matka powiadała z czułością, „całkowicie w papę”. Kogoś, kto jedynie słyszał o nim, lub nawet

o jego listach, żywych i zręcznych, fizys jego mogła przyprawić o zdziwienie. Z pewnością trzeba się było do niej przyzwyczaić. Ale jego nos, na to aby się umieścić na bakier nad ustami, wybrał — spośród tylu innych — jedyną może linię skośną, której nie przyszłoby nikomu na myśl wykreślić na twarzy; linię oznaczającą pospolitą głupotę, uwydatnioną jeszcze normandzką cerą rumianą jak jabłko. Może oczy pana de Cambremer zachowały nieco nieba Cotentin, tak słodkiego w piękne słoneczne dni, kiedy przechadzając się lubimy oglądać i liczyć przystające na skraju drogi setki cieniów topoli; ale ciężkie, kaprawe i nieforemne powieki przeszkodziłyby samej inteligencji przedostać się przez nie. Toteż widz, zbity z tropu nikłością błękitnego spojrzenia, przechodził do wielkiego nosa na bakier. Przez jakąś osobliwą transpozycję zmysłów, pan de Cambremer patrzył nosem. Ten nos pana de Cambremer nie był brzydki, raczej nieco za piękny, za duży, zbyt dumny ze swojej powagi. Garbaty, strojny, błyszczący, lśniący nowy, nos ten był nader skłonny wyrównać duchowe ubóstwo spojrzenia; na nieszczęście, o ile oczy są czasami organem, w którym odbija się inteligencja, nos (jakakolwiek byłaby zresztą tajemna solidarność i niepodejrzewane oddziaływanie rysów na siebie) nos jest naogół organem, w którym rozpościera się najsładniej głupota.

Mimo że dyskretny smak ciemnych ubrań, jakie nosił zawsze — nawet rano — p. de Cambremer, uspokajał tych, których olśniewał i drażnił arogancki blask płazowych kostjumów nieznanymi gości, nie podobna było zrozumieć, że żona prezydenta Sądu oświadczyła z miną i z powagą znawczyni, jak osoba bardziej od was obyta w wielkim świecie Alençon, że w panu de Cambremer czuje się natychmiast, zanim się jeszcze wie kim jest, człowieka wysoce dystyngowanego, doskonale wychowanego, odbijającego od stylu Balbec, słowem człowieka przy którym można oddychać. Był dla niej, zatrutej w Balbec tyloma turystami, którzy nie znali jej świata, niby flakon trzeźwiących soli. Ja uważałem przeciwnie że to by ktoś, kto by się babce wydał bardzo pospolity; że zaś nie rozumiała snobizmu, byłaby z pewnością zdumiona, że mu się udało zaślubić pannę Le-grandin, która musiała być wybredna na punkcie dystynkcji i której brat był „tak dobrze”. Conajwyżej możnaby powiedzieć o płaskiej brzydocie pana de Cambremer, że jest jakby „tutejsza” i ma w sobie coś bardzo staroświecko-lokalnego; patrząc na te sfuszerowane rysy, które chciałoby się poprawić, myślało się o nazwach normandzkich miasteczek, co do których etymologii nasz proboszcz się mylił, ponieważ chłopci, źle wymawiając lub fałszywie rozumiejąc normandzkie lub łacińskie słowo, utrwalili w jakimś barbarzyzmie — znajdującym się już w *cartulariach*, jakby powiedział Brichot — fałsz i błąd wymowy.

Życie w tych starych miasteczkach bywa zresztą bardzo przyjemne, a pan de Cambremer musiał mieć swoje zalety; bo, o ile było naturalną rzeczą u matki że stara margrabina wolała syna od synowej, godne uwagi było, że, mając kilkoro dzieci — z tych bodaj dwoje lub troje dość udanych — oświadczała często, iż margrabia był, jej zdaniem, ozdobą rodziny. W ciągu krótkiego czasu, który spędził w wojsku, koledzy, uważając że Cambremer jest za długie, dali mu przydomek *Cancan*, na który zresztą nie zasłużył niczem. Umiał uświetnić obiad, na który go zaproszono, powiadając w momencie ryby (choćby była nieświeża) lub pieczystego: „Bagatela, ależ to piękna sztuka!” I żona jego, która wchodząc w dom Cambremerów, przejęła wszystko, co jej się zdawało „stylem” owego świata, dostrajała się do tonu przyjaciół męża (a może starała się mu podobać, jak kochanka), tak jakby niegdyś brała udział w jego kawalerskim życiu, mówiąc o nim swobodnie do oficerów: „Zaraz zjawi się Cancan. Cancan pojechał do Balbec, ale wróci przed wieczorem”. Była wściekła, że się pospolituje tego wieczora u Verdurinów; uczyniła to jedynie na prośbę teściowej i męża, w interesie najmu. Ale, mniej dobrze wychowana od nich, nie tała swoich pobudek i naigrawała się z przyjaciółkami z tego obiadu:

— Wiecie, że my dziś mamy obiad u naszych lokatorów. To będzie warte podwyżki czynszu. W gruncie jestem dość ciekawa przekonać się, co oni mogli zrobić z naszej poczciwej starej Raspelière (całkiem tak jakby się tam urodziła i mieściła tam wszystkie wspomnienia rodzinne). Stary leśnik mówił mi jeszcze wczoraj, że nic już nie można poznać! Nie śmiem ani pomyśleć, co się tam musi dziać. Sądzę, że będzie nam trzeba zdezinfekować wszystko, zanim tam zamieszkamy z powrotem.

Przybyła wyniosła i sztywna, z miną wielkiej damy, której zamek okupowany jest w czasie wojny przez nieprzyjaciół, ale która i tak czuje się u siebie i chce pokazać zwycięzcom że są intruzami.

Pani de Cambremer nie mogła mnie ujrzyć zrazu, bo stałem we framudze z panem de Charlus, który powiadał mi, że się dowiedział od Morela, iż jego ojciec był intendentem w mojej rodzinie; on sam, p. de Charlus, spodziewa się po mojej inteligencji i wielkoduszności (termin wspólny jemu i Swannowi), że sobie potrafię odmówić niskiej i lichej przyjemności, jakiej pospolite głuptasy (to było dość znaczące!) nie omieszkalyby szukać na moim miejscu, zdradzając naszym gospodarzom szczegóły przynoszące Morelowi ujmę w ich oczach. „Sam ten fakt, że ja się nim interesuję i rozciągam na niego swoją protekcję, jest wystarczający i zaciera przeszłość” — zakończył baron. Słuchając barona i obiecując milczenie, które byłbym zachował nawet bez pokwitowania mojej „inteligencji i wielkoduszności”, przyglądałem się równocześnie pani de Cambremer. I z trudem mogłem rozpoznać owo coś soczystego i smakowitego, co miałem niedawno temu koło siebie w godzinie podwieczorku, na tarasie w Balbec, w oglądanym obecnie twardym jak kamień normandzkim placku, w którym „wierni” próżno sililiby się zatopić zęby.

Podrażniona z góry dobrodusznością, którą jej mąż miał po matce i która kazała by mu z pewnością przybrać minę zaszczyconą, kiedyby mu przedstawiano gromadkę „wiernych”, pani de Cambremer pragnęła jednak dopełnić obowiązków światowej damy. Kiedy jej przedstawiono Brichota, chciała go zapoznać z mężem, bo widziała że tak postępują jej wytworniejsze przyjaciółki, ale wściekłość lub duma przeważały ostentację *savoir vivre*; powiedziała tedy, nie jak należało: „Pozwoli pan, że panu przedstawię męża”, ale: „Przedstawię pana memu mężowi”, dzierżąc w ten sposób wysoko sztandar Cambremerów, wbrew nim samym, bo margrabia skłonił się przed Brichotem tak nisko jak to przewidywała. Ale zły humor pani de Cambremer odmienił się nagle, kiedy ujrziała pana de Charlus, którego znała z widzenia. Nigdy nie udało się jej osiągnąć tego aby się jej baron pozwolił przedstawić, nawet w czasach jej stosunku ze Swannem. Bo p. de Charlus, biorąc zawsze stronę kobiet, stronę swojej bratowej przeciw kochankom pana de Guermantes, Odety (jeszcze nie zamężnej wówczas, ale dawnej kochanki Swanna) przeciw nowym kochankom Swanna, jako surowy obrońca cnoty i wierny protektor małżeństw, przyrzekł Odecie (i dotrzymał tego), że nigdy nie da się przedstawić pani de Cambremer. I z pewnością nie przypuszczała, że u pani Verdurin pozna wreszcie tego tak niedostępnego człowieka.

P. de Cambremer wiedział iż to jest dla niej tak wielka radość, że sam uczył się wzruszony; popatrzał na żonę tak jakby mówił: „Kontenta jesteś, żeś się zgodziła przyjechać, co?” Mówił zresztą bardzo mało, wiedząc że zaślubił kobietę wyższą. „Ja, niegodny” — powiadał co chwila, i chętnie cytował jedną bajkę La Fontaine’a i jedną Floriana, które mu pozwalały kokietować swoją ignorancją, a z drugiej strony pozwalały mu, w formie wzgardliwego ustępstwa, pokazać uczeńcom nie należącym do Jockey-klubu, że można polować a czytywać bajki. Nieszczęściem, znał ich zaledwie dwie, toteż powtarzały się często.

Pani de Cambremer nie była głupia, ale miała różne drażniące nawyki. Zniekształcanie nazwisk nie miało u niej absolutnie nic z arystokratycznej wzdury. Z pewnością nie ona, jak księżna Oriana de Guermantes (którą urodzenie powinno by bardziej niż panią de Cambremer uchronić od tej śmieszności), powiedziała by — iżby się nie wydawało że zna mało wytworne nazwisko (dziś będące nazwiskiem jednej z najekskluzywniejszych kobiet) Julien de Monchâteau: „pani... pani... Pic de la Mirandole”. Nie, kiedy pani de Cambremer fałszywie cytowała nazwisko, to jedynie przez życzliwość, aby się nie wydawało że coś wie; równocześnie zaś przez szczerość podkreślała tem dobitniej to co niby ukrywała. Jeżeli naprzykład broniła jakiejś kobiety, starała się utaić — nie chcąc zarazem skłamać komuś, kto ją błagał, aby powiedziała całą prawdę — że pani taka a taka jest obecnie kochanką pana Sylvain Levy; wówczas mówiła: „Nie... absolutnie nic nie wiem o niej; zarzucano jej podobno, że rozkochała w sobie jakiegoś pana, którego nazwiska nie wiem, coś jak Cahn, Kohn, Kuhn, zresztą zdaje mi się że ten pan umarł od dawna i że nigdy nic między nimi nie było”. Ten proceder — mimo iż odwrotny — podobny jest do systemu kłamców, którzy myślą że, zniekształcając to co zrobili, kiedy to opowiadają kochance lub poprostu przyjacielowi, sprawią iż tamci nie zgadną natychmiast, że jakiś zdanie (tak samo jak owo Cahn, Kohn, Kuhn) jest sztucznie wstawione, że jest z innego gatunku niż te które składają rozmowę, że ma podwójne dno.

Pani Verdurin spytała męża na ucho: „Czy ja mam podać ramię baronowi de Charlus? Skoro ty będziesz miał po prawej panią de Cambremer, należałoby to może wyrównać. — Nie — rzekł Verdurin; skoro tamten ma wyższy stopień (chciał przez to powiedzieć, że p. de Cambremer jest margrabią), Charlus jest w sumie czemś mniej od niego. — Więc dobrze, posadzę go przy naszej księżnej”. I pani Verdurin przedstawiła panu de Charlus panią Szerbatow; baron i księżna skłonili się sobie w milczeniu, z miną świadczącą że wiedząc dużo nawzajem o sobie, przyrzekają sobie wzajemny sekret. P. Verdurin przedstawił mnie panu de Cambremer. Zanim jeszcze margrabia odezwał się swoim silnym i lekko zająkliwym głosem, wysoka jego postać i rumiana twarz zdradzały swoim drganiem marsowe wahania wodza, który stara się uspokoić cię i powiada: „Mówiono mi już, załatwimy to jakoś, postaram się żeby panu darowano karę; nie jesteśmy ludozercy, wszystko będzie dobrze”. Następnie, ściskając mi rękę, rzekł: „Zdaje się, że pan zna moją matkę. Słowo „zdaje się” uważał widać za bardziej odpowiadające ceremonjałowi prezentacji, ale bynajmniej nie wyrażało ono wątpliwości, gdyż margrabia dodał: „Mam właśnie od niej list do pana”.

P. de Cambremer wyrażał naiwną radość, że ogląda siedzibę, w której żył tak długo. „Odnajduję się tutaj” — rzekł do pani Verdurin, podczas gdy zachwycone jego spojrzenie poznawało kwiaty na supraportach i marmurowe biusty na wysokich cokołach. Mógł zresztą czuć się tu obco, bo pani Verdurin przywiozła z domu dużo starych pięknych rzeczy. Z tego punktu widzenia, pani Verdurin, uchodząc w oczach Cambremerów za burzycielkę, była nie rewolucjonistką ale inteligentną konserwatorką, w sensie którego oni nie rozumieli. Niesłusznie również obwiniali ją, że nienawidzi starej siedziby i że ją hańbi prostym płótnem zamiast ich bogatego pluszu, jak ciemny proboszcz zarzuca djeceznalnemu architektowi, że przywraca stare drewniane rzeźby porzucone w lamusie, w których miejsce ksiądz uważał za właściwe wstawić ornamenty kupione na placu Saint-Sulpice. Równocześnie skromne grządki zaczynały zastępować przed pałacem bogate klomby, stanowiące dumę nie tylko Cambremerów ale i ich ogrodnika. Ogrodnik, który uważał Cambremerów za swoich jedynych państwa i jęczał pod jarzmem Verdurinów, tak jakby posiadłość była chwilowo zajęta przez najeźdźcę i przez hordę żołdaków, nosił w sekrecie swoje lamenty wydziedziczonej właścicielce, oburzał się na wzdarcę w jaką popadły jego araukarje, begonje, kaktusy, jego wspaniałe dalje, i to że ośmielono się w tak zamożnej siedzibie sadzić kwiaty równie pospolite jak rumianek i nagietki. Pani Verdurin czuła ten głuchy sprzeciw, i była zdecydowana, w razie gdyby przedłużyła najem lub nawet kupiła la Raspelière, postawić za warunek dymisję ogrodnika, na którym starej właścicielce przeciwnie bardzo zależało. Służył jej za darmo w krytycznych czasach, uwielbiał ją; ale przez dziwną dwoistość sądów ludu, w których najgłębsza wzgarda sąsiaduje z najnamiętniejszym szacunkiem, splecionym znowuż ze staremi niezniszczalnymi urazami, powiadał często o pani de Cambremer, która w r. 1870, w swoim zamku położonym na kresach wschodnich, zaskoczona inwazją, musiała cały miesiąc znosić kontakt z Niemcami: „Bardzo to miano za złe pani margrabinie, że w czasie wojny trzymała stronę Prusaków i nawet ich gościła w zamku. W innym momencie, tobym rozumiał, ale w czasie wojny nie godziło się! To było nie pięknie”. Tak że był swojej pani wierny do śmierci, czcił ją za jej dobroć i rozgłaszał że się dopuściła zdrady.

Pani Verdurin była dotknięta, że p. de Cambremer tak dobrze (jak mówił) poznał la Raspelière. „Musi pan przecież spostrzegać pewne zmiany odparła. — Popierwsze, były tu te wielkie brzozy Barbedienne i te zakazane pluszowe krzeselka, które coprędzej wyprawiłam na strych, jeszcze zbyt honorowy dla nich!” Po tej ostrej ripoście, podała panu de Cambremer ramię, aby przejść do jadalni. Zawahał się chwilę, powiadając sobie: „Nie mogę przecież wejść przed panem de Charlus”. Ale pomyślawszy że baron musi być starym przyjacielem domu (skoro mu nie dano honorowego miejsca), zdecydował się przyjąć ramię gospodyni. Oświadczył pani Verdurin, jak dumny jest, że go dopuszczono do tej *biesiady* (w ten sposób nazywał małą „paczkę”, nie bez uśmiechu niejakiego zadowolenia, że zna ten termin).

Cottard, który siedział obok pana de Charlus, przyglądał mu się z pod binokli, aby wzręć znajomość i „przełamać lody”; przyczem mruganie jego było o wiele natarczywsze niż byłoby niegdyś i nie przerywane falami nieśmiałości. Zachęcające spojrzenia doktora, podkreślone uśmiechem, nie mieściły się już w szklach binokli, kipiały na wszystkie

strony. Baron, który łatwo dostrzegał wszędzie podobnych sobie, nie wątpił, że Cottard jest z ich liczby i że robi doń oko. Natychmiast osadził w miejscu profesora owym chłodem zбочeńców, równie wzdurliwych dla tych którym sami się podobają, jak nadskakujących tym którzy im się podobają. Bezwątpienia, mimo iż każdy mówi kłamliwie o zawsze odmawianej przez los słodyczy budzenia miłości, ogólnem prawem, obowiązującym zgoła nie samych Charlusów, jest, że istota, której nie kochamy a która nas kocha, wydaje się nam nieznośna. Od takiej istoty, od takiej kobiety, o której nie powiemy że nas kocha, ale że się nas *czepia*, wolimy towarzystwo jakiejś innej, nie posiadającej ani jej uroku, ani jej zalet, ani jej inteligencji. Odzyska je dla nas dopiero wówczas, kiedy przestanie nas kochać. W tym sensie, irytacja zбочeńca wobec człowieka, który mu się nie podoba a który mu nadskakuje, mogłaby się wydać jedynie komiczną transpozycją tej powszechnej reguły; ale występuje ona wówczas o wiele silniej. Toteż, podczas gdy ogół ludzi stara się ukrywać tę irytację (mimo iż jej doznaje), zбочeniec daje ją bezlitośnie uczuć temu kto ją wywołał, tak jakby jej z pewnością nie dał uczuć kobiecie (naprzykład p. de Charlus księżnej Marji de Guermites, której uczucie nudziło go, ale mu pochlebiało). Ale kiedy widzą że inny człowiek objawia w stosunku do nich specjalną skłonność, wówczas, czy to przez niezrozumienie że to jest ten sam gust co ich własny; czy przez niemile przypomnienie, że ten sam gust, wyidealizowany przez nich gdy go odczuwają sami, uważany jest za zбочeniec; czy przez chęć zrehabilitowania się brutalnym protestem w sytuacji w której to ich nic nie kosztuje; czy z obawy że ich ktoś może odgadnąć, obawy zbudzone nagle, kiedy żądza nie gna ich już z zawiązanymi oczami z szaleństwa w szaleństwo; czy z wściekłości, że dwuznaczne zachowanie się kogoś drugiego przynosi im szkodę, której własnem postępowaniem, w razie gdyby ów drugi podobał się im, nie wahałoby się mu wyrządzić, oni którzy nie robią sobie skrpułów aby gonić za młodym człowiekiem całe mile, nie spuszczać go z oczu w teatrze nawet kiedy jest z przyjaciółmi, ryzykując że go tem poróżnią z nimi — ci sami, skoro tylko ktoś kto się im nie podoba spojrzy na nich, powiadają wręcz: „Za kogo mnie pan bierze?” (jedynie dlatego że ich ktoś bierze za to czem są); „Nie rozumiem pana, proszę mnie zostawić w spokoju, pan się myli”; posuwają się w potrzebie do spoliczkowania natręta i wobec kogoś, kto zna nieostrożnego zalotnika, oburzają się: „Jakto, pan zna tego świntucha? Ten człowiek ma dziwny sposób przyglądania się!... Także manier!”.

P. de Charlus nie posunął się tak daleko, ale przybrał wyraz obrażony i lodowaty, jaki mają kobiety, kiedy ktoś je weźmie niezasłużenie (a tembardziej jeżeli zasłużenie) za osoby lekkiego prowadzenia. Zresztą, zбочeniec, znalazłszy się w towarzystwie innego zбочeńca, widzi nietylko przykry obraz samego siebie, obraz martwy, zdolny jedynie udęczyć jego miłość własną, ale drugiego siebie, żywego, działającego w tym samym duchu, a więc zdolnego pokrzyżować jego amory. Toteż, wiedziony zmysłem samozachowawczym, będzie mówił źle o możebnym rywalu bądź z ludźmi, którzy mogą zaszkodzić tamtemu (przyczem zбочeniec nr. 1 nie boi się uchodzić za kłamcę, obciążając w ten sposób zбочeńca nr. 2 w oczach osób, które mogą być uświadomione co do niego samego), bądź z młodym człowiekiem, którego „wziął na oko”, którego tamten może mu zdmuchnąć i któremu trzeba wytłumaczyć, że to co jest bardzo godziwe czynione z nim samym, stałoby się katastrofą w razie gdyby to robił z innym.

Dla pana de Charlus, myślącego o niebezpieczeństwach (bardzo urojonych), jakimi obecność profesora Cottard, którego uśmiech fałszywie rozumiał, groziłaby Morelowi, zбочeniec który mu się nie podobał był nietylko karykaturą jego samego, ale i notorycznym rywalem. Kupiec pracujący w jakiejś rzadkiej branży, przybywając do prowincjonalnego miasta gdzie chce się osiedlić, kiedy ujrzy, że na tym samym rynku, właśnie nawprost niego, konkurent uprawia ten sam rodzaj handlu, nie bardziej jest stropiony, niż jakiś Charlus, pragnący ukryć swoje miłości w spokojnej okolicy, kiedy w dniu swego przybycia spostrzeże ziemianina lub fryzjera, których wygląd i wzięcie nie zostawiają mu żadnej wątpliwości. Kupiec powźmie często do swego konkurenta nienawiść; nienawiść ta wyradza się nieraz w melancholję, i jeżeli spotka się bodaj trochę z obciążeniem dziedzicznym, zdarzało się w małych miasteczkach, że taki kupiec zdradza początki szaleństwa, które można wyleczyć jedynie skłaniając go aby sprzedał swój interes i wysiedlił się. Wściekłość zбочeńca jest jeszcze bardziej piękąca. Zrozumiał, że od pierwszej sekundy ziemianin lub fryzjer pożądamy jego młodego towarzysza. Daremnie powtarza to

razy dziennie swemu przyjacielowi, że fryzjer i ziemianin to są bandyci, których zbliżenie szańbiłoby go; musi jak Harpagon dzień i noc czuwać nad swoim skarbem: wstaje w nocy; aby sprawdzić czy mu go ktoś nie odbiera. I to — z pewnością bardziej jeszcze niż żądza lub nawyki zażyłości i prawie tyleż samo co owo doświadczenie czerpane z samego siebie, jedyne prawdziwe — sprawia, że zboczeniec wykrywa drugiego zboczeńca z szybkością i pewnością prawie nieomylną. Może się omylić na chwilę, ale intuicja zwraca go szybko na dobrą drogę. Toteż omyłka pana de Charlus była krótka. Boskie rozeznanie ukazało mu po chwili, że Cottard nie jest z tej rasy i że niema się co obawiać jego awansów ani dla siebie (co by barona jedynie zirykowało) ani dla Morela, co by było poważniejsze. Odzyskał spokój, że zaś był jeszcze pod czarem przejścia *Venus androgyne*, uśmiechał się chwilami blade do Verdurinów, nie zadając sobie trudu powiedzenia słowa, ściągając na chwilę usta, i na sekundę rozświecał oczy, on tak rozkochany w męskości, zupełnie tak jakby to zrobiła jego bratowa, księżna Oriana.

— Pan dużo poluje? — spytała pani Verdurin wzgardliwie pana de Cambremer.

— Czy Ski opowiadał pani, że nam się zdarzył paradny kawał? — spytał Cottard pryncypalki.

— Poluję zwłaszcza w lesie Chantepie — odparł pan de Cambremer.

— Nie, nic nie opowiadałem — odparł Ski.

— Czy zasługuje na swoją nazwę — spytał Brichot pana de Cambremer, popatrzawszy na mnie z pod oka, bo przyrzekł mi mówić o etymologiach, prosząc równocześnie, abym nie zdradził Cambremerom jego ujemnego sądu o etymologiach proboszcza.

— Widać nie jestem zdolny tego ogarnąć, ale nie rozumiem pańskiego pytania — rzekł pan de Cambremer.

— Mam na myśli: czy śpiewa tam dużo srok? — odparł Brichot³.

Tymczasem Cottard cierpiał, że pani Verdurin nie wie, iż oni omal nie spóźnili się na pociąg. „No, no — rzekła pani Cottard do męża, aby go zachęcić: opowiedz swoją odyseję”.

— W istocie, to przekracza zwykle granice — rzekł doktor, który podjął na nowo opowiadanie. — Kiedym ujrzał, że pociąg stoi na stacji, zatknęło mnie! A wszystkiemu zawinił Ski. Pan masz mocno karkołomne informacje, drogi panie! A ten Brichot, który czekał nas na stacji!

— Sądziłem — odparł uczony, rzucając dokoła siebie resztki spojrzenia i uśmiechając się wąskimi wargami — że jeżeli się pan zapóźnił w Graincourt, to że pan spotkał jakąś perypatetyczkę.

— Będziesz pan cicho, gdyby moja żona pana usłyszała! — rzekł profesor. — *Moja szona ona być zastrasna.*

— A! ten Brichot — wykrzyknął Ski, w którym ryzykowny żarcik Brichota obudził tradycyjną wesołość — zawsze ten sam (mimo że doprawdy nie wiedział, czy Brichot był kiedy lampartem). I podkreślając te sakramentalne słowa rytualnym gestem, udał że się nie może oprzeć chęci uszczyplenia go w nogę. — Nic się nie zmienia ten hultaj! — ciągnął Ski, i nie zastanawiając się ile ślepoty profesora daje smutnego i komicznego tym słowom, dodał: „Zawsze to spiczaste oczko w stronę kobiet.”

— Widzi pan — rzekł pan de Cambremer — co to jest spotkać uczonego! Piętnaście lat poluję w lesie Chantepie i nigdy nie przyszło mi na myśl, co ta nazwa oznacza.

Pani de Cambremer rzuciła mężowi surowe spojrzenie; nie była rada, że się tak upokarza przed Brichotem. Bardziej jeszcze była niezadowolona, kiedy wobec każdego „gotowego” zwrotu jakiego użył Cancan, Cottard, który znał słabe i silne strony tych wyrażań, bo się ich pracowicie wyuczył, wykazywał margrabiemu, który kapitulował bezradnie, że one nic nie znaczą: „Czemu *głupi jak but*? Czy pan myśli, że buty są głupsze od innych przedmiotów? Powiada pan: »powtarzać sto razy jedno i to samo«. Czemu właśnie sto? Czemu »śmiać się jak koń«? »Djabeł w ukropie«? Czemu »ni w pięć ni w dziewięć«?” Wówczas Brichot brał pana de Cambremer w obronę, tłumacząc pochodzenie każdego zwrotu.

Ale pani de Cambremer była zwłaszcza zajęta badaniem zmian, wprowadzonych przez Verdurinów w la Raspelière, aby móc krytykować jedne, wprowadzić do Féterne inne, lub

³w lesie Chantepie (...) czy śpiewa tam dużo srok? (fr.) — chanter: śpiewać, pie: sroka. [przypis redakcyjny]

może te same. „Zastanawiam się, co to jest ten świecznik umocowany na bakier. Ledwo poznając moją starą Raspelière” — dodała tonem poufale arystokratycznym, tak jakby mówiła o słudze, chcąc nietylko określić jego wiek, ile wyrazić że patrzyła na jej urodzenie. Że zaś była zawsze trochę książkowa w swoim słownictwie, dodała półgłosem: „Bądź co bądź, wydaje mi się, że gdybym mieszkała w cudzym domu, nie ośmieliłabym się wyważać tak z posad wszystkiego”.

— To wielka szkoda, że pan nie przyjechał z tymi panami — rzekła pani Verdurin do pana de Charlus i do Morela, w nadziei że p. de Charlus przystanie do „wiernych” i nagnie się do reguły przyjeżdżania wspólnym pociągiem.

— Czy pan jest pewny, Brichotku, że Chantepie oznacza śpiewającą srokę? — dodała, aby okazać że, jako wielka kapłanka salonu, bierze udział we wszystkich rozmowach naraz.

— Niech mi pan coś powie o tym skrzypku — rzekła do mnie pani de Cambremer; interesuje mnie; uwielbiam muzykę, i zdaje mi się że słyszałam coś o nim, niech mnie pan oświeci.

Dowiedziała się, że Morel przybył z panem de Charlus; toteż, ściągając do siebie skrzypka, miała nadzieję zbliżyć się z baronem. Jednakże, iżby nie mógł odgadnąć tej racji, dodała: „Brichot tak że mnie interesuje”. Bo, o ile była bardzo wykształcona, o tyle, jak pewne osoby skłonne do otyłości, które mało co jedzą i używają ruchu cały dzień, nie przestając mimo to tyć w oczach, tak pani de Cambremer daremnie zgłębiała — zwłaszcza w Féterne — filozofję coraz to bardziej ezoteryczną, muzykę coraz to uczeńszą, porzucała te studia jedynie poto, aby motać intrygi, któreby jej pozwalały „splawiać” mieszczańskie przyjaźnie młodości a zawiązywać stosunki, o których zrazu myślała, że stanowią towarzystwo rodziny jej męża, zanim się przekonała później, iż znajdują się o wiele wyżej i dalej. Filozof, który nie był dla niej dość nowoczesny, Leibniz, powiedział, że długa jest droga wiodąca od rozumu do serca. Tej drogi pani de Cambremer, tak samo jak jej brat, nie zdolna była przebyć. Porzucając lekturę Stuarta Milla dla lektury Lacheliera, im mniej wierzyła w realność świata zewnętrznego, tem pracowiej siliła się wyrobić w nim sobie przed śmiercią pocześniejsze miejsce. Osobie tej, zakochanej w sztuce realistycznej, żaden przedmiot nie wydawał się zbyt skromny na to aby służyć za model malarzowi lub pisarzowi. „Światowy” obraz lub powieść przyprawiłyby ją o mdłości; muzyk Tolstoja, wieśniak Milleta, to była ostateczna granica społeczna, której nie pozwalała artyście przekroczyć. Ale przebyć tę, która ograniczała własne jej stosunki, wznieść się aż do świata mitry, było celem jej wszystkich wysiłków, tak bardzo djeta duchowa, jakiej się poddawała wglębiając się w arcydzieła, była bezsilna wobec rosnącego wrodzonego i chorobliwego snobizmu. Snobizm ten uleczył w końcu nawet niejakię skłonności do skąpstwa i cudzołóstwa, jakim podlegała za młodu, podobny w tem do osobliwych i trwałych stanów patologicznych, które dotkniętą niemi osobę zdają się immunizować przeciw innym chorobom. Słuchając pani de Cambremer, musiałem oddać sprawiedliwość wyrafinowanej subtelności jej wyrażań, nie znajdując w nich zresztą żadnej przyjemności. Były to zwroty, których używają w danej epoce wszystkie osoby jednego zasięgu intelektualnego, tak że subtelne wyrażenie pozwala natychmiast, niby odcinek obwodu koła, opisać i określić cały obwód. Toteż te wyrażenia sprawiają, iż osoby, które ich używają, nudzą mnie natychmiast jak ktoś już znany, ale zarazem uchodzą za osoby niepospolite, i często mi je ofiarowywano przy stole jako rozkoszne a niedocenione sąsiadki.

— Wiadomo pani, że wiele leśnych okolic bierze nazwę od zwierząt, które je zaludniają. Obok lasu *Chantepie*, ma pani lasek *Chantereine*.

— Nie wiem o jaką królowę (*reine*) chodzi, ale nie jest pan dla niej zbyt dworny — rzekł pan de Cambremer.

— Masz za swoje, Brichotku, — rzekła pani Verdurin. — A poza tem droga dobrze się odbyła?

— Spotkaliśmy tylko mętne egzemplarze ludzkie, które wypełniały pociąg. Ale odpowiadam na pytanie pana de Cambremer: *reine* nie oznacza tutaj małżonki króla, lecz żabę. Jest to nazwa, która zachowała się długo w tych stronach, jak o tem świadczy stacja Renneville, która powinna się pisać Reineville.

— Cóż za wspaniała sztuka! — rzekł p. de Cambremer, pokazując rybę. Był to jeden z tych komplementów, zapomocą których margrabia sądził iż płaci swoją „cechę” za obiad

i kwituje się. „Zapraszać ich, to zbyt cenne — mówił często o niektórych znajomych do żony. Byli uszczęśliwieni, że nas mieli u siebie. To oni mi dziękowali”.

— Zresztą muszę panu powiedzieć, że ja od wielu lat jeżdżę prawie codziennie do Renneville i nie widziałem tam więcej żab niż gdzieindziej. Pani de Cambremer sprowadziła tutaj proboszcza z parafii gdzie ma rozległe dobra, posiadającego, o ile mi się zdaje, te same upodobania co pan. Napisał dzieło.

— Wiem, oczywiście, przeczytałem je z wielkim zainteresowaniem — rzekł obłudnie Brichot. Zadowolenie, jakie duma pana de Cambremer znalazła pośrednio w tej odpowiedzi, wywołało jego długi śmiech.

— Haha, otóż autor, jak mam powiedzieć, tej geografii, tego słowniczka, rozprawia długo o nazwie miejscowości, która była niegdyś — nie wiem jak się mam wyrazić — naszym lennem, a która się zwie Pont-à-Coulevre. Hm, jestem oczywiście pospolitym ignorantem wobec tej studni wiedzy, ale byłem tysiąc razy w Pont-a-Coulevre (gdzie on był tylko raz), i niech mnie licho porwie, jeżeli widział bodaj jedną z tych brzydkich żmij; powiadam brzydkich, mimo pochwały, jaką im oddaje dobry La Fontaine (*Człowiek i żmija*, to była jedna z dwóch bajek).

— Nie widział pan, i to pan miał lepszy wzrok — odparł Brichot. — Niewątpliwie, uczony, o którym pan mówi, zna do gruntu swój przedmiot, napisał książkę niepospolitą.

— Myśle! — wykrzyknęła pani de Cambremer — ta książka — wyrażenie będzie tu na swoim miejscu — to istna praca benedyktyna.

— Niewątpliwie musiał zaglądać do starych pergaminów (mam na myśli listy beneficjów i probostw w każdej diecezji), co mogło mu dostarczyć nazwisk świeckich patronów oraz duchownych kolatorów. Ale są i inne źródła. Jeden z moich najuczuczeńszych przyjaciół czerpał w nich. Odkrył, że to samo miejsce nazywano *Pont-à-Quileuvre*. Ta dziwaczna nazwa kazała mu sięgnąć jeszcze dalej do łacińskiego tekstu, gdzie most, który pani przyjaciel uważa za utrapiony żmijami, nazwany jest: *Pons cuit aperi*. Most zamknięty, który otwierał się tylko za przyzwoitą opłatą.

— Mówi pan o żabach. Ja, znajdując się pośród osób tak uczonych, mam uczucie *żaby przed areopagiem* (to była druga bajka La Fontaine'a) rzekł Cancan, który często, śmiejąc się przytem obficie, popełniał ten drugi żarcik, dzięki czemu — jak mniemał — przyznawał się do ignorancji i popisywał się wiedzą, łącząc pokorę z dowcipem.

Co się tyczy Cottarda, ten, zakneblowany milczeniem pana de Charlus i próbując zrobić sobie luz z innej strony, zwrócił się do mnie i zadał mi jedno z owych pytań, które uderzały jego chorych o ile doktor trafił dobrze i okazał w ten sposób że wchodzi niejako w ich ciało; o ile zaś trafił źle, pozwalało mu to skorygować pewne teorie, rozszerzyć dawne punkty widzenia.

— Kiedy pan się znajdzie w takim miejscu stosunkowo wysoko położonym, jak to gdzie bawimy w tej chwili, czy pan uważa, że to zwiększa pańską skłonność do duszności? — spytał, pewny że albo obudzi podziw, albo uzupełni swoją wędzę.

Pan de Cambremer usłyszał pytanie i uśmiechnął się:

— Nie umiem panu powiedzieć, jak mnie to bawi, że pan ma duszności — rzucił mi przez stół. Nie chciał przez to powiedzieć że go to rozwesela, mimo że w istocie tak było. Bo ten przezorny człowiek nie mógł usłyszeć o cudzym nieszczęściu, aby nie odczuć zadowolenia i spazmu wesołości, które rychło ustępowały miejsca współczuciu płynącemu z dobrego serca. Ale zdanie to miało inny sens, sprecyzowany w następnym: „To mnie bawi — rzekł — bo właśnie siostra moja ma także astmę”. W sumie, bawiło go to tak, jakgdybym zacytował jako jednego ze swoich przyjaciół kogoś kto często u nich bywał. „Jaki świat jest mały” oto refleksja, którą p. de Cambremer sformułował w myśli i którą wyczytałem na jego uśmiechniętej twarzy, gdy Cottard wspominał o mojej astmie. I ta astma stała się od tego obiadu niby wspólny znajomy, o którego pan de Cambremer nigdy nie omieszkiał mnie pytać, choćby poto aby zanieść te nowiny siostrze.

Odpowiadając na pytania pani de Cambremer tyżące Morela, myślałem o swojej rozmowie z matką w ciągu popołudnia. Nie odradzając mi wizyty u państwa Verdurin (o ile mnie to mogło rozzerwać), matka przypominała mi, że to jest środowisko, któreby się nie podobało memu dziadkowi i kazałoby mu krzyknąć: „Bacność! — poczem dodała:

— Słuchaj, prezydent Toureuil i jego żona powiedzieli mi, że spotkali gdzieś na śniadaniu panią Bontemps. Nie pytali mnie o nic. Ale mogłam zgadnąć, że małżeństwo twoje

z Albertyna byłoby marzeniem jej ciotki. Sądzę, iż prawdziwym powodem jest to, że ty jesteś im wszystkim bardzo sympatyczny. Bądź co bądź, zbytek jakim wedle ich mniemania mógłbyś ją otoczyć, stosunki nasze które mniej lub więcej znają, również, sądzą, grają w tem rolę, mimo iż drugorzędną. Nie wspominałabym ci o tem, bo mnie na tem nie zależy; ale ponieważ wyobrażam sobie, że będą z tobą o tem mówili, wolałam cię uprzedzić.

— A tobie, mamó, jak ona się wydaje? — spytałem.

— Cóż ja, przecie nie ja mam się z nią żenić. To pewna, że mógłbyś zrobić tysiąc razy lepszą partję. Ale sądzą, że babcia nie byłaby lubiła żeby wpływać na ciebie. W tej chwili nie mogę ci powiedzieć jak mi się wydaje Albertyna; wcale mi się nie wydaje. Powiem ci jak pani de Sévigné: „Ma swoje przymioty, przynajmniej tak sądzą. Ale na razie mogę ją chwalić jedynie negatywnie. Nie jest taka a taka, nie ma akcentu z Rennes. Z czasem powiem może: jest taka a taka. I zawsze będzie mi dobra, jeżeli tobie da szczęście”.

Ale same słowa matki, składające w moje ręce decyzję o mojem szczęściu, pogrzyżyły mnie w tym stanie wahania, w jakim znalazłem się niegdyś, kiedy mi ojciec pozwolił iść na *Fedre*, a zwłaszcza zostać literatem, i kiedy uczułem nagle zbyt wielką odpowiedzialność, lęk przed sprawieniem mu przykrości, oraz tę melancholję, jaka nas ogarnia, kiedy — przestając słuchać rozkazów, które z dnia na dzień kryły nam przyszłość — zdajemy sobie sprawę, żeśmy wreszcie rozpoczęli na dobre, jak dorosła osoba, życie — jedyne życie jakie każdy z nas ma do rozporządzenia.

Może najlepiej byłoby poczekać trochę, zacząć widywać Albertynę jak niegdyś, aby sprawdzić czy ją naprawdę kocham. Mógłbym ją ściągnąć do Verdurinów, dla rozerwania jej. To mi przypomniało, że ja sam wybrałem się tam tego wieczora jedynie dla stwierdzenia czy pani Putbus mieszka u nich lub czy ma przybyć. W każdym razie nie było jej na obiedzie.

— A propos pańskiego przyjaciela Saint-Loup — rzekła pani de Cambremer, posługując się zwrotem, który dowodził więcej konsekwencji w jej myśli, niżby słowa pozwalały przypuszczać; bo mówiąc o muzyce, myślała o Guermantach; wie pan, wszyscy mówią o jego małżeństwie z siostrzenicą księżnej Marji. Powiem panu, że co do mnie, nie interesuję się *w żadnej mierze* temi plotkami.

Przełąknęłem się, że się wyrażałem wobec Roberta dość bezceremonjalnie o tej młodej dziewczynie fałszywie oryginalnej, równie ograniczonej jak niepohamowanej. Nie ma prawie nowiny, któraby nam nie kazała żałować jakichś słów. Odpowiedziałem pani de Cambremer (co zresztą było prawdą), że nic o tem nie wiem i że zresztą oblubienica ta wydaje mi się jeszcze bardzo młoda.

— Może dlatego to nie jest jeszcze oficjalne; w każdym razie mówią o tem dużo.

— Wolę panią uprzedzić — rzekła sucho pani Verdurin usłyszawszy że pani de Cambremer mówi ze mną o Morelu (kiedy ściszyła głos, aby mówić o zaręczynach Roberta, pani Verdurin sądziła, że ona jeszcze mówi o Morelu). Tutaj nie uprawia się żadnej muzyki. W sztuce, wie pani, moi środowi wierni — moje dzieci, jak ich nazywam — są przerażająco postępowi — dodała pani Verdurin, z miną dumnego przerażenia. — Powiadają im czasami: moi drodzy ludkowie, idziecie ostrzej niż wasza pryncypałka, która przecież nie uchodzi za tchórza. Co rok, to dalej; przewiduję niedługo dzień, że już nie zechcą słyszeć o Wagnerze i o d'Indym.

— Ależ to bardzo pięknie być postępowym, nie można nim być nigdy nadto — rzekła pani de Cambremer, robiąc oczami przegląd jadalni, starając się rozpoznać rzeczy które zostawiła jej teściowa, te które przywiozła pani Verdurin, i doraźnie złapać panią Verdurin na złym smaku. Wśród tego starała się sprowadzić mnie na temat, który ją interesował najbardziej, na pana de Charlus. Wydało się jej wzruszające, że on proteguje skrzyпка.

— Wygląda inteligentnie — rzekła.

— Jest nawet pełen werwy, jak na człowieka już starszego.

— Starszego? Ależ on nie wygląda na starszego; niech pan patrzy, jaki włos pozostał młody.

(Od paru lat, bezimienni wynalazcy, którzy lansują mody literackie, zaczęli używać słowa „włos” w liczbie pojedynczej, i wszystkie osoby na długość promienia pani de Cambremer mówiły „włos” — nie bez afektowanego uśmiechu. Obecnie mówi się jeszcze „włos”, ale z nadużycia liczby pojedynczej odrodzi się liczba mnoga).

— Co mnie zwłaszcza interesuje w panu de Charlus — dodała — to że czuje się u niego wrodzony dar. Powiem panu, że ja mało cenię wiedzę. To, czego się można nauczyć, nie interesuje mnie. (Słowa te nie są w sprzeczności ze swoistymi walorami pani de Cambremer, które były wybitnie naśladowane i nabyte. Ale właśnie jedną z rzeczy, które należało wiedzieć w owym czasie, było to, że wiedza jest niczem i że nie waży ani źdźbła wobec oryginalności. Pani de Cambremer nauczyła się — jak wszystkiego innego — tego, że nie trzeba się niczego uczyć.) — Dlatego — rzekła — Brichot, który ma swoje ciekawe strony (bo ja nie gardzę pewną soczystą erudycją), interesuje mnie o wiele mniej.

Ale w tej chwili Brichot pochłonięty był tylko jednym: słysząc, że się mówi o muzyce, drżał, aby ten temat nie przypominał pani Verdurin śmierci Dechambre'a. Chciał coś powiedzieć, aby oddalić to żalosne wspomnienie. P. de Cambremer dostarczył mu sposobności pytaniem:

— Zatem miejsca lesiste zawsze noszą nazwy zwierząt?

— Ależ bynajmniej — odparł Brichot, szczęśliwy że może rozwinąć swoją wiedzę wobec tylu nowych, wśród których udało mu się zainteresować bodaj jednego. — Wystarczy zauważyć, jak dalece nawet w nazwiskach osób zachowuje się drzewo, niby paproć w węglu. Jeden z naszych *patres conscripti* nazywa się de Saulces de Freycinet, co znaczy, jeśli się nie mylę, miejsce obsadzone wierzbami i jesionami, *salix et fraxinetum*; jego siostrzeniec, pan de Selves, gromadzi jeszcze więcej drzew, skoro się zowie de Selves, *sylva*, las.

Saniette śledził z radością ożywienie rozmowy. Ponieważ Brichot mówił cały czas, Saniette mógł zachować milczenie, chroniące go od żarcików obojga Verdurin. I tem wrażliwszy w swoim radosnem poczuciu swobody, wzruszył się, słysząc jak Verdurin — mimo pompy takiego obiadu — poleca kamerdynerowi, aby postawił karafkę wody przed nim, Saniettem, który pijał tylko wodę. (Generałowie, którzy tracą najwięcej żołnierzy, dbają o to, aby ich dobrze żywić). Wreszcie, pani Verdurin uśmiechnęła się raz do Saniette'a. Stanowczo, to są dobrzy ludzie. Nie będą go już dręczyć. W tej chwili przerwał obiad jeden z gości, którego zapomniałem wspomnieć, znakomity filozof norweski, który mówił po francusku dobrze ale bardzo wolno, z podwójnej przyczyny, raz dlatego, że nauczywszy się tego języka od niedawna i nie chcąc popełniać błędów (robił ich jednak trochę), sprawdzał każde słowo jakby w wewnętrznym słowniku; powtóre dlatego że jako metafizyk, mówiąc, obmyślał zawsze to co chciał powiedzieć, co nawet u Francuza zwalnia wysłowienie. Był to zresztą, uroczy człowiek, mimo iż z pozoru podobny do wielu innych, poza jednym punktem. Ten człowiek mówiący tak wolno (czynił pauzę po każdym słowie), rozwijał zawrotną szybkość w tem aby zniknąć, skoro się raz pożegnał. Za pierwszym razem pośpiech jego budził podejrzenie że go żołądek boli, albo że go przyparła jeszcze naglejsza potrzeba.

— Mój drogi kolego — rzekł do Brichota, rozważywszy w myśli, czy *kolega* jest terminem właściwym — mam pewne pragnienie — wiedzieć czy istnieją inne drzewa w nomenklaturze waszego pięknego języka — francuskiego — łacińskiego — normandzkiego. Pani (miał na myśli panią Verdurin, mimo że nie śmiał na nią spojrzeć) wspomniała mi, że pan wie wszystko. Czy to nie jest właśnie chwila...

— Nie, to jest chwila żeby jeść — przerwała pani Verdurin, widząc że obiad się przeciąga.

— A, dobrze! — odparł Skandynawczyk, spuszczać głowę w talerz ze smutnym i zrezygnowanym uśmiechem. — Ale muszę pani zwrócić uwagę, że pozwoliłem sobie na ten kwestjonariusz — przepraszam, na tę kwestę — dlatego że mam jutro wrócić do Paryża na obiad w la Tour d'Argent albo w Hôtel Meurice. Mój kolega — francuski — pan Boutroux ma nam mówić o seansach spirytystycznych — przepraszam, o spirytualjach, które kontrolował.

— Nieświetna jest ta restauracja la Tour d'Argent — rzekła pani Verdurin zniecierpliwiona. — Zdarzało mi się tam jeść fatalnie.

— Ale czy ja się mylę, czy też żywność, którą się jada u pani, jest najwytworniejszą kuchnią francuską?

— Mój Boże, nie jest szczególnie zła — odparła pani Verdurin ulagodzona. — A jeżeli pan przyjdzie na przyszłą środę, będzie lepsza.

— Ale ja jadę w poniedziałek do Algieru, a stamtąd na Przylądek Dobrej Nadziei. I kiedy będę na Przylądku Dobrej Nadziei, nie będę już mógł spotkać mego znakomitego kolega, przepraszam, nie będę mógł spotkać mego konfratra.

I przez posłuszeństwo, załatwiwszy te wsteczne przeprosiny, zaczął jeść z zawrotną szybkością. Ale Brichot był nazbyt szczęśliwy, że może przytoczyć dalsze roślinne etymologie; to zaś co mówił zainteresowało Norwega tak, iż znowu przestał jeść, dając znak że mogą mu zabrać pełny talerz i przejść do następnego dania.

— Jeden z czterdziestu nieśmiertelnych nazywa się Houssaye, czyli miejsce obsadzone ostrokrzewem (*boux*); w nazwisku bystrego dyplomaty pana d'Ormesson odnajdzie pan wiąz, *orme*, *ulmus*, drogi Wergilemu, dający nazwę miastu Ulm; w nazwisku jego kolegów, pana de la Boulaye, *bouleau*, brzozę; u pana d'Aunay, *l'aune*, olchę, u pana de Bussiere, *buis*, bukszpan; u pana Albaret, *l'aubier*, białodrzew (przyrzekłem sobie powtórzyć to Celeście); u pana de Cholet *choux*, kapustę, jabłoń zaś w nazwisku pana de la Pommeraye, którego prelekcję słyszeliśmy — przypominasz sobie, Saniette — w czasach kiedy dobrego Porela wysłano na krańce świata jako prokonsula Odeonji?

— Powiedział pan, że Cholet pochodzi od *choux* — rzekłem. — Czy stacja, którą minąłem przed przybyciem do Doncières, Saint-Frichoux, również pochodzi od kapusty?

— Nie, Saint-Frichoux, to *sanctus Fructuosus*, tak jak *Sanctus Ferreolus* wydał Saint-Fargeau, ale to wcale nie jest normandzkie.

— On wie za dużo rzeczy, nudzi nas — zasepleniła łagodnie rosyjska księżna.

— Tyle jeszcze innych nazw interesuje mnie, ale nie mogę pana pytać o wszystko naraz. I, zwracając się do Cottarda, spytałem: — Czy pani Putbus jest tutaj? Słyszac nazwisko Saniette'a, wymówione przez profesora Brichot, Verdurin rzucił na żonę i na doktora Cottard ironiczne spojrzenie, które zbiło z tropu płochliwego gościa. — Nie, Bogu dzięki odpowiedziała pani Verdurin, która dosłyszała moje pytanie. — Postarałam się odwrócić jej wilegaturę ku Wenecji, uwolniliśmy się od niej na ten rok.

— Ja sam będę miał prawo do dwóch drzew rzekł p. de Charlus — bo niemal że już nająłem domek między Saint-Martin-du-Chêne a Saint-Pierre-des-Ifs.

— Ależ to bardzo blisko stąd! Mam nadzieję, że pan będzie często zaglądał do nas w towarzystwie Charlie Morel. Trzeba się tylko porozumieć z naszą gromadką co do pociągów; jest pan o dwa kroki od Doncières — rzekła pani Verdurin, która nie zносиła aby ktoś przyjeżdżał innym pociągiem i nie o tych godzinach, na które wysyłała powozy. Wiedziała, jak dalece stroma droga do Rafespeliere, nawet jeżeli się objeżdżało poza Féterne (co opóźniało przyjazd o pół godziny), jest ciężka, i bała się, że ci co przyjadą osobno, nie znajdą wehikulów, lub też, nie ruszywszy się w istocie z domu, wezmą za pretekst to że jakoby nie znaleźli koni w Douville-Féterne a nie czuli się na siłach wspinania się pieszo. P. de Charlus odpowiedział na zaproszenie jedynie niemym ukłonem.

— Nie musi być łatwy na codzien, ma minę strasznie nadętą — szepnął do Skiego doktor, który sam bardzo prosty mimo powierzchownej warstwy dumy, nie starał się ukryć, że Charlus drażni jego snobizm. — Nie wie z pewnością, że we wszystkich miejscach kąpielowych, a nawet w Paryżu w klinikach, lekarze, dla których jestem oczywiście „wielkim mogolem”, uważają sobie za zaszczyt przedstawiać mnie wszelkiej arystokracji która się przydarzy i która ze mną nie dmie. To mi nawet dosyć uprzyjemnia pobyt w miejscach kąpielowych — dodał niedbale. — Nawet w Doncières, lekarz pułkowy, który jest domowym lekarzem pułkownika, zaprosił mnie z nim na śniadanie, upewniając, że moja sytuacja daje mi tytuły do obiadu z samym generałem. A ten generał, to był jegomość *de* coś tam. Nie wiem, czy jego pergaminy nie są dawniejsze od papierów tego barona. — Niech pan się nie gorącuje dla tych głupich siedmiu pałek — odparł półgłosem Ski i dodał coś dwuznacznego, czego nie dosłyszałem zajęty słuchaniem tego, co Brichot mówił do barona.

— Nie, prawdopodobnie — z żalem muszę to panu powiedzieć — ma pan tylko jedno drzewo, bo o ile Saint-Martin-du-Chêne jest oczywiście *Sanctus Martinus juxte quercum*, w zamian za to słowo *if* to może być poprostu źródłosłów, *ave, eve*, co znaczy „wilgotny”, jak w Aveyron, Lodève, i co się przechowało w słowie *évier*, zlew. To woda, *l'eau*, która po bretońsku zwie się Ster, Stermaria, Sterlaer, Sterbouest, Ster-en-Dreuchen.

Nie słyszałem końca, bo mimo całej przyjemności jaką mi sprawiło nazwisko Stermaria, mimowoli słyszałem Cottarda, koło którego siedziałem, szepczącego do Skiego:

— A, ależ ja nie wiedziałem. W takim razie to jest jegomość, można powiedzieć obrotny. Jakto! on należy do tego cechu. A przecie nie ma worków pod oczami. Będę musiał uważać na swoje nogi pod stołem, mógł by jeszcze zapalać do mnie. Zresztą, to mnie nie dziwi zbyttnio. Widuję wielu „dobrze urodzonych” pod tuszem, w stroju Adama; wszystko mniej lub więcej degeneraci. Nie gadam z nimi, bo ostatecznie jestem osobą urzędową, toby mi mogło zaszkodzić. Ale wiedzą doskonale, kto ja jestem.

Saniette, którego przestraszyło odezwanie się Brichota, zaczynał oddychać, jak ktoś kto, bojąc się burzy, widzi, że po błyskawicy nie nastąpił żaden pomruk grzmotu; naraż usłyszał pana Verdurin, zadającego mu pytanie i prażącego nieszczęśliwca wzrokiem w czasie odpowiedzi, tak aby go z punktu zbić z tropu i nie dać mu przyjść do siebie.

— Ale pan się zawsze z tem tań, że pan uczęszcza na poranki do Odeonu, Saniette?

Drżąc niby rekrut przed sierżantem sadystą, Saniette skurczył swoją odpowiedź do najmniejszych rozmiarów iżby laniej mogła się umknąć ciosom: „Raz, na *Chercheuse*”.

— Co on gada! — ryknął Verdurin, z miną zarazem zbrzydzoną i wściekłą, marszcząc brwi, jakgdyby trzeba było całej jego uwagi na to aby pojąć coś niezrozumiałego. Po pierwsze, nikt nie rozumie co pan mówi: co pan tam masz takiego w ustach? — spytał Verdurin, coraz to brutalniejszy, robiąc aluzję do „klusków w gębie” Saniette’a.

— Biedny Saniette, ja nie chcę żeby go dręczyć — rzekła pani Verdurin tonem fałszywie litosnym, raczej poto aby nikomu nie zostawić wątpliwości co do obrażających intencji męża.

— Byłem na Ch... Che... che... che... staraj się pan mówić jasno — rzekł Verdurin; nawet pana nie słyszę.

Prawie wszyscy wierni pękali ze śmiechu, robiąc wrażenie bandy ludożerców, w których rana zadana białemu rozbudziła smak krwi. Bo zmysł naśladownictwa i brak odwagi rządzą skupieniami towarzyskimi tak jak tłumami. I wszyscy śmieją się z kogoś, kto jest przedmiotem kpin, choćby go mieli podziwiać w dziesięć lat później w kole gdzie jest przedmiotem podziwu. W taki sam sposób lud wypędza lub wita okrzykami królów.

— No, to nie jego wina — rzekła pani Verdurin.

— I nie moja; nie chodzi się na obiady, kiedy się już nie umie mówić.

— Byłem na *Chercheuse d’esprit* Favarta.

— Co! to *Chercheuse d’esprit* nazywa pan *Chercheuse*? A! to wspaniale, mógłbym sto lat myśleć i nie wpadłbym na to — wykrzyknął Verdurin, który, w innym wypadku, byłby z miejsca uznał że ktoś nie jest kulturalny, że „nie chwyta”, usłyszawszy że ów ktoś wymawia pełny tytuł niektórych dzieł. Naprzykład trzeba było mówić *Chory*, albo *Mieszczanin*, i ktoś ktoby dodał „z urojenia”, albo „szlachcicem”, dowiódł by że „nie należy do cechu”, tak samo jak w salonie ktoś dowodzi że nie jest człowiekiem z towarzystwa, mówiąc Montesquiou-Fezensac, zamiast Montesquiou⁴.

— Ależ w tem nie ma nic osobliwego — rzekł Saniette zdyszany z emocji ale uśmiechnięty, mimo iż nie miał do tego ochoty. Na to pani Verdurin wybuchnęła. — Och! owszem! — wykrzyknęła parszkając śmiechem. — Może pan być pewny, że nikt w świecie nie zgadłby iż chodzi o *Chercheuse d’Esprit*.

Verdurin podjął łagodnym głosem, zwracając się równocześnie do Brichota i do Saniette’a: — To ładna rzecz zresztą, ta *Chercheuse d’Esprit*.

To proste, poważnie wygłoszone zdanie, w którym nie możnaby znaleźć cienia złośliwości, sprawiło biednemu Saniette nieopisaną ulgę i wznieciło w nim tyleż wdzięczności co gdyby to była uprzejmość. Nie mógł wyrzec ani słowa, trwał w pełnym szczęścia milczeniu. Brichot był wymowniejszy.

— To prawda, odparł; i gdyby ją podać za utwór jakiego sarmackiego lub skandynawskiego autora, możnaby przeprzeć kandydaturę tej *Chercheuse d’Esprit* na wakans arcydzieła. Ale, powiedzmy to bez uchybienia ceniom milego Favart, on nie miał nic ibsenowskiego. (Tu Brichot zacerwienił się po uszy, pomyślawszy o norweskim filozofie, który miał minę nieszczęśliwą, bo napróżno starał się dojść co za roślinę mógł przedstawić „buzszpan”, który Brichot zacytował przed chwilą *à propos* pana Bussiere). Zresztą satrapia Porela jest teraz zajęta przez funkcjonariusza, który jest prawowiernym tolsto-

⁴Montesquiou — hr. Robert de Montesquiou, do którego często spotyka się aluzje w tym utworze, był wieloletnim przyjacielem Prusta i mistrzem jego młodości. [przypis redakcyjny]

już, bardzo więc możliwe jest, że ujrzymy pod sklepieniami Odeonu *Annę Kareninę* lub *Zmartwychwstanie*.

— Znam portret Favarta, o którym pan mówi — rzekł Charlus. — Widziałem jego ładną odbitkę u hrabiny Molé.

Nazwisko hrabiny Molé wywarło silne wrażenie na pani Verdurin.

— A, pan bywa u pani de Molé! — wykrzyknęła. Myślała, że mówi się *hrabina Molé*, *pani Molé*, jedynie przez skrót, tak jak słyszała że się mówi *Roban*, albo, jak ona sama mówiła wgardliwie *pani La Trémoille*. Nie wątpiła, że hrabina Molé, znająca królową grecką i księżną de Caprarola, ma więcej niż ktokolwiek prawo do „partykuły”, i na ten raz zdecydowała się przyznać ją osobie tak świetnej, która okazała się dla niej bardzo uprzejma. Toteż, aby okazać że mówi tak umyślnie i nie żałuje hrabinie owego „de”, ciągnęła: — Ależ ja wcale nie wiedziałam, że pan zna panią de Molé! (tak jakby to było podwójnie niezwykle, i to że p. de Charlus zna ową damę, i to iż pani Verdurin nie wiedziała że on ją zna. Otóż „świat” — lub przynajmniej to co p. de Charlus tak nazywał — tworzy całość stosunkowo jednolitą i zamkniętą. O ile zrozumiałe jest, że w mieszanym ogromie mieszczaństwa adwokat powie komuś, kto zna jego szkolnego kolegę: „Ale skąd, u licha, może pan go znać?” o tyle wzamian podziwiać traf, który mógł zetknąć pana de Charlus z hrabiną Molé, jest mniej więcej tem samym, co dziwić się, że ktoś rozumie sens słowa *kościół* lub *las*. Co więcej, nawet gdyby taka znajomość nie wypływała całkiem naturalnie z praw świata, nawet gdyby była przypadkowa, cóż byłoby dziwnego, że pani Verdurin nie wie o tem, skoro widziała barona pierwszy raz, a stosunki jego z panią Molé nie były zgoła jedyną rzeczą, której o nim nie wiedziała, bo, ściśle mówiąc, nie wiedziała o nim nic).

— Kto to grał tę *Chercheuse d'esprit*, mój drogi Saniette? — spytał Verdurin.

Mimo iż czując że burza minęła, ex-archiwista wahał się z odpowiedzią.

— Ale bo też — rzekła pani Verdurin — ty go onieśmielasz; kpisz sobie ze wszystkiego co powie, a potem chcesz, żeby odpowiadał! No Saniette, powiedz pan kto to grał, dostanie pan galantyny do papierka — rzekła pani Verdurin, robiąc złośliwą aluzję do ruiny, w jaką Saniette popadł samochcąc, ratując jednego z przyjaciół.

— Przypominam sobie tylko, że Samary grała Zerbinę.

— Zerbinę? Co to takiego! — wrzasnął pan Verdurin tak jakby się paliło.

— To *emploi* starego repertuaru, styl kapitana Fracasse, tak jakby ktoś powiedział *Waligóra*, *Pedant*.

— Sameś pedant, Zerbin! Nie, ależ on ma fioła — krzyczał Verdurin.

Pani Verdurin patrzyła na gości śmiejąc się, tak jakby chciała usprawiedliwić Saniette'a.

— Zerbin! on sobie wyobraża, że wszyscy od razu wiedzą co to znaczy. Jesteś jak pan de Longepierre, najgłupszy człowiek jakiego znałem, który powiedział tu kiedyś potocznie „Banat”. Nikt nie wiedział, o czym on mówi. W końcu dowiedziano się, że to jest prowincja Serbji.

Aby położyć koniec męce Saniette'a, którą odczuwałem bardziej od niego samego, spytałem Brichota, czy wie co znaczy Balbec.

— Balbec jest prawdopodobnie zepsute Dalbec — odparł. — Trzebaby zbadać akty królów Anglji, suzerenów Normandji, bo Balbec zawisłe było od baronji Duwru, z której to przyczyny powiadano często Balbec d'outre-mer, Balbec-en-Terre. Ale sama baronja Duwru była zawisła od biskupstwa Bayeux i mimo praw, jakie mieli czasowo Templariusze nad opactwem począwszy od Ludwika d'Harcourt, patriarchy Jerozolimy i biskupa Bayeux, biskupi tej djecezji byli kolatorami w dobrach Balbec. Wyjaśnił mi to dziekan z Doville, człowieczek łysy, wymowny, narwany i smakosz, żyjący w obserwancji reguł Brillat-Savarina; ten wyłożył mi, w terminach ociupinkę sybilińskich, owe dość niepewne mądrości, racząc mnie równocześnie cudownymi „frytkami”.

Podczas gdy Brichot uśmiechał się aby podkreślić humor mieszczący się w łączeniu rzeczy tak rozbieżnych i używaniu dla rzeczy pospolitych języka ironicznie górnego, Saniette silił się ulokować jakiś dowcip, zdolny zatrzeć jego poprzednie upokorzenie. Dowcip był z gatunku zwanego niegdyś *kalamburem*, ale w zmienionej formie, ponieważ istnieje ewolucja kalamburów jak ewolucja rodzajów literackich, epidemij które znikają zastąpione innymi, etc... Niegdyś formą konceptu były t. zw. „szczyty”. Ale ten rodzaj był przestarzały, nikt go już nie używał, jedynie Cottard zdolny był czasem powiedzieć

przy partyjce pikiety: „Czy pan wie, jaki jest szczyt roztargnienia? Wziąć edykt nantejski (*l'édit de Nantes*) za angielską lady”.

Szczyty zastąpiono przydomkami. W gruncie, był to zawsze ten sam stary rodzaj, ale ponieważ przydomki były w modzie, nie widziano tego. Nieszczęściem dla Saniette'a, kiedy te koncepty były nie jego, a najczęściej były nie znane „paczce”, wygłaszał je tak nieśmiało, że mimo śmiechu jakim je kończył aby podkreślić ich humorystyczny charakter, nikt nie rozumiał. A jeżeli przeciwnie koncept był jego, ponieważ zwykle Saniette wpadł na niego w rozmowie z którymś z wiernych, ów powtarzał przywłaszczając go sobie, tak że koncept był już znany, ale nie pod autorstwem Saniette'a. I kiedy wyruszył z takim dowcipem, koncept okazywał się znany; ale przez to właśnie że Saniette był jego autorem, pomawiano go o plagjat.

— Otóż — ciągnął Brichot — *Bec* po normandzku znaczy strumień: istnieje opactwo *Bec*, *Mobec* czyli strumień na bagnie (*Mor* albo *Mer* znaczyło *marais*, bagno, jak w *Morville*, albo w *Bricquemar*, *Alvimare*, *Cambremer*). *Bricquebec*, strumień z wyżyn, pochodzi od *Briga*, miejsce warowne, jak w *Briqueville*, *Bricquebosc*, *Brie*, *Briand*, lub od *brice*, most, to samo co *bruck* po niemiecku (*Innsbruck*), a w angielskim *bridge*, które kończy nazwy tylu miejscowości (*Cambridge* itd.). Ma pan w Normandji jeszcze wiele innych *bec*: *Caudebec*, *Bolbec*, *Robec*, *Bec-Hellouin*, *Becquerel*. To jest normandzka forma germańskiego *Bach*, *Offenbach*, *Ansbach*. *Varaguebec*, od starego słowa *varaigne*, równoważnego z *garenne*, lasy, stawy chronione. Co się tyczy *Dal* — podjął Brichot — to jest forma *thal*, *vallée*, dolina: *Darnetal*, *Rosendal*, a nawet — aż koło *Louviers* — *Becdal*. Rzeka, która dała nazwę miejscowości *Dalbec*, jest zresztą urocza. Widziana ze skał nadbrzeżnych (*falaise*, po niemiecku *fels*: ma pan nawet niedaleko stąd na wyżynie ładne miasteczko *Falaise*), sąsiaduje niemal z iglicami wież kościoła — w rzeczywistości bardzo odległego — i robi wrażenie że je odbija.

— Wyobrażam to sobie — rzekłem — to efekt optyczny, który *Elstir* specjalnie lubi. Widziałem to na kilku jego szkicach.

— *Elstir*! Pan zna naszego „mistrza”? — wykrzyknęła pani *Verdurin*. Wie pan, że ja z nim byłem bardzo, bardzo blisko. Dzięki niebu, już go nie widuję. Nie, ależ spytajcie *Cottarda*, *Brichota*: miał u mnie stale swoje nakrycie przy stole, przychodził codziennie. To człowiek, o którym można powiedzieć, że mu nie posłużyła zdrada naszej paczki. Pokażę panu za chwilę kwiaty, które malował dla mnie; zobaczy pan, co za różnica z tem co robi teraz i czego nie lubię wcale, ale to ani ani! Jaktó! przecie namalował na moje zamówienie portret *Cottarda*, nie licząc mnóstwa moich portretów i szkiców.

— I zrobił profesorowi włosy lila — rzekła pani *Cottard*, zapominając że wówczas mąż jej nie był nawet docentem. — Nie wiem, proszę pana, czy pan znajduje, że mąż ma włosy lila.

— To nic — rzekła pani *Verdurin* podnosząc głowę z miną pełną wzdargy dla pani *Cottarda* a podziwu dla artysty; to był kawał tęgiego kolorysty, wspaniałego malarza. Podczas gdy teraz — rzekła, zwracając się do mnie — nie wiem czy pan nazwie malarstwem wszystkie te kompozycje, te wielkie kobyły, które wystawia od czasu jak nie bywa u mnie! Dla mnie to malatura, szablon, brak temu plastyki, indywidualności. Odnalazłoby się tam wszystkich potrosze.

— On wskrzesza wdzięk XVIII wieku, ale unowocześniony — rzekł spiesźnie *Saniette*, zelektryzowany i zachęcony moją uprzejmością. Ale mnie bliższy jest *Helleu*.

— Nie ma żadnego związku między tem a *Helleu* — rzekła pani *Verdurin*.

— Owszem, to jest XVIII wiek z gorączką. To *Watteau* parowy.

I *Saniette* zaczął się śmiać.

— Och, znane, arcyznane, od lat mnie tem częstują — rzekł *Verdurin*, któremu w istocie *Ski* zaprodukował swego czasu ten koncept, ale jako swój własny. To jest prawdziwy pech, że kiedy pan raz coś powiedział zrozumiale i coś dość zabawnego, to jest nie pańskie.

— Szczerze mnie to martwi — podjęła pani *Verdurin* — bo to był zdolny człowiek, zmarnował wcale ładny temperament malarski. Ba, gdyby został tutaj! Wyszedłby na pierwszego pejzażystę naszych czasów. I to kobieta ściągnęła go tak nisko! Nie dziwi mnie to zresztą, bo on jako człowiek był miły, ale pospolity. W gruncie, natura raczej mierna. I powiem panu, że m to wyczuła odrazu. Bogiem a prawdą, nie interesował mnie

nigdy. Lubiłam go, to wszystko. Przytem co za brudas. Czy pan lubi ludzi, którzy się nigdy nie myją?

— Co to jest, takie ładne w tonie, co myjemy? — spytał Ski.

— To się nazywa mus truskawkowy — rzekła pani Verdurin.

— Ależ to jest cza-ru-jące. Trzebaby do tego wydobyć parę butelek Château-Margaux, Château-Laffite, Porto.

— Nie umiem wam powiedzieć, jak on mnie bawi, on nie pije nic prócz wody — rzekła pani Verdurin, uciechą, jaką znajdowała w tym żarcie, chcąc pokryć przestrasz, o jaki przyprowadziła ją ta rozrzutność.

— Ale to nie poto żeby pić — odparł Ski; — napełni pani wszystkie kieliszki, przyniosą cudowne brzoskwinie, olbrzymie morele, o tam, nawprost zachodu słońca, to będzie przepych w stylu najpiękniejszego Veronese.

— I będzie kosztowało prawie równie drogo — mruknął Verdurin.

— Ale zabierzcie te sery tak brzydkie w tonie — rzekł Ski, starając się wydrzeć talerz „pryncypałowi”, który bronił swego *gruyère* ze wszystkich sił.

— Pojmuje pan, że ja nie tęsknię za Elstirem — rzekła pani Verdurin; nasz Ski to inny gatunek artysty! Elstir, to praca, to człowiek który nie umie się oderwać od swego płótna. To dobry uczeń, prymus konkursowy. Ski, ba, ten nie zna nic poza swoją fantazją. Potrafi zapalić papierosa w pół obiadu.

— W gruncie rzeczy, ja nie wiem, czemu pani nie chciała przyjmować jego żony — rzekł Cottard — byłby tu dotąd jak dawniej.

— Słuchaj-no pan, profesorze, czy pan nie raczy być grzeczny? Ja nie przyjmuję tutaj ladacznic — rzekła pani Verdurin, która przeciwnie uczyniła co mogła aby ściągnąć z powrotem Elstira, choćby z żoną. Ale zanim się pobrali, starała się ich pokłócić; powiedziała Elstirowi, że kobieta którą kocha jest głupia, brudna, puszczańska, że kradła. Na jeden raz nie udało się jej pokłócić ich. Elstir zerwał, ale z salonem Verdurinów; i wieszował sobie tego, jak nawróceni błogosławią chorobę lub nieszczęście, które ich odwróciły od świata i ukazały im drogę zbawienia.

— Wspaniały jest profesor — mówiła pani Verdurin. — Niech pan powie odrazu, że mój salon to dom schadzek! Moznaby rzec, że pan nie wie, kto to jest pani Elstir. Wolalabym raczej przyjąć ostatnią z dziewczyn publicznych! O, nie, na takie rzeczy ja nie idę. Zresztą, powiem panu, że byłoby z mojej strony tem większem głupstwem wdawać się w kompromisy z żoną, skoro mąż mnie już nie interesuje. To staromodne, to już nawet nie jest narysowane!

— To zadziwiający u człowieka o takiej inteligencji — rzekł Cottard.

— Och, nie — odparła pani Verdurin — nawet w epoce kiedy miał talent — bo on go miał, ladaco, miał go po dziurki w nosie — co drażniło u niego, to absolutny brak inteligencji.

Aby wydawać ten sąd o Elstirze, pani Verdurin nie czekała zwady z malarzem, ani tego aby przestała lubić jego malarstwo. A to stąd, że nawet w czasie kiedy należał do „paczki”, zdarzało się Elstirowi spędzać całe dnie z jakąś kobietą, którą, słusznie czy niesłusznie, pani Verdurin uważała za „gęś”, co, wedle jej zdania, nie przystało człowiekowi inteligentnemu.

— Nie — rzekła tonem sędziego odmierzającego sprawiedliwość — sędzę że on i jego żona są jak stworzeni dla siebie. Bóg świadkiem, nie znam w świecie czegoś nudniejszego niż ona: oszalałabym, gdyby mi przyszło spędzić z nią dwie godziny. Ale powiadają, że on ją ma za bardzo inteligentną. Bo też trzeba sobie powiedzieć, nasz „mistrz” był zwłaszcza *potężnie głupi*: widziałam go, jak bywał olśniony osobami wprost nie do pojęcia, pocziwami idjotkami, których za nic nie ścierpiałoby się w naszej paczce. I co powiecie! on pisywał do nich, rozprawiał z niemi, on, Elstir! To nie przeszkadza, że miał strony urocze, och! urocze, urocze, i rozkosznie niedorzeczne oczywiście. (Bo pani Verdurin była przekonana, że ludzie naprawdę wybitni robią tysiące szaleństw. Fałszywy pogląd, w którym jest jednak coś prawdy. Niewątpliwie, owe „szaleństwa” są nieznośne. Ale zwichnięcie równowagi, które objawia się dopiero na dłuższą metę, jest skutkiem owładnięcia mózgu ludzkiego przez subtelnosci, do których nie jest pospolicie stworzony. Tak iż dziwactwa uroczych ludzi przywodzą do rozpacz, ale nie ma prawie uroczych ludzi, którzy by skądinąd nie byli dziwakami).

— O, zaraz będę mogła panu pokazać jego kwiaty — rzekła do mnie pani Verdurin, widząc iż mąż daje jej znaki, że można wstać. I podała znów ramię panu de Cambremer. Verdurin chciał się z tego powodu usprawiedliwić przed panem de Charlus, z chwilą gdy baron opuścił panią de Cambremer; chciał mu podać swoje racje, zwłaszcza dla przyjemności porozmawiania o tych światowych odcieniach z człowiekiem utytułowanym, chwilowo niższym od tych, którzy mu wyznaczyli miejsce wedle swego uznania. Ale na początek chciał pokazać panu de Charlus, że intelektualnie ceni go zbyt wysoko, aby przypuszczać iż on może zwracać uwagę na takie drobnostki.

— Niech pan daruje, że mówię o tych błahostkach — zaczął — bo zgaduję, jak mało pan do nich przykłada wagi. Mieszczkańskie dusze zwracają na to uwagę, ale inni, artyści, ludzie którzy-są naprawdę z „cechu” kpią sobie z tego. A od pierwszych słów, jakiegoś zamienili, zrozumiałem, że pan jest z tych...

P. de Charlus, który dawał temu wyrażeniu sens zgoła odmienny, wzdrygnął się. Po oczkowaniach doktora, brutalna szczerłość pana domu zatknęła go. „Niech pan nie protestuje, drogi panie, należy pan, to jasne jak dzień — podjął Verdurin. — Niech pan zauważy, ja nie wiem, czy pan uprawia jaką sztukę, ale to nie jest konieczne. To nawet nie zawsze jest wystarczające. Degrange, który właśnie umarł, grał doskonale, z pierwszorzędną techniką, ale nie był „z tych”; czuło się zaraz, że on nie należy do cechu. Brichot też nie. Morel tak, moja żona tak, czuję że pan tak...

— Co mi pan miał powiedzieć — przerwał p. de Charlus, który uspokoił się nieco co do intencji Verdurina, ale wolałby aby gospodarz mniej głośno krzyczał te dwuznaczne słowa.

— Posadziliśmy pana po lewej stronie — odparł Verdurin.

Z wyrozumiałym, dobrodusznym i impertynenckim uśmiechem p. de Charlus odpowiedział: „Ale cóż znowu! To nie ma żadnego znaczenia, *tutaj!* I zaśmiał się śmiechem, który mu był właściwy — śmiechem odziedziczonym prawdopodobnie po jakiejś bawarskiej lub lotaryńskiej babce, która go znowuż odziedziczyła w zupełnie identycznym brzmieniu po swojej babce, tak iż śmiech ów rozlegał się, nieodmienny, od sporej ilości wieków, w starych małych dworach Europy i że smakowano jego szacowną jakość, niby ton dawnych instrumentów, dziś już niezmiernie rzadkich. Są chwile, w których aby kogoś całkowicie odmalować, trzeba by dołączyć do opisu fonetyczną imitację: i tak, opis osobowości pana de Charlus zawsze będzie niekompletny przez brak tego tak subtelnego, tak lekkiego śmiechu; podobnie jak niektórych dzieł Bacha nigdy nie odda się wiernie, bo orkiestrom brak owych trąbek o tak specjalnym dźwięku, na które autor pisał którąś partję.

— Ale — wyjaśnił Verdurin dotknięty — zrobiliśmy to umyślnie. Ja nie przywiązuję żadnego znaczenia do tytułów — dodał z owym wzdrygniętym uśmiechem, jaki tyle znajomych mi osób miało (w przeciwieństwie do mojej babki i matki) wobec czegoś czego nie posiadają, aby w ten sposób ludziom posiadającym to odmówić wyższości. Ale ostatecznie — ciągnął Verdurin — skoro właśnie jest u nas pan de Cambremer i skoro on jest margrabią, a pan tylko baronem...

— Przepraszam pana — odparł wyniośle p. de Charlus zdumionemu Verdurinowi, ale ja jestem także dukiem Brabancji, damoiseau de Montargis, księciem d’Oleron, de Carency, de Viazeggio i des Dunes. Zresztą to jest absolutnie bez znaczenia. Niech się pan tem nie trapi — dodał baron z subtelnym uśmiechem, który zakwitnął na jego ustach przy tych ostatnich słowach. Od razu poznałem, że pan nie jest obyty.

Pani Verdurin podeszła do mnie, aby mi pokazać kwiaty Elstira. O ile sam akt prozowanego obiadu, oddawna mi tak obojętny, wprowadził mnie przeciwnie — w tej formie, która go odnawiała całkowicie: droga nad morzem, następnie wspinanie się powozem na dwieście metrów nad poziom — w rodzaj pijaństwa, pijaństwo to nie rozprószyło się w la Raspelière. „O, niech pan spojrzysz — rzekła pani Verdurin, pokazując duże i wspaniałe róże Elstira, których tłusty szkarłat i pienista białosc odcinały się nieco zbyt śmietankowym refleksem od żardiniery w której tkwiły. Czy pan myśli, że on miałby jeszcze dość wigoru, żeby go uchwycić? Czy to nie jest kapitalne! A przytem, jakie to piękne jako materja, miałyby się ochotę pomacać. Nie umiem panu powiedzieć, jakie to było zabawne przyglądać się jak on to malował. Czuć było, jak go pasjonuje szukanie tego efektu.

I spojrzenie pryncypalki zatrzymało się marząco na podarku artysty, streszczającym nie tylko jego wielki talent, ale ich długą przyjaźń, przetrwała już tylko w tych pamiątkach; poza kwiatami, zerwanymi niegdyś przez artystę dla niej, zdawało się pani Verdurin, że widzi piękną rękę, która je namalowała, w ciągu jednego ranka, w pełni ich kraszy; tak iż jedne na stole, drugie oparte o fotel jadalni, mogły figurować wówczas nawprost siebie przy śniadaniu pryncypalki: róże jeszcze żywe i ich nawpół podobny portret. Tylko nawpół, bo Elstir nie mógł spojrzeć na kwiat inaczej niż przenosząc go równocześnie w ten wewnętrzny ogród, w którym trzeba nam na zawsze pozostać. Pokazał w tej akwareli zjawę róż takich jakie widział i jakich bez niego nie poznałoby się nigdy; tak iż można powiedzieć, że ten malarz, jak zmysłny ogrodnik, wzbogacił rodzinę róż nową odmianą.

— Z dniem w którym opuścił naszą paczkę, to był człowiek skończony. Podobno moje obiady kradły mu czas, tamowałam rozwój jego *geniuszu* — rzekła ironicznie pani Verdurin. — Jakgdyby obcowanie z kobietą taką jak ja mogło nie być zbawienne dla artysty! — wykrzyknęła z dumą.

Tuż obok nas, p. de Cambremer, który już był usiadł, widząc stojącego pana de Charlus, zaznaczył lekko gestem, że chce wstać i ustąpić krzesła. Gotowość ta była może wyrazem jedynie intencji margrabiego, zdawkowej grzeczności. P. de Charlus wolał nadać jej sens powinności, do jakiej prosty szlachcic poczuwa się wobec udzielnego księcia; ale uznał, iż najlepszym sposobem stwierdzenia swoich praw, będzie uchylić się od tego przywileju. Toteż wykrzyknął: „Ale cóż znowu! Ależ panie! Co za pomysł!” Podstępnie żywy ton tego protestu miał już coś bardzo Guermantesa, a bardziej jeszcze rozkazujący, zbyteczny i poufały gest, jakim p. de Charlus zaciążył obiema rękami — jakgdyby chcąc go zmusić aby usiadł — na ramionach pana de Cambremer (który wcale nie wstał):

— Cóż znowu, drogi panie! — nalegał baron — jeszczeby tego brakowało! Nie ma żadnej racji! W naszych czasach chowa się to dla księżąt krwi.

Tak samo jak pani Verdurin tak i Cambremerom nie sprawiłem przyjemności swoim entuzjazmem dla ich siedziby: pozostałem bowiem zimny wobec piękności, na które oni zwracali moją uwagę, a egzaltowałem się mętnymi reminiscencjami; czasem nawet wyznawałem im swój zawód, znajdując jakąś rzecz w niezgodzie z tem, o czem nazwa jej kazała roić. Oburzyłem panią de Cambremer, mówiąc że myślałem iż la Raspelière jest bardziej wiejska. W zamian za to, zatrzymałem się z upojeniem, aby wdechać wiatr, który wiał przez szparę w drzwiach. „Widzę że pan lubi przeciagi!” rzekli. Pochwała zielonej lustryny, zasłaniającej stłuczoną szybę, również nie zyskała powodzenia. „Cóż za ohyda!” wykrzyknęła margrabina. Szczytem było, kiedy powiedziałem: „Największą radość miałem zaraz z początku. Kiedy usłyszałem własne kroki rozbrzmiewające w sieni, miałem wrażenie że się znalazłem w kancelarii wiejskiego urzędu gminnego, gdzie wisi mapa powiatu”. Tym razem, pani de Cambremer stanowczo odwróciła się plecami.

— Nie zasmuciło cię zbytnio to wszystko? — spytał jej mąż z tą samą współczującą troskliwością, z jaką by się informował jak żona zniosła żałobną ceremonję. Są tu ładne rzeczy. Ale, o ile pewne reguły niezawodnego smaku nie zakreślą nieżyczliwości nieodpartych granic — potrafi ona wszystko skrytykować w osobach lub w domu ludzi, którzy zajęli wasze miejsce. Toteż pani de Cambremer odparła: „Tak, ale nie są na swoim miejscu. I zaprawdę, czy w istocie takie ładne?”

— Zauważyłaś — rzekł p. de Cambremer ze smutkiem nie pozbawionym pewnego hartu — są w tym salonie płótna Jouy, wytarte aż do nitki, rzeczy, do cna zużyte!

— A ta materja w wielkie róże, jak derka chłopska! — rzekła pani de Cambremer, której nawskroś sztuczna kultura uznawała jedynie transcendentalną filozofję, impresjonistyczne malarstwo i muzykę Debussy’ego. I aby krytykować nie tylko w imię zbytku i lecz i w imię smaku, dodała: — I dali w oknach zazdrostki! Cóż za pogwałcenie stylu! Cóż chcesz, ci ludzie nie mają o tem pojęcia, gdzież mieli się nauczyć? To muszą być bogaci hurtownicy, którzy się wycofali z interesów. I tak nieźle, jak na nich.

— Świeceńniki są wcale ładne — rzekł margrabia, przyczem nikt by nie zgadł, czemu wyłącza świeceńniki, tak samo jak nieuchronnie, za każdym razem kiedy była mowa o kościele — czy to była katedra w Chartres, w Reims, w Amiens lub kościół w Balbec — zawsze wychwalał skwapliwie: „organy, ambonę i dzieła miłosierdzia”.

— Co się tyczy ogrodu, nawet nie mówmy... — rzekła pani de Cambremer. — To istna katastrofa. Te ścieżki całkiem zwichrowane!

Skorzystałem z tego że pani Verdurin kazała podać kawę, aby rzucić okiem na list, który mi oddał pan de Cambremer a w którym matka jego zapraszała mnie na obiad. W tych kilku wierszach, pismo zdradzało indywidualność, którą odtąd miałem rozpoznać wśród wszystkich innych, bez potrzeby uciekania się do hipotezy specjalnych piór, tak samo jak malarz, dla wyrażenia oryginalnej wizji, nie potrzebuje rzadkich i tajemniczo sporządzanych farb. Nawet paralityk, dotknięty po ataku agrafją i patrzący na litery jedynie jak na niezrozumiałe rysunek, odgadłby, że pani de Cambremer wiezie się ze starej rodziny, gdzie entuzjastyczny kult literatury i sztuki przewietrzył nieco szlacheckie tradycje. Odgadłby również, około którego roku margrabina nauczyła się równocześnie pisać i grać Chopina. Była to epoka, gdy ludzie dobrze wychowani obserwowali reguły uprzejmości oraz epoka t. zw. *trzech przymiotników*. Pani de Cambremer kombinowała obie. Jeden pochwalny przymiotnik nie wystarczał jej; zawsze po nim następował (po kresce) drugi; potem (po drugiej kresce) trzeci. Ale właściwością jej było, że wbrew ich towarzyskiemu i literackiemu celowi, kolejność trzech przymiotników przybierała w bicikach pani de Cambremer postać nie progresji ale *diminuendo*. Pani de Cambremer powiadała np. w tym pierwszym liście, że widziała Roberta de Saint-Loup i że bardziej niż kiedykolwiek oceniła jego przymioty „jedyne — rzadkie — istotne”; że Saint-Loup ma być jeszcze u niej z jednym z przyjaciół (właśnie z tym, który kochał się w jej synowej), i że, jeżeli zechce przyjechać z nimi lub bez nich na obiad do Féterne, będzie *zachwycona — szczęśliwa — rada*. Może to płynęło stąd, że chęć uprzejmości była u niej większa niż żyzność wyobraźni i bogactwo słownika; pani de Cambremer uważała za potrzebne wydawać trzy wykrzykniki, ale w drugim i w trzecim umiała dać jedynie wåtlesze echo pierwszego. Niechby się znalazł bodaj jeszcze czwarty, a z pierwotnej uprzejmości nicby już nie zostało. Wreszcie, przez pewne wyrafinowanie prostoty, które z pewnością musiało robić wrażenie w rodzinie a nawet wśród znajomych, pani de Cambremer przywykła zastępować słowo „szczerzy” (które mogłoby się w końcu wydawać kłamliwe) słowem „prawdziwy”. I aby tem lepiej okazać, że w istocie chodzi o coś szczerzego, łamała konwencjonalny szyk, który kazałby kłaść *prawdziwy* przed rzeczownikiem, i kładła go mężnie po nim. Listy jej kończyły się tak: „Niech pan wierzy w moją przyjaźń prawdziwą. Niech pan wierzy w moją sympatję prawdziwą”. Na nieszczęście, zmechanizowało się to tak, że afektowana szczerłość robiła wrażenie kłamliwej grzeczności bardziej niż staroświeckie formuły, o których sensie już się nie myśli. Utrudniał mi zresztą czytanie zgiełk rozmów, nad które wybijał się donośniejszy głos pana de Charlus; ten nie poniechał swojego tematu i mówił do pana de Cambremer:

— Nalegając abym zajął pańskie miejsce, przypomniał mi pan pewnego jegomościa, który wystosował dziś do mnie list, adresując na kopercie: *Jego Wysokość baron de Charlus*, a zaczął list od *Wasza Dostojność*.

— W istocie, pański korespondent przesolił trochę — odparł p. de Cambremer pozwalając sobie na dyskretną wesołość.

P. de Charlus sprowokował tę wesołość, ale jej nie podzielił. — W gruncie — rzekł — drogi panie, zważ pan, iż, biorąc heraldycznie, on miał rację. Nie robię z tego — jak się pan domyśla — kwestji osobistej; mówię tak, jakby chodziło o kogo innego. Ale cóż pan chce, historia jest historją; nic na to nie poradzimy i nie w naszej mocy jest ją zmienić. Nie będę panu cytował cesarza Wilhelma, który w Kiel cały czas świadczył mi *Monseigneur*. Słyszałem, że on tak tytułuje wszystkich diuków francuskich, co jest omyłką i co stanowi może tylko delikatną galanterję, ponad naszemi głowami przeznaczoną dla Francji.

— Delikatną i mniej lub więcej szczerą — rzekł pan de Cambremer.

— Och, nie jestem pańskiego zdania. Zauważ pan, że osobiście, figura tak podrzędna jak ten Hohenzollern, co więcej protestant, i który wyzuł z jego ziem mego kuzyna króla Hanoweru, nie jest człowiekiem, któryby budził moje sympatje dodał p. de Charlus, któremu Hanower zdawał się bardziej leżeć na sercu od Alzacji i Lotaryngji. Ale sądzę, że sympatja, która skłania cesarza ku nam, jest bardzo szczerą. Głupcy powiedzą panu, że to jest cesarz z operetki. On jest, przeciwnie, niesłychanie inteligentny. Nie zna się na malarstwie i zmusił pana Tschudi do usunięcia Elstirów z muzeów państwowych. Ale Ludwik XIV nie lubił malarstwa holenderskiego, też kochał się w paradzie i w rezultacie

był wielkim monarchą. A jeszcze Wilhelm II uzbroił swój kraj w zakresie armji i marynarki tak, jak Ludwik XIV nigdy tego nie zrobił, i mam nadzieję, że jego panowanie nie zazna nigdy klęsk, ćmiących koniec rządów tego, którego zowie się banalnie Królem-Słońce. Republika popełniła mojem zdaniem wielki błąd, odtrącając uprzejmości Hohenzollerna lub dawkując mu je kropłomierzem. On sam zdaje sobie z tego wybornie sprawę i powiada z właściwą sobie celnością słowa: „Ja chcę uścisku dłoni, a nie machnięcia kapeluszem”. Jako człowiek jest Świnia; opuścił, wydał, zaparł się najlepszych przyjaciół, w okolicznościach, w których jego milczenie było równie podle jak ich milczenie było wielkie — ciągnął p. de Charlus, który, wciąż party swoją naturą, osuwał się ku sprawie Eulenburga i przypominał sobie to, co mu powiedział jeden z najdostojniejszych oskarżonych: „Jakież zaufanie musi cesarz pokładać w naszej delikatności, aby się ważyć na podobny proces! I nie pomylił się, ufając naszej dyskrecji. Milczelibyśmy nawet na rusztowaniu”. Zresztą, wszystko to nie ma nic wspólnego z tem co chciałem powiedzieć, mianowicie, że w Niemczech my, jako książęta nie djatygowani, mamy tytuł *Durchlaucht* i że we Francji nasz stopień *Altesse* był uznany publicznie. Saint-Simon utrzymuje, żeśmy go sobie przywłaszczyli, w czym się myli najzupełniej. Racja, jaką podaje, mianowicie że Ludwik XIV zabronił się nam tytułować *królem bardzo chrześcijańskim* i kazał się zwać poprostu królem, dowodzi tylko, żeśmy byli zawiśli od niego, nie zaś żeśmy nie mieli praw książęcych. Inaczej trzebaby ich odmówić księciu Lotaryngji i tyłu innym! Zresztą, wiele naszych tytułów przeszło na nas z domu lotaryńskiego przez Teresę d’Espinoy, moją prababkę, która była córką damoiseau de Commercy.

Spostrzegłszy że go Morel słucha, p. de Charlus rozwinął szerzej racje swoich pretensyj:

— Zwróciłem uwagę bratu, że nie w trzeciej części gotajskiego almanachu, ale w drugiej, aby nie rzec w pierwszej, powinnyby figurować nasza rodzina — rzekł baron, nie zdając sobie sprawy z tego, że Morel nie wie, co to almanach gotajski. Ale to sprawa brata; on jest moim wojennym panem i z chwilą kiedy się z tem godzi i toleruje tę rzecz, nie pozostaje mi nic, jak tylko przymknąć oczy.

— Pan Brichot bardzo mnie zajął — rzekłem do pani Verdurin, która podeszła do mnie; przyczem schowałem list pani de Cambremer do kieszeni.

— To światły umysł i zacny człowiek — odparła chłodno. — Brak mu oczywiście oryginalności i smaku, ma zato straszliwą pamięć. Mówiono o „przodkach” osób, które mieliśmy dziś na obiedzie, o emigrantach, że „niczego nie zapomnieli”. Ale oni mieli przynajmniej tę wymówkę — rzekła przywłaszczając sobie koncept Swanna — że się niczego nie nauczyli. Podczas gdy Brichot wie wszystko i ciska nam na głowę przy obiedzie całą mądrość dykjonarzy. Sądzę, że nazwa żadnego miasta ani wioski nie ma już dla pana tajemnic.

Podczas gdy pani Verdurin mówiła, ja myślałem, że sobie postanowił spytać jej o coś, ale nie mogłem sobie przypomnieć o co.

— Jestem pewien, że mówicie o naszym Brichot. Hę, Chantepie, Freycinet, nic wam nie darował. Cały czas patrzałem na naszą kochaną pryncypalkę.

— Widziałam świetnie, omal nie parsknęłam.

Nie umiałbym dziś powiedzieć, jak pani Verdurin była ubrana owego wieczora. Może w danej chwili też nie wiedziałem, bo nie mam zmysłu obserwacji. Ale czując że toaleta jej nie jest bez pretensyj, powiedziałem na ten temat coś miłego, wyraziłem nawet zachwyt. Pani Verdurin była jak prawie wszystkie kobiety, które sobie wyobrażają, że zwrócony do nich komplement jest ścisłym wyrazem prawdy i że to jest sąd wydany bezstronnie, nieodparcie, tak jakby chodziło o dzieło sztuki nie związane z niczyją osobą. Toteż z powagą, która kazała mi się zarumienić za swoją hipokryzję, zadała mi to naiwne i dumne pytanie, zwyczajne w podobnych okolicznościach: „Podoba się panu?”

— Mówicie, jestem tego pewny, o Chantepie — rzekł zbliżając się do nas Verdurin.

Byłem jedyny, który, myśląc o zielonej lustrynie i o zapachu lasów, nie zauważył, że snując swoje etymologie, Brichot ośmieszył się w oczach zebranych. Że zaś wrażenia, rozstrzygające dla mnie o wartości rzeczy, były z rzędu tych, których inne osoby nie doznają lub też uprzątają je z myśli jako coś bez znaczenia (tem samem, gdybym mógł ich udzielić, pozostałyby niezrozumiałe lub wzgardzone), wrażenia te były dla mnie

czemś zupełnie nie do spożytkowania; co więcej, miały tę wadę, że czyniły ze mnie głupca w oczach pani Verdurin, która ujrzała, że ja „leczę” na Brichota. Podobnie wydałem się już pierwiej głupcem pani de Guermantes, bom lubił towarzystwo pani d’Arpajon. Ale co się tyczy Brichota, była tu inna racja. Nie należałem do „paczki”. A we wszelkiej „paczce” — czy będzie światowa, polityczna, literacka — nabiera się perwersyjnej zdolności odkrywania w rozmowie, w oficjalnym przemówieniu, w noweli, w sonecie, wszystkiego tego, czegoby prostoduszny czytelnik nigdy nie dojrzał. Ileż razy zdarzyło mi się, gdym przeczytał z pewnym wzruszeniem powiastkę, zręcznie ułożoną przez jakiegoś wymownego i nieco staromodnego Akademika, że, kiedy miałem powiedzieć Blochowi lub pani de Guermantes: „Jakie to ładne!” oni, zanim jeszcze otworzyłem usta, wykrzykiwali, każde w odmiennym języku: „Jeżeli pan chce mieć chwilę uciechy, niech pan przeczyta nowelę Iksa. Idjotyzm ludzki nigdy nie zaszedł tak daleko”. Wzgarda Blocha pochodziła zwłaszcza stąd, że niektóre efekty stylu, mile zresztą, były trochę zwiędłe; wzgarda pani de Guermantes stąd, że powiastka dowodziła jakoby czegoś wręcz przeciwnego temu co autor chciał powiedzieć z racyj które księżna zręcznie wywodziła, ale o których nigdybym nie był pomyślał. Byłem równie zdziwiony, widząc ironię, jaką kryła pozorna uprzejmość Verdurinów dla Brichota, co słysząc w kilka dni później w Féterne Cambremerów, odpowiadających na moje entuzjastyczne pochwały Raspelière: „To nie możliwe żeby pan był szczerzy. Po tem wszystkim co oni tam zrobili!” Przyznali, co prawda, że serwis był ładny. Nie zauważyłem go, tak samo jak „skandalicznych” zazdrostek.

— Przynajmniej teraz, kiedy pan wróci do Balbec, będzie pan wiedział, co znaczy Balbec — rzekł ironicznie pan Verdurin.

Otóż właśnie te rzeczy, których dowiadywałem się od Brichota, interesowały mnie. Co się tyczy tego, co zwano jego dowcipem, inteligencją, były one ściśle te same które tak ceniono niegdyś w „paczce”. Mówił z tą samą drażniącą łatwością, ale słowa jego „nie brały” już, miały do pokonania wrogie milczenie lub niezyczliwe echa; zmieniło się nie to co on mówił, ale akustyka salonu i nastrój słuchaczy.

— Uwaga! — rzekła półgłosem pani Verdurin, wskazując Brichota. Ten, zachowawszy słuch ostrzejszy od wzroku, objął pryncypalkę szybkim spojrzeniem krótkowidza i filozofa. Jeżeli oczy jego się popsuly, w zamian oczy ducha ogarniały rzeczy szerszej. Widział, jak niewiele można oczekiwać od ludzkich przywiązań i pogodził się z tem. Bolało go to, zapewne. Zdarza się, że nawet ten, który pewnego wieczora, w kółku gdzie zazwyczaj był mile widziany, zgaduje, że się wydał albo pusty, albo ciężki, albo niezręczny, albo zbyt śmiały etc., wraca do domu zbolący. Często kwestja przekonań lub teoryj jest przyczyną że się wydał drugim głupi lub niemodny. Często wie doskonale, że owi drudzy nie dorosli do niego. Z łatwością mógłby zanalizować sofizmaty, przy pomocy których potępiono go milcząco, chce wybrać się z wizytą, napisać list; zmartwawszy, nie czyni tego, czeka zaproszenia na następny tydzień. Bywa iż taka niełaska, zamiast skończyć się na jednym wieczorze, trwa całe miesiące. Wynikła z niestałości sądów świata, pomnaża ją jeszcze. Bo ten, kto wie, że pani X go lekceważy a czuje w zamian, że go cenią u pani Y, oświadcza że pani Y jest osobą o wiele wartościowszą i przenosi się do jej salonu. Zresztą, nie tu jest miejsce malować owych ludzi, wyższych nad życie światowe, ale niezdolnych się zrealizować poza niem, szczęśliwych że ich przyjmują, zgorzkniałych że ich nie doceniają, odkrywających co rok wady pani domu, którą okadzali, oraz geniusz tej, której nie doceniali, gotowi wrócić do swego pierwszego kultu, kiedy ucierpią od uciążliwości drugiego, braki zaś pierwszego ulegną prawu zapomnienia. Z tych krótkich stanów niełaski, można ocenić zgrzyotę, jaką sprawiła Brichotowi niełaska, o której wiedział że jest ostateczna. Wiedział, że pani Verdurin śmieje się czasami publicznie z niego, nawet z jego niedomagań, ale wiedząc jak niewiele trzeba się spodziewać od ludzkich przywiązań, pogodziwszy się z tem, uważał mimo to „pryncypalkę” za swoją najlepszą przyjaciółkę. Ale z rumieńca, jaki oblał twarz Akademika, pani Verdurin zrozumiała że słyszał i przyrzekła sobie być dlań uprzejma w ciągu wieczora. Nie mogłem się powstrzymać, aby jej nie zwrócić uwagi, jaka jest niedobra dla Saniette’a.

— Jakto nie dobra! Ależ on nas ubóstwia; pan nie wie, czem my jesteśmy dla niego. Męża drażni czasem jego głupota — i trzeba przyznać, że może drażnić — ale czemuż on się wtedy nie broni, zamiast przybierać minę zbitego psa? To nie jest szczerze. Nie lubię tego. To nie przeszkadza, że ja się zawsze staram uspokajać męża, bo gdyby się posunął

za daleko, Saniette mógłby poprostu przestać bywać, a tego bym nie chciała, bo powiem panu, że on już nie ma ani grosza, potrzebuje tych obiadów. A potem, ostatecznie, jeżeli go to obraża, niech nie wraca, to nie moja rzecz; kiedy ktoś potrzebuje drugich, stara się nie być tak głupim!

— Księstwo Aumale było długo w naszej rodzinie, zanim przeszło do domu Francji — tłumaczył p. de Charlus panu de Cambremer wobec olśnionego Morela, dla którego w istocie cała ta dysertacja była przeznaczona. Mieliśmy krok przed wszystkimi cudzoziemskimi książętami; mógłbym panu dać tego sto przykładów. Kiedy księżna de Croy chciała na pogrzebie *Monsieur* uklęknąć obok mojej prababki, ta zwróciła jej ostro uwagę, że nie ma prawa do poduszki, kazała zabrać poduszkę przez służbowego oficera i przedłożyła rzecz królowi, który polecił pani de Croy przeprosić panią de Guermantes w jej własnym domu. Kiedy książę Burgundji przybył do nas w otoczeniu marszałków trzymających podniesione laski, uzyskaliśmy u króla to że je kazał opuścić. Wiem, że nie bardzo przystoi mówić o cnotach swoich bliskich. Ale dobrze wiadome jest, że nasi byli zawsze na przedzie w godzinie niebezpieczeństwa. Nasze zawołanie wojenne, kiedyśmy porzucili zawołanie książąt Brabancji, było *Passavant*. Tak iż w sumie dość słuszne jest, że to prawo pierwszeństwa, któregośmy się domagali przez tyle wieków na wojnie, przypadło nam następnie na dworze. I to fakt, że nam je zawsze przyznawano. Zacytuję panu jeszcze jako dowód księżnę Badeńską. Kiedy się zapomniała do tego stopnia, że próbowała się spierać o miejsce z tą samą księżną de Guermantes, o której przed chwilą mówiłem, i korzystając z odruchu wahania, jaki może miała moja krewna, (mimo że nie było do tego powodu), pierwsza chciała wejść do króla, król krzyknął żywo: „Wejdz, wejdz, kuzynko; księżna Badeńska zbyt dobrze wie co ci jest powinna”. I tę rangę miała jako księżna de Guermantes, mimo że sama z siebie była dosyć wielkiego rodu, będąc przez matkę siostrzenicą królowej polskiej, królowej węgierskiej, elektora Palatynatu, księcia Savoie-Carignan i księcia Hanoweru, potem króla angielskiego.

— *Maecenas atavis edite regibus!* — rzekł Brichot, zwracając się do pana de Charlus, który lekkim skinieniem głowy odpowiedział na tę galanterję.

— Co pan powiada? — spytała pani Verdurin Brichota, wobec którego chciała naprawić niedawny wybryk.

— Mówiłem, niech mi Bóg odpuści, o dandysie, który był samą śmietanką arystokracji (pani Verdurin zmarszczyła brwi) za czasów Augusta (pani Verdurin, uspokojona odległością tej *śmietanki*, rozpogodziła się nieco); o przyjacielu Wirgiliusza i Horacego, którzy posuwali pochlebstwo do tego stopnia, aby mu w żywe oczy wysławiać jego parantele więcej niż arystokratyczne, królewskie, słowem mówiłem o Mecenasiu, szczerze bibliotecznym, przyjacielu Horacego, Wirgiliusza, Augusta. Pewien jestem, że p. de Charlus wie bardzo dobrze — i w każdym sensie — kto był Mecenasiem.

P. de Charlus zerkał wdzięcznie na panią Verdurin, bo słyszał jak się umawia na pojutrze z Morelem i bał się, że jego nie zaprosi. — Sądzę — rzekł — że Mecenasiem był czemś w rodzaju Verdurina starożytności.

Pani Verdurin ledwie zdołała powściągnąć uśmiech zadowolenia. Podeszła do Morela.

— Sympatyczny jest ten przyjaciel pańskich rodziców — rzekła. — Widać, że to człowiek wykształcony, dobrze wychowany. Nada się do naszej paczki. Gdzie on mieszka w Paryżu?

Morel zachował wyniosłe milczenie i zaproponował tylko partyjkę kart. Pani Verdurin przed tem żądała trochę skrzypców. Ku powszechnemu zdziwieniu, p. de Charlus, który nigdy nie mówił o swoich talentach, zaakompanjował Morelowi w najczystszy styl ostatnią część (niespokojną, nerwową, szumanowatą, ale bądź co bądź wcześniejszą od sonaty Francka) sonaty skrzypcowej Fauré'go. Zrozumiałem, że baron dałby Morelowi, cudownie uzdolnionemu co się tyczy tonu i techniki, właśnie to, czego mu brakło: kulturę i styl. Ale równocześnie dumalem z ciekawością nad tem, co w tym samym człowieku może kojarzyć skazę fizyczną z darami ducha. P. de Charlus nie był zbyt różny od swego brata, księcia de Guermantes. Nawet przed chwilą (co mu się zdarzało rzadko), posłużył się równie złą francuzczyzną co książę. Wyrzucając mi (zapewne w tym celu, abym ciepło mówił o Morelu wobec pani Verdurin), że nigdy do niego nie zachodzę, kiedy ja się tłumaczył iż czynię to przez delikatność, odparł: „Ależ skoro ja pana o to proszę, jedynie ja *mógłbym się formalizować*”. To mógłby powiedzieć książę de Guermantes.

Ostatecznie, p. de Charlus był tylko Guermantem. Ale wystarczyło, aby natura zwichnęła w nim system nerwowy, tak aby zamiast kobiety (jakby to czynił jego brat, książę Błażej) wolał wirgiliańskiego pasterza lub ucznia Platona, a natychmiast nieznane księciu de Guermantes a często kojarzące się z tem zboczeniem cechy uczyniły z pana de Charlus uroczego pianistę, malarza-amatora nie pozbawionego smaku, subtelnego *causeura*. Słyszając chyży, nerwowy, uroczy rytm, w jakim p. de Charlus grał szumanowski ustęp sonaty Fauré'go, któżby poznał, że ten styl ma swój odpowiednik — nie śmiem powiedzieć przyczynę — w czysto fizycznych właściwościach, w nerwowych skazach pana de Charlus. Później wytłumaczymy to słowo „skazy nerwowe” i powiemy dla jakich przyczyn, Grek z epoki Sokratesa, Rzymianin z czasów Augusta, mogli być tem, czem wiadomo że byli, pozostając ludźmi absolutnie normalnymi, nie zaś mężczyznami skobieconymi, jakich się widzi dzisiaj. Tak samo jak p. de Charlus miał rzetelne choć niedonoszone skłonności artystyczne, tak samo bardziej od księcia Błażeja kochał matkę, kochał żonę, i nawet po latach, kiedy mu o nich wspomniano, miał w oczach łzy, ale powierzchowne, niby pocenie się zbyt otyłego człowieka, którego czoło rosi się z lada powodu kroplami potu. Z tą różnicą, że tym ludziom mówi się: „Jak panu gorąco”, podczas gdy udajemy że nie widzimy łez tamtego. „My”, to znaczy świat; bo lud wzrusza się płaczem, tak jakby szloch był czemś poważniejszym od krwotoku. Smutek, w jaki baron popadł po śmierci żony, nie wykluczał — dzięki nawykowi kłamstwa — życia, nie będącego w zgodzie z tą żalobą. Później nawet baron posunął się do tej ohydy, aby dawać do zrozumienia, że w czasie pogrzebu zdołał spytać o nazwisko i adres małego ministranta, może to była prawda!

Po skończeniu utworu, pozwoliłem sobie zażądać Francka, co zdawało się sprawiać taki ból pani de Cambremer, że nie nalegałem. „Pan tego nie może lubić” — rzekła. Prosiła zamiast tego o *Fêtes Debussy'ego*, co wywołało od pierwszej nuty okrzyki: „Och! wspaniale, boskie!” Ale Morel spostrzegł się, że umie tylko pierwsze takty, i przez pustotę, bez najmniejszego zamiaru mistyfikacji, zaczął marsz Meyerbeera. Na nieszczęście, ponieważ zrobił to prawie bez przejścia i nie zapowiadając, wszyscy myśleli, że to jeszcze Debussy i dalej krzyczeli: „Wspaniale!” Oznajmiając iż autorem utworu był nie twórca *Pellasa* lecz autor *Roberta Djabla*, Morel zmroził nieco słuchaczy. Pani de Cambremer nie miała czasu odczuć tego osobiście, bo właśnie odkryła zeszyt Scarlattiego i rzuciła się na nie go z impetem histeryczki. „Och, niech pan to zagra, niech pan to weźmie, to boskie!” — krzyczała. A przecież to, co ona w swoim gorączkowym podnieceniu wybrała z owego długo pogardzanego, a od niedawna wyniesionego na szczyty autora, to był jeden z owych przeklętych kawałków, które tak często nie dały wam spać i które bezlitosna uczenica powtarza bez końca o piętro nad nami. Ale Morel miał dosyć muzyki, że zaś miał ochotę zagrać w karty, p. de Charlus, pragnąc wziąć udział w partii, zaproponował wista.

— Powiedział przed chwilą pryncypałowi, że on jest księciem — rzekł Ski do pani Verdurin; ale to nie prawda; to jest drobne mieszczaństwo, jacyś architekci.

— Chcę wiedzieć, co pan mówił o Mecenasie. To mnie bawi, no tak! — powtórzyła pani Verdurin Brichotowi, przez uprzejmość która go upoiła. Toteż, aby błysnąć przed pryncypalką i może przedemną, rzekł:

— Ależ, prawdę rzekłszy, proszę pani, Mecenas interesuje mnie zwłaszcza tem, że był pierwszym wybitnym apostołem owego chińskiego boga, który dziś liczy we Francji więcej wyznawców niż Brahma, niż sam Chrystus: bardzo potężnego boga Mam-Whas Kcieś.

Pani Verdurin nie poprzestawała już w takich wypadkach na utopieniu głowy w rękach. Rzuciła się z nagłością owych owadów zwanych jętkami na księżnę Szerbatow; jeżeli ta była niedaleko, pryncypalka czepiała się pachy księżnej, zatapiała w nią paznokcie, i kryła na jakiś czas głowę, jak dziecko grające w chowanego. Zasłonięta tym opiekuńczym parawanem, robiła wrażenie że się śmieje do łez, i mogła w ten sposób nie myśleć o niczem, jak ludzie, którzy modląc się nieco dłużej, mają tę roztropność aby utopić twarz w rękach. Pani Verdurin naśladowała ich słuchając kwartetów Beethovena, aby równocześnie dowieść, że je uważa za modlitwę i nie okazać że śpi.

— Mówię bardzo poważnie, proszę pani — rzekł Brichot. — Sądzę, że zbyt wielka jest dziś liczba ludzi, trawiących czas na patrzeniu w swój pępek, tak jakby tam było

centrum świata. Teoretycznie, nie mam nic do zarzucenia jakiejś *nirwanie*, zmierzającej do tego aby nas rozpuścić w wielkiej Wszystkości (która, jak Monachium i Oxford, znajduje się o wiele bliżej Paryża niż Asnieres lub Bois-Colombes), ale nie jest rzeczą ani dobrego Francuza ani nawet dobrego Europejczyka, dziś, kiedy Japończycy są może u wrót naszego Bizancjum, aby zsocjalizowani antymilitaryści poważnie dyskutowali kardynalne cnoty wolnego wiersza.

Pani Verdurin uznała, iż może puścić udręczone ramię księżnej i ukazała z powrotem twarz, udając że sobie ociera oczy i zaczerpnąwszy parę razy tchu. Ale Brichot chciał, abym i ja dostał swoją porcję, zapamiętawszy zaś z egzaminów doktorskich które umiał prowadzić jak nikt, że niczem się tak nie głaszcze młodzieży jak karcąc ją, przyznając jej ważność, zyskując u niej epitet wsteczniaka: „Nie chciałbym bluźnić bogom Młodości rzekł — rzucając na mnie owo przelotne spojrzenie, jakim mówca ukradkiem darzy na zgromadzeniu kogoś obecnego, którego nazwisko cytuje. — Nie chciałbym być potępiony jako heretyk i recydywista herezji w kapliczce malarmejskiej, gdzie nasz nowy przyjaciel, jak wszyscy jego rówieśnicy, musiał służyć do mszy izoretycznej, przynajmniej jako ministrant i okazać się zgniłkiem lub Różokrzyżowcem. Ale doprawdy, za dużo widzieliśmy tych intelektualistów uwielbiających sztukę przez wielkie S, którzy, kiedy im nie wystarczy alkoholizować się Zolą, robią sobie zastrzyki Verlaine’a. Popadłszy w eteromanję przez dewocję baudelairovską, nie byłiby już zdolni do męskiego wysiłku, jakiego ojczyzna może któregoś dnia zażądać, znieczuleni przez wielką newrozę literacką, w upalnej, wyczerpującej, ciężkiej od niezdrowych wyziewów atmosferze symbolizmu rodem z palarni opium”.

Niezdolny udać ani cienia zachwyty dla niedorzecznej i napstrzonej tyrady Brichota, odwróciłem się do Skiego i zapewnilem go, że się absolutnie myli co do rodziny pana de Charlus. Odpowiedział, że jest pewny tego co mówi, i dodał, że ja sam mówiłem, iż prawdziwe nazwisko barona jest Gandin, Le Gandin.

— Powiedziałem — odparłem — że pani de Cambremer jest siostrą inżyniera, pana Legrandin. Nigdy nie mówiłem z panem o panu de Charlus. Między nim a panią de Cambremer jest nie więcej pokrewieństwa niż między Wielkim Kondeuszem a Racinem.

— A! myślałem! — rzekł swobodnie Ski, tak samo nie tłumacząc się ze swego błędu, jak kilka godzin wprzód z omyłki przez którą omal nie spóźniliśmy się na pociąg.

— Czy pan ma zamiar długo zabawić nad morzem? — pytała pani Verdurin pana de Charlus, w którym przeczuwała „wiernego” i drżała aby nie wrócił zbyt wcześnie do Paryża.

— Mój Bóże, nigdy nie wiadomo — odparł nosowym i rozwlekłym tonem p. de Charlus. — Chciałbym zostać do końca sierpnia.

— Ma pan rację — odparła pani Verdurin; to moment pięknych burz.

— Prawdę mówiąc, nie toby mnie zdecydowało. Nadto zaniedbałem od jakiegoś czasu Archanioła Michała, mego patrona, i chciałbym mu to wynagrodzić, pozostając aż do jego święta, 29 września, w *Abbaye du Mont*.

— Bawią pana takie historie? — spytała pani Verdurin, która zdołałaby może uciścić swój zraniony antyklerykalizm, gdyby się nie zlekła że tak długa wycieczka może spowodować czterdziestoosmiodzinną dezercję skrzypka i barona.

— Pani cierpi może na okresową głuchotę — rzekł impertynencko p. de Charlus. — Mówiłem, że święty Michał jest jednym z moich chlubnych patronów. Poczem, uśmiechając się w błogiej ekstazie z oczami utkwionymi w dal, z głosem nabrzmiałym egzaltacją, więcej niż estetyczną, raczej religijną: — To takie piękne w momencie Podniesienia, kiedy Michał stoi koło ołtarza, w białej sukni, kołysząc złotą kadzielnicą, z taką obfitością kadzideł, że woń wzbija się aż do nieba...

— Można by się wybrać całą gromadką — podsunęła pani Verdurin, mimo swego wstrętu do sutanny.

— W tej chwili, od momentu Podniesienia — podjął p. de Charlus, który z innych przyczyn ale w ten sam sposób jak dobrzy mówcy w Izbie nie odpowiadał nigdy na przerywania i udawał że ich nie słyszy — byłoby czarujące słyszeć naszego młodego przyjaciela, wykonującego Palestrynę lub Air Bacha. Oszałały z radości, nasz zacny proboszcz także, i to jest największy hołd — przynajmniej największy hołd publiczny — jaki mógłbym

oddać memu świętemu patronowi. Co za zbudowanie dla wiernych! Pomówimy o tem zaraz z naszym młodym Fra Angelico smyczka, żołnierzem jak święty Michał.

Saniette, zaproszony na czwartego, oświadczył, że nie umie grać w wista. Zaczem Cottard, widząc że niewiele jest już czasu do pociągu, zasiadł czemprowadz do partyjki *écarté* z Morelem. Verdurin, wściekły, podszedł ze straszliwą miną do Saniette'a. „Więc pan wcale nie umie grać! — krzyknął, wściekły że stracił sposobność zagrania w wista, a rad, że ma okazję zelżenia ex-archiwisty. Ów, steroryzowany, przybrał dowcipną minę: „Owszem, na fortepianie” — odparł.

Cottard i Morel siedli naprzeciw siebie. „Pan święci — rzekł Cottard. — Gdybyśmy się zbliżyli trochę do stołu gry — rzekł do pana de Cambremer p. de Charlus, zaniepokojony widokiem skrzypka z Cottardem. — To jest conajmniej równie interesujące jak te kwestje etykiety, które w naszej epoce nie wiele już znaczą. Jedyni królowie, którzy nam zostali, we Francji przynajmniej, to królowie karciani i zdaje mi się że się pchają garściami do ręki młodego wirtuoza” — dodał baron przez podziw dla Morela, rozciągający się na jego sposób grania w karty; przyczem zarówno chciał mu pochlebić jak usprawiedliwić ruch, jakim się pochylił do ramienia skrzypka.

— *Bzedzinam* — rzekł udając cudzoziemski akcent Cottard, którego dzieci parsknęły śmiechem tak jak czynili studenci i pierwszy asystent, kiedy nawet przy łóżku ciężko chorego, profesor puszczał, z niewzruszoną maską epileptyka, którąś z uświęconych faccyj.

— Nie bardzo wiem co zagrać — rzekł Morel radząc się pana de Cambremer.

— Co pan chce, będzie pan pobity na wszelki sposób; tak czy tak, to jest *egal*.

— *Egal*... Ingalli? — rzekł doktor, śląc w stronę pana de Cambremer usilne i życzliwe spojrzenie. — To była co się zowie prawdziwa *diva*, to było marzenie, Carmen taka jakiej się już nie zobaczy. To była wymarzona kobieta do tej roli.

Margrabia wstał z owem lekceważącym chamstwem ludzi dobrze urodzonych, nie rozumiejących że obrażają pana domu kwestjonując jego gości i szukających w angielskim zwyczaju pogardliwego zwrotu: „Kto to jest ten jegomość, który gra w karty, co on robi w życiu, co *sprzedaje*? Lubię wiedzieć, z kim mam do czynienia, by się nie zadawać z byle kim. Otóż nie słyszałem jego nazwiska, kiedy mi pan uczynił ten zaszczyt, aby mnie przedstawić”.

Gdyby pan Verdurin, biorąc asumpt z ostatnich słów, w istocie przedstawił pana de Cambremer swoim gościom, ów byłby to mu bardzo wziął za złe. Ale wiedząc że było przeciwnie, pozwalał sobie kokietować miną dobroduszną i skromną bez ryzyka. Duma, jaką Verdurin czerpał w swojej zażyłości z Cottardem, wzrosła jeszcze od czasu jak doktor został znakomitością; ale nie wyrażała się już w dawnej naiwnej formie. Kiedy Cottard był prawie nieznany, wówczas, jeśli ktoś wspomniał panu Verdurin o newralgjach jego żony, Verdurin odpowiadał z naiwną próżnością ludzi, którzy sądzą, że wszystko co ich dotyczy jest znakomite i że cały świat zna nazwisko metra śpiewu ich córki. „Nic się nie da zrobić! Gdyby miała jakiegoś podrzędnego lekarzynę, możnaby próbować innej kuracji; ale kiedy ten lekarz nazywa się Cottard (wymawiał to nazwisko tak, jakby to był Bouchard lub Charcot), trzeba poprostu cierpieć”. Obecnie, pewien że p. de Cambremer z pewnością słyszał o sławnym profesorsze Cottard, p. Verdurin użył odwrotnej taktyki, przybrał skromną minę: „To nasz lekarz domowy, zacny człowiek, którego uwielbiamy i który dałby się porąbać za nas; to nie lekarz, to przyjaciel; nie sądzę aby go pan znał lub aby jego nazwisko coś panu mówiło; w każdym razie, dla nas, to nazwisko bardzo zacnego człowieka, bardzo kochanego przyjaciela: Cottard”.

Nazwisko to, szepnięte ze skromną miną, zmyliło pana de Cambremer, który myślał że chodzi o kogo innego. „Cottard? pan nie mówi o profesorsze Cottard?” Właśnie rozległ się głos rzeczzonego profesora, który, zakłopotany zrzuceniem, powiadał trzymając karty: „Tędy go wiedli”.

— A tak, właśnie, jest profesorem — rzekł pan Verdurin.

— Jaktó! profesor Cottard! Pan się nie myli? Pan jest pewny, że to ten sam? ten co mieszka przy ulicy du Bac!

— Tak, właśnie, du Bac, 43. Pan go zna?

— Ależ cały świat zna profesora Cottard. To sława! To tak jakby mnie pan spytał, czy znam Bouffe de Saint-Blaise albo Courtois-Suffit. Zauważyłem, przysłuchując się, że to jest nie byle kto, i dlatego ośmieliłem się pana spytać.

— Więc co to trzeba grać, atu? — pytał Cottard. Potem nagle, z pospolitością, która byłaby drażniąca nawet w heroicznych okolicznościach gdy żołnierz chce dać rubaszny wyraz pogardzie śmierci, ale która stawała się dubeltowo głupia w niewinnej grze w karty, Cottard, decydując się zagrać atu, przybrał ponurą minę straceńca i głosem człowieka ryzykującego gardło, rzucił kartę, tak jakby chodziło o życie, wołając: „Raz kozie śmierć!” Nie tę kartę trzeba było zagrać, ale miał choć pociechę.

Na środku salonu, w szerokim fotelu, pani Cottard, ulegając nieodpartemu działaniu obiadu, poddała się po daremnych wysiłkach szerokiemu i lekkiemu snowi, który ją ogarniał. Daremnie prostowała się chwilami aby się uśmiechnąć, czy nibyto drwić z samej siebie, czy w obawie że mogłaby zostawić bez odpowiedzi jakieś zwrócone do niej miłe słówko; — mimo tej walki stawała się pastwą nieubłaganej i rozkosznej choroby. Jeżeli co mogło ją zbudzić na sekundę, to nie hałas, ale spojrzenie (przez czułość widziała je nawet z zamkniętymi oczami, przewidywała je, bo ta sama scena powtarzała się co wieczór i nawiedzała jej sen, jak godzina o której trzeba będzie wstać) — spojrzenie, jakim profesor ukazywał śpiącą żonę obecnym. Z początku poprzestawał na tem aby na nią popatrzeć i uśmiechnąć się, bo o ile jako lekarz potępiał poobiednią drzemkę (przynajmniej podawał tę naukową rację, aby się pogniewać w końcu; ale nie jest pewne, czy racja ta była rozstrzygająca, tak dalece poglądy profesora były na tym punkcie zmienne), jako wszechpotężny i przekorny mąż lubił sobie drwić z żony, budzić ją zlekka tak aby znów usnęła i aby mieć przyjemność budzić ją na nowo.

Teraz pani Cottard spała całkiem. „Hop hop! Leontyno, tyś ucieła śpika! — krzyczał profesor. — Słucham, co mówi pani Swann, mój drogi — odpowiedziała słabo pani Cottard, popadając w letarg. — To absurd! wykrzyknął Cottard; za chwilę będzie w nas wmawiać, że ona wcale nie spała. To jak pacjenci, co przychodzą na konsultację i mówię że nie śpią nigdy. — Może sobie to wyobrażają, rzekł śmiejąc się p. de Cambremer.

Ale doktor równie lubił sprzeciwiać się jak droczyć, a zwłaszcza nie uznawał, aby profan odzywał się w sprawach medycyny. — Nie można sobie wyobrażać, że się nie śpi, orzekł dogmatycznym tonem.

— A! — odparł kłaniając się z szacunkiem margrabia, tak jakby to niegdyś zrobił Cottard.

— Widać zaraz, że pan nigdy nie przepisywał, jak ja, do dwóch gramów trionalu, nie mogąc wywołać śpiączki.

— W istocie, w istocie — odparł margrabia śmiejąc się zadowolony z siebie; nigdy nie zażywałem trionalu, ani żadnej z tych mikstur, które rychło przestają działać, ale niszczą człowiekowi żołądek. Kiedy się, jak ja, polowało cały dzień w lasach Chantepie, upewniam pana, że nie potrzeba trionalu żeby zasnąć.

— Tak mówią ignoranci — odparł profesor. — Trional podnosi czasem w wybitny sposób tonus nerwowy. Mówi pan o trionalu; ale czy pan choć wie, co to jest?

— Ależ... słyszałem, że to jest lekarstwo na sen.

— Nie odpowiada pan na pytanie — podjął magistralnym tonem profesor, który trzy razy na tydzień zasiadał w komisji egzaminacyjnej. Nie pytam, czy to działa na sen, ale co to jest. Może mi pan powiedzieć, ile zawiera części amylu i etylu?

— Nie — odparł pan de Cambremer zakłopotany. — Wolę dobry kieliszek koniaku albo nawet *porto* 345.

— Które są dziesięć razy bardziej toksyczne — przerwał profesor.

— Co się tyczy trionalu — bąknął pan de Cambremer — żona moja zaabonowana jest na to wszystko, lepiej niech pan pomówi z żoną.

— Która wie o tem mniej więcej tyle co pan. W każdym razie, jeżeli pańska żona bierze trional poto żeby zasnąć, widzi pan, że moja tego nie potrzebuje. No, Leontyno, porusz się, zdrętwiejesz: powiedz, czy ja spiam po obiedzie? Co będziesz robiła po sześćdziesiątce, jeżeli już teraz śpisz jak stara! Utyjesz, upośledzasz sobie krążenie krwi. Nie słyszy nawet!

— To nie dobre dla zdrowia takie drzemki po obiedzie, prawda doktorze? — rzekł p. de Cambremer, aby się zrehabilitować w oczach profesora. — Zjadłszy porządnie, trzeba by mieć trochę ruchu.

— Facecje! — odparł doktor. — Zbadano równą ilość pożywienia z żołądka psa który leżał spokojnie i z żołądka psa który biegał; u pierwszego trawienie było dalej posunięte.

— Więc to sen upośledza trawienie?

— To zależy, czy chodzi o trawienie przelykowe, żołądkowe, kiszkowe; nie ma celu dawać panu wyjaśnień, których by pan nie zrozumiał, skoro pan nie studjował medycyny. No, Leontyno, naprzód m...arsz! czas jechać.

To nie była prawda, bo doktor miał jeszcze kończyć partyjkę, ale spodziewał się przeciąć w ten sposób tem brutalniej sen niemej, do której zwracał najuczęstsze napomnienia, nie mogąc uzyskać odpowiedzi. Czy że wola walki ze snem przetrwała u pani Cottard nawet we śnie, czy że fotel nie dawał głowie oparcia, głowa jej wahała się mechanicznie z lewej strony na prawą i z dołu do góry, w próżni, niby bezwładny przedmiot; i kiwając tak głową, pani Cottard robiła wrażenie to że słucha muzyki, to że weszła w ostatnią fazę agonji. Tam gdzie najgwałtowniejsze napomnienia męża zawiodły, osiągnęło skutek poczucie własnego absurdu:

— Kąpiel ma dobrą temperaturę, ale pióra w słowniku... — wykrzyknęła, prostując się. — Och, Boże! jaka ja głupia. Co ja mówię, myślałam o swoim kapeluszu, musiałam powiedzieć głupstwo, jeszcze trochę a byłabym zasnęła, to ten nieszczęsny ogień na kominku!

Wszyscy zaczęli się śmiać, bo nie było ognia.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/sodoma-i-gomora-czesc-druga-tom-drugi>

Tekst opracowany na podstawie: Marcel Proust, W poszukiwaniu straconego czasu, Sodoma i Gomora, część druga, tom drugi, Towarzystwo Wydawnicze "Rój", Warszawa 1939.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Łukasza Jachowicza. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-0706-8

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).